Charles Alden Seltzer

Skarby Jukatanu

(The boss of the “Lazy Y”)

Pierwsze wydanie: 1915

© Public Domain
Książka znajduje się w domenie publicznej na podstawie reguły „Życie+70”

Tłumaczenie Zofia Amarant © Public Domain

Tekst na podstawie wydania: Skł. gł. Księg. „Avis”, Lwów, 1938. Pozyskany dzięki uprzejmości Biblioteki Narodowej z portalu polona.pl,
W tekście przeprowadzono zmiany redakcyjne, dostosowujące pisownię do współcześnie obowiązujących reguł.

Rozdział 1

Calumet Marston zjeżdżał z długiego stoku na swoim zmęczonym małym koniu. Lecz nagle koń gwałtownie skręcił w bok i przystanął drżąc ze strachu. Jeździec wytrącony ze swoich ponurych rozmyślań, przez spłoszenie się wierzchowca, zachwiał się na chwilę w siodle, ale wkrótce opanował się i wyciągnął zza pasa ciężki rewolwer.

Zwlekając przez chwilę, wściekły obejrzał się dookoła. Ale gdy odkrył przyczynę strachu swego konia, nie okazywał już zdziwienia. Dość często zdarzało się to w ostatnich dwóch dniach jego podróży, a Calumet nie znosił nigdy, by jego koń się płoszył, albo zbaczał z drogi. Także w tej chwili trzymał go silnie za uzdę i zwierzę czuło jego żelazną rękę.

Trzy metry przed nim na samym środku drogi leżał olbrzymi wąż-grzechotnik. Podniósł lekko głowę, poruszając nią groźnie na prawo i lewo. Był tak blisko, że jeździec mógł dokładnie zauważyć jego piękną budowę. Szybko pociągnął z lewej strony za uzdę, a koń nagle skręcił na prawo. Wierzchowiec drżał ze strachu, czując, że z prawej strony grozi mu niebezpieczeństwo ataku węża. Nagle rozległ się strzał, wzbiły się tumany kurzu a wąż-grzechotnik wspiął się wysoko.

Calumet ciekawie oglądał gada, a gdy zauważył, że strzał nie był celny, zmusił konia do cofnięcia się o parę kroków, przechylił się nieco w bok, wystrzelił jeszcze raz, a wtedy głowa węża oderwała się od korpusu.

— Duży jak człowiek — mruczał do siebie Calumet i napięcie ustąpiło z jego rysów, wy prostował się znowu na siodle. — No naprzód! ty głupie zwierzę! — krzyczał do konia. — Zawsze boisz się węża!

Zwierzę nie przejmowało się wcale gniewem swego pana; po pół minucie ruszyło już zmęczonym truchtem dalej i Calumet znowu oddawał się swoim ponurym rozmyślaniom.

Na wysokości tysiąca pięciuset metrów orzeł rozpiął swoje szerokie skrzydła na czystej, jasnej wyżynie i dążył w stronę lasku, który ciągnął się aż do brzegu rzeki. Prócz orła, konia i jeźdźca dookoła nie poruszało się nic. Może tu i ówdzie w cieniu olbrzymich skał ukryła się jaszczurka, może w krzakach duży wąż ukrył się przed upalnym żarem, lecz nic się nie poruszało. Orzeł przyleciał zapewne z Meksyku, krążył teraz nad grupą drzew wypatrując zdobyczy.

Calumet obserwował ponuro orła, podczas gdy jego wierzchowiec zmęczony szedł dalej. Po pół godzinie zbliżył się do rzeki, koń zeszedł na dół po skalistym stoku, spragniony schylił głowę do wody, pijąc chciwie dużymi haustami. Calumet przerzucił jedną nogę przez szyję konia tak, że siedział po jednej stronie, wyciągnął z przymocowanej do siodła torby

wygięty kubek cynowy. Powoli schylił się nad wodą i napełnił kubek, następnie wyprostował się znowu, odchylił głowę i pił wodę. Przy tym spojrzał mimo woli na orła, ściągając ironicznie usta.

— Przeklęta bestia! Piętnaście mil leciałaś za mną! — Wrogim, i złością przepojonym wzrokiem spojrzał w górę na dużego drapieżcę. — Za mną na próżno się trudzisz, musisz już sobie poszukać kogoś innego, takiego, który w pustyni przepada. Mnie nie dostaniesz w swoje szpony!

Kiedy koń się już napoił, Calumet schował z powrotem kubek do torby i znowu dosiadł konia. Orzeźwiony koń dążył przez rzekę do przeciwległego brzegu i teraz Calumet miał przed sobą wyżynę, która otoczona była sosnami i świerkami. Calumet zatrzymał krótkim ściągnięciem cugli konia, odwrócił się i spojrzał w tył.

Przez dwa dni przebijał się przez pustynię wśród licznych trudności i braków, a teraz leżała przed nim tajemnicza biało-szara połać ziemi, która okryta była gorącym pustynnym piaskiem.

Dookoła panowała niesamowita cisza, a zewsząd czyhały śmiertelne niebezpieczeństwa. W dali ciągnęły się łańcuchy górskie, które tylko niewiele odcinały się, swoimi bladymi kolorami od nieba, a powietrze było niezmiernie duszne.

Twarz samotnego jeźdźca była tak samo twarda i nieprzenikniona jak pustynia, za cienką osłoną mgły ponurego krajobrazu ukrywały się niebezpieczeństwa, tak samo jak myśli w głowie Calumeta, i wrażenia w rysach jego twarzy.

Odwrócił się plecami do pustyni i spojrzał na obszerną, piękną płaszczyznę, która leżała na wyżynie między niskimi pagórkami i nęciła miękkim trawnikiem, zielonymi krzewami. Kontrast między pustynią, a zieloną murawą był tak uderzający, że przyczynił się do ustąpienia zdrętwiałego wyrazu z twarzy Calumeta. Miał wrażenie, że opuściwszy, prastary świat, gdzie na życie człowieka czyha na każdym kroku śmierć, obecnie odnalazł spokojny raj pełen beztroskiego życia.

Ale wyraz twarzy Calumeta zmienił się tylko nieznacznie mimo, że leżał przed nim kraj, w którym spędził swoje młodzieńcze lata, kraj ozłocony promieniami popołudniowego słońca. Pamiętał go jeszcze dobrze, i długo mu się przypatrywał. Szukał wzrokiem znanych miejsc, przychodziły mu na myśl poszczególne zdarzenia, które z tymi miejscami były związane. Podczas dni wygnania zapomniał o nich, lecz teraz wrócił do dawno minionych przeżyć i nawiedziły go stare wspomnienia. Gdy siedział na siodle zdawało się, że bierze udział w przeglądzie wojsk i wyszukuje najważniejsze wydarzenia i osoby.

Prawie pięć mil ciągnęła się rzeka, w pewnym miejscu rzeka nagle ostro skręcała w bok, a tam wznosiły się dachy różnych budynków. Budynki te należały do Ypsylon-Farmy, będącej własnością jego ojca. Calumet bawił myślami przy jego dawnym domu rodzicielskim; pustynia, długa, nużąca podróż, długie dni wygnania poszły w niepamięć, nagle cisnęły mu się do głowy wspomnienia o tym wszystkim co tutaj przeżył.

Nawet i teraz jego twarz pozostała nieruchoma. Spojrzał uważnie na piękną dolinę, po czym przypomniał sobie znowu rzeczywistość, pociągnął lejce i ruszył dalej. Wierzchowiec jego rzucał niespokojnie głową, to w tył

to znowu wprzód. Może węszył w pobliżu paszę, lub obecność innych koni, ale twarda ręka Calumeta zmuszała go do jazdy.

Nie spieszył się. Dotychczas nie mógł sobie jeszcze sam wytłumaczyć dlaczego odczuł nagle nieodpartą chęć powrotu do swojej ojczyzny, dlaczego po trzynastu latach zapragnął ujrzeć ojcowską farmę. Na myśl o tym uśmiechnął się drwiąco, następnie zjechał w dolinę.

Jego ojciec przecież nigdy nie zajmował się nim!

Nikt Calumeta nie wzywał, nie pisano do niego; przyjechał a sam nawet nie wiedział dlaczego to uczynił. Był w okolicy Durango, gdy nagle opanowała go tęsknota za domem rodzinnym. Nie namyślając się długo, czy czyni rozsądnie, pojechał do gmachu zarządu i wziął sobie urlop, a teraz był już tutaj. Stale myślał tylko o tym, co go do tego nagłego postanowienia mogło skłonić, ale z tego sam sobie dokładnie nie mógł zdać sprawy.

Z góry wiedział, że niechętnie go tutaj przyjmą, gdyż nikt go tu nie potrzebował. Czy naprawdę gnała go w strony rodzinne, tęsknota i chęć ujrzenia swej starej ojczyzny? Może to było rozwiązaniem tej zagadki? A jednak nie wydawało mu się, żeby tak było w istocie, bo gdy był już u celu swej długiej podróży, przejeżdżając przez bujną, wysoką trawę, nie odczuwał zadowolenia, ani szczerej radości. Każde głębsza uczucie w nim zamarło, nawet ciekawość nie parła go naprzód. Bez najmniejszego wzruszenia patrzył na grób matki ponieważ ona w jego życiu nie odgrywała żadnej roli a jego serce nawet nie uderzyło żywiej na wspomnienie o niej.

Dlaczego więc wrócił do domu? Gdyby był psychologiem, byłby sobie stworzył teorię, która byłaby oparta na górnolotnych frazesach, ale Calumet był czczym materialistą. Coś go pędziło, by tu jechać, a teraz był tutaj. Wystarczało mu to, a że nie miał konkretnego powodu do swej dalekiej podróży, nie spieszył się zbytnio.

Calumet chciał jeszcze przed zapadnięciem zmroku zdążyć na farmę. Pomyślał, że znowu ujrzy swego ojca, a może będzie się z nim kłócił i następnie odjedzie, żeby więcej nie powrócić. Chociaż brzmiało to dziwnie, ale myśl o nieporozumieniu lub kłótni z ojcem była mu przyjemna; było to pierwsze podniecenie, które odczuł odkąd podjął swoją podróż w rodzinne strony.

Gdy Calumet znalazł się u stóp doliny, popędził wierzchowca przez kawał drogi kłusem, potem zatrzymał się na najwyższym punkcie małego pagórka, otoczonego niskimi krzakami, zasuszoną trawą i piaszczystymi płaszczyznami. Zsiadł z konia prostując się i wyciągając się, gdyż po tej długiej jeździe był zmęczony i zdrętwiały. Potem powstrzymał ziewanie, wsunął niedbale rękę w kieszeń, wyjął tytoń i bibułki i skręcił sobie papierosa. Po zapaleniu go zaciągał się chciwie dymem wypuszczając go nosem. Po jakimś czasie usiadł na skale, oparł się na ramieniu, nasunął sobie na twarz szeroką kresę kapelusza i sięgnął pamięcią jak najdalej wstecz.

Przypomniał sobie swoją młodość, a stare wspomnienia wyłoniły się jak koszmarny sen i pytał się sam siebie, co wpłynęło na to, że stał się takim zgorzkniałym, ba nawet okrutnym człowiekiem, który zawsze był porywczy

i o byle co się unosił. Inni ustępowali mu z drogi, a dla ich zalet osobistych miał tylko słowa pogardy, nic mu się nie podobało i nie potrafił się niczym cieszyć. Podczas ostatnich trzynastu lat nigdy nie spodziewał się znaleźć na te pytania odpowiedzi, tylko podświadomie czuł, że w domu obeszli się z nim źle. Ale teraz, gdy patrzył na swój rodzinny dom, znalazł rozwiązanie.

Był jedynie takim, jakim uczynili go jego rodzice. Swoim niewykształconym umysłem nie był w stanie tego pojąć ani zdefiniować w dosadnej i logicznej formie, ale instynktownie wyczuł, że dzieje się to w związku z dziedzicznością. Swoim rodzicom zawdzięczał wszystko i nic. Nad tą sprzecznością zastanawiał się, aż wszystko pojął. Jego rodzice obdarzyli go życiem i za to byłby im wdzięczny, gdyby mu na tym życiu zależało. Rodzicem jednak niczego nie zawdzięczał ponieważ zniszczyli w nim, już w zaraniu jego młodości, wszelką radość życia. Wszystkiego mu odmówili, do czego miał prawo: przyzwoitego wychowania, miłości i zrozumienia. Otrzymywał tylko bicie i szturchańce, wyzywali go — i nienawidzili — tak, nienawidzili go!

Mówili mu to zawsze i przekonał się o tym. Dlaczego byli dla niego tacy surowi, tego nigdy nie mógł zrozumieć, pozostało to dlań na zawsze zagadką.

Kiedy liczył lat piętnaście umarła jego matka. Sąsiedzi pochowali ją na cichym miejscu u skraju lasu, niedaleko zagrody dla koni. W milczeniu stał obok jej trumny, zrobionej z surowego drzewa świerkowego i patrzył na nią po raz, ostatni. W tym momencie nie był smutny ani wesół, był pozbawiony jakiegokolwiek uczucia dla niej. Gdy ludzie pytali go, czy mu za nią nie żal, zaklął i wybiegł z domu. Następnie zastał go jego ojciec w stajni i niemiłosiernie go zbił. Wewnętrznie wrzało w nim, ale zacisnął zęby i milczał. W nocy, gdy jego ojciec ułożył się do snu, wymknął się chyłkiem z domu oraz siodłał swego ulubionego konia i odjechał. I to było zakończeniem lat młodzieńczych spędzonych w domu.

Stało się to przed trzynastu laty, a teraz liczył dwadzieścia osiem lat. Zmienił się trochę, coraz bardziej zgorzkniały, stał się odludkiem, a podczas lat spędzonych na obczyźnie nie znalazł przyjaciela. Nabrał jednak wiele doświadczenia, był silny, ostrożny w stosunku do ludzi i pewny siebie, ale otaczała go lodowata atmosfera, tak, że nikt nie mógł zbliżyć się do niego. Ludzie nie mieli odwagi tego uczynić, ponieważ bali się go. W okolicy Durango, gdzie jeździł na pewnym ranczo jako cowboy, znali go, bo diabelnie celnie strzelał z rewolweru, a celu nigdy nie chybił.

Chociaż lepiej strzelał od drugich, nigdy jednak nie przechwalał się swoją umiejętnością, Calumet na ogół był spokojnym człowiekiem, zachowywał się przyzwoicie, najczęściej milczał, ponieważ w domu swoich rodziców nauczył się milczeć. Ale gdy ludzie spostrzegali, że mruży oczy, wiedzieli, że jest to bardziej wymowne od słów. W takiej chwili podobny był do drzemiącego wulkanu, który każdej chwili mógł wybuchnąć i zniszczyć wszystko dookoła.

Kiedy Calumet spod swego szerokoskrzydłego kapelusza patrzył na opustoszały stok, rozpoczynający się u stóp wzgórza, skrzywił usta w pogardliwym grymasie. Jeszcze raz przesunęło się przed nim całe życie i

uświadomił sobie, jak smutne i beznadziejnie puste ono było. Otóż to była jego ojczyzna; tutaj się urodził i tu spędził swoją młodość.

Znowu się odwrócił i spojrzał wstecz na rozgrzaną, pustynię. I tę pamiętał ze swej młodości, nie zmieniła się wcale. Lecz i pustynia nie mogła być bardziej beznadziejna niż całe jego życie.

Gdy spojrzał w górę, zobaczył cień, odkrył na niebie dużego, meksykańskiego orła, o szerokich skrzydłach, powoli zataczającego koła. Calumet pogardliwie ściągnął usta. Czy sam nie był podobny do tego drapieżcy w przestworzach? Czy i on nie zdradzał niszczycielskich skłonności? A jednak była różnica między nimi; orzeł żywił się padliną i także ludźmi; ale on sam, czy nie zniszczył wszystkiego, co w jego sercu było dobrego, nieegoistycznego i szlachetnego, i czyż nie wyśmiewał wszelkich ideałów ludzkich?

Od dwóch godzin siedział już na wzgórzu i patrzył w dolinę. Powoli słońce zaszło za odległymi górami i ozłacało szczyty; cienie przedzierały się przez wzgórza i kładły się tajemniczo na dolinę, podczas gdy niebo rozżarzyło się czarującym kolorem złota i fioletu. Różowa zasłona rozpostarła się na firmamencie, przechodziła w oddali w piękny kolor bladych ametystów. Góry i horyzont stopniowo stawały się wyraźne, ale na zachodniej części nieba trwała jeszcze wspaniała gra kolorów, która stale się zmieniała. A nad pustynią niebo było jeszcze piękniejsze i bardziej tajemnicze.

Lecz na Calumecie piękno wieczoru nie wywierało żadnego wrażenia. Podniósł się z kamienia skalnego, wspiął się na siodło i zjechał powoli w dolinę.

Dotychczas nie zauważył, by pasła się tam trzoda, tak bardzo go zaabsorbowały myśli. Dawniej pasły się w tym miejscu konie jego ojca. A gdy sobie nagle to uświadomił, zatrzymał swego wierzchowca i obejrzał się, lecz nigdzie nie dostrzegł ani jednego zwierzęcia. Może jego ojciec założył nową farmę? Trzynaście lat to kawał czasu, podczas którego mogło się wiele zmienić.

Chciał właśnie ruszyć dalej, gdy powodując się jakimś dziwnym impulsem obejrzał się wstecz w stronę wzgórza. Na miejscu, gdzie siedział przedtem, odkrył jeźdźca siedzącego bez ruchu w siodle i pilnie wpatrującego się w niego. Jeździec ten był oddalony od niego może o jakie dwieście metrów.

Calumet odwrócił swego konia tak, że mógł dokładnie obserwować obcego jeźdźca.

Żarzące się niebo oświetlało jeźdźca i Calumeta, który był przyzwyczajony wszystko bacznie obserwować, poznał natychmiast, że ten obcy mężczyzna jest silny i rosły. Obcy nosił żółtobiały filcowy kapelusz o szerokim rondzie i czerwoną chustkę. Światło było tak jaskrawe, że Calumet rozróżnił dokładnie jego rysy. Szczególnie zapamiętał sobie jego orli nos.

Zdziwił się gdy ujrzał jeźdźca na wzgórzu, gdyż przedtem nie widział go ani nie dosłyszał tętentu kopyt końskich, lecz Calumet był tak zatopiony w myślach, że mało troszczył się o to, co się dzieje dookoła niego.

Człowiek ten z pozoru wyglądał na cowboya będącego w służbie jego ojca. Najprawdopodobniej obcy widział go z doliny i z ciekawości jechał za nim na wzgórze, ażeby mu się bliżej przyjrzeć.

Calumet miał zamiar wszcząć z nim rozmowę, aby dowiedzieć się jak teraz powodzi się jego ojcu, i co porabia, żwawo podjechał do niego.

Przez chwilę mężczyzna patrzył bez ruchu na niego, po czym szybko odwrócił konia i pomknął w przeciwną stronę na dół.

Calumet zdziwił się i spojrzał za nim ze złością.

— Dziwnie nieokrzesany osobnik — mruczał do siebie i skrzywił się pogardliwie. Ale po tym nagle zawrzała w nim złość i pocwałował na wzgórze.

Gdy osiągnął szczyt wzgórza, ujrzał, że obcy cowboy szybko się oddala. Właśnie jechał przez pustą przestrzeń gruntu a pył wapna unosił się spod kopyt konia.

Calumet zatrzymał się na wzgórzu mrugając wyzywająco do obcego, gdy tamten obejrzał się.

— Wyrywaj przeklęty szczeniaku! — krzyczał.

Odpowiedź była niesamowita. Jeździec nagle zatrzymał swego konia, odwrócił go, wyciągnął broń z pochwy i wypalił.

Calumet zauważył to w porę i zeskoczył z siodła. Płasko legł na twardym piasku przyciskając głowę ku ziemi, słyszał, jak strzał przeszedł mimo niego. Słyszał także ostry huk, a gdy ostrożnie podniósł głowę zobaczył, że obcy uciekał galopem. Calumet momentalnie wyciągnął rewolwer, lecz oddalenie było za wielkie, aby mógł wymierzyć, zirytowany wsunął broń z powrotem do skórzanego futerału. Calumet pienił się ze złości, lecz zrozumiał, że nie miało celu, wdawać się w walkę z osobnikiem, który bez zastanowienia korzystał z broni palnej. Patrzył tylko w ślad za nim z zawziętością. Obcy jechał teraz przez wysoką trawę ku wzgórzom leżącym po południowej stronie.

Calumet obiecał sobie w duchu, że pomści tę napaść, wsiadł znowu na siodło i zjechał powoli do Ypsylon-Farmy.

Rozdział 2

Z powodu jakiegoś nagłego podenerwowania, którego sam nie mógł pojąć, Calumet zboczył z drogi, gdy dojeżdżał do wielkiej zagrody, i skierował się ku krzakom. Przed trzynastu laty, widział tam po raz ostatni swoją matkę. Nie odczuwał jednak nic, kiedy zbliżył się do jej grobu i w końcu gdy się tam zatrzymał, doznał niemal uczucia satysfakcji, ponieważ grób jej był bardzo zaniedbany. Bez krzyża, nawet deski z napisem nie było, usypany pagórek zapadł się i zarósł zielskiem.

Nie zdziwiło to Calumeta; wiedział bowiem. że jego ojciec nie zajmie się grobem. Był zadowolony, że jego sąd był trafny, ale gdy jechał z lasku do farmy ojcowskiej, na widok zaniedbanego grobu, mimo że swej matki nie kochał, odczuwał coś w rodzaju złości do ojca.

Nawet i teraz jeszcze się nie spieszył. W końcu zatrzymał konia i siedząc w niedbałej pozie w siodle, obejrzał zagrodę. Gdy zauważył, że można go z farmy widzieć, wjechał głębiej w las a stamtąd kontynuował swoje obserwacje. Cała farma przedstawiała opłakany widok, duże budynki stały zaniedbane, poznał je, ale jak bardzo uległy zmianie! Stajnia w której ostatniego dnia otrzymał bicie od ojca, chyliła się ku jednej stronie, dach zdawał się kłaniać urągliwie za nią, a ogrodzenie zagrody dla koni w wielu miejscach było zupełnie złamane. W zagrodzie stała para chudych małych koni, którym nie starczyło ponoć energii, żeby stąd uciec. Konie patrzyły spokojnie i bez śladu ciekawości na obcego przybysza.

Uczucie tryumfu ogarnęło Calumeta, gdyż wnioskując z zewnętrznego wyglądu budynków, jego ojciec musiał na pewno podupaść i znaleźć się w złych warunkach materialnych. Ta myśl działała na niego kojąco. Calumet zaśmiał się nawet na widok baraku, w którym dawniej mieszkało dużo cowboyów. Budynek ten wydawał się skłaniać ku kompletnej ruinie i także wiatrak stał nieczynny, wyciągając swe długie skrzydła niepotrzebnie ku niebu.

Obejrzawszy wszystko skrupulatnie, nie pojechał w kierunku domu mieszkalnego, lecz nałożył kawał drogi przez lasek, ponieważ chciał swemu ojcu sprawić niespodziankę. Uważał, że nie miało celu zostawić wierzchowca w zagrodzie, bo niespokojne i żywe zwierzę natychmiast rozwaliłoby to okropnie zaniedbane ogrodzenie, zeskoczył więc z konia i przywiązał go do drzewa.

Ku swemu zadowoleniu znalazł drzwi domu nieprzymknięte i nie zaryglowanie. Powoli je otworzył i wszedł, przymknął je cicho za sobą i rozejrzał się. Stał w pokoju, który zawsze służył ojcu za pracownię, w półmroku rozpoznał stare meble; biurko, różne fotele, starą sofę i obrazy

na ścianach. Opanowało go dziwne wzruszenie, zbladł, zacisnął zęby i pięści. Znowu opadły go wspomnienia.

Przez dłuższy czas stał przy drzwiach, potem przystąpił do biurka, położył na nim rękę i zawahał się.

Jego ojciec był zapewne w innej części domu, a może właśnie siedział przy obiedzie, Calumet nie chciał mu przy tym przeszkadzać. Usiadł na krześle stojącym przed biurkiem. Miał dość czasu i nie miało to żadnego znaczenia, czy swemu rodzicowi sprawi przykrą niespodziankę, dziesięć minut wcześniej czy później.

Dopiero teraz zauważył jak bardzo był zmęczony, wygodnie się oparł i wyciągnął nogi. Z początku zamierzał czekać pięć minut, ale i po dziesięciu siedział jeszcze bez ruchu i patrzył przez okno na zapadającą ciemność. Cienie w lesie pogłębiły się, zdała dochodziło wycie wilka, żaby rechotały, a w pobliżu krzyczała sowa. Lecz Calumet nie słyszał tych głosów nocy, był znowu zatopiony w myślach.

Oto jaki powrót do domu!

Owładnęła nim niewymowna gorycz.

Ruina, ciemność i samotność czekały tu na niego — i to było wszystko, czego mu jego ojciec użyczył. Opadła go okrutna złość, najchętniej byłby wszystko zniszczył i puścił dymem. Muskuły napięły mu się i krew raźniej pulsowała, kiedy się wyprostował. Gdyby jego ojciec w tej chwili się ukazał miałby się z pyszna. Calumet wszakże zdusił w sobie chęć pójścia do niego. Muskuły powoli się odprężyły i usiadł na nowo wygodnie w krześle.

Wyjął z kieszeni tytoń i bibułkę, skręcił papierosa. Z zadowoleniem zauważył, że jego ręka nie drży. Razu pewnego słyszał jak dwoje ludzi mówiło o nim. Jeden wtedy powiedział do drugiego, że Calumet Marston w ogóle nie posiada nerwów. Wiedział sam o tym i czuł, że zdolność opanowania namiętności, czyniła go bardziej niebezpiecznym. A te namiętności, które posiadał były dziedziczne.

Szybko zapadł zmierzch. Z drugiej części domu nie docierał żaden szmer, w końcu podniósł się, żeby ojca poszukać. Wstał zapalił papierosa i odrzucił zapałkę; przy tym przypadkowo uderzył ręką w oparcie krzesła, z którego dopiero wstał i w nagłym napadzie złości, odtrącił je nogą tak, że z trzaskiem upadło na ziemię. Calumet zaklął. Najchętniej byłby znowu podniósł krzesło, by rzucić nim powtórnie o ziemię, ale rozsądek mówił mu, że to nierozsądnie wyładowywać swoją złość na martwych sprzętach. Przez chwilę trwał w milczeniu; spodziewał się, że ojciec usłyszał hałas i na odgłos tegoż zjawi się, aby zobaczyć co się stało. Wkrótce też usłyszał zbliżające się kroki.

Widocznie ojciec usłyszał i przychodzi!

Calumet stał na środku pokoju i namyślał się czy ma się ojcu zaraz pokazać, czy pozwolić się szukać. W końcu stał wyprostowany i palił nerwowo. Jego papieros żarzył się w ciemności.

Kroki zbliżały się. Calumet usłyszał trzask, gdy otwarto powoli drzwi jadalni. Słaby cień światła padł przez szparę, widocznie pochodził z kuchni, leżącej za jadalnia. Drzwi otwierały się coraz szerzej i Calumet ujrzał na progu mężczyznę, który przystanął nie poruszając się.

Sytuacja ta bawiła go. Przybył do domu ojcowskiego jak złodziej w nocy. Ale wtem uświadomił sobie, że jego papieros go zdradził. Szybko wyjął go z ust i skrył go w dłoni.

Uczynił to jednak za późno. Prawdopodobnie jego ojciec dostrzegł migające światełko i widział już, że ktoś obcy znajduje się w pokoju. Calumet ujrzał rewolwer w ręce mężczyzny i usłyszał donośny głos:

— Ręce do góry!

Z dziką radością wprost czekał na ten moment. Teraz chciał się pokazać, aby się nasycić przykrym zdumieniem swego rodzica. A jak ten się zdziwi, gdy przekona się, że jego znienawidzony syn powrócił do domu! Gdy nagłym ruchem chciał ukryć papierosa, poparzył sobie dłoń i znowu ogarnęła go dzika złość. Z przekleństwem na ustach rzucił się naprzód, lewą ręką chwycił pistolet i skierował lufę w chwili, gdy właśnie padł strzał, ku podłodze.

Uczuł zapach prochu, a prawą ręką chwycił ojca za krtań. Mimo, że zawsze był z tego dumny, że potrafi hamować swoją złość, w tej chwili był niepowściągliwy. Kiedy ojciec stawiał opór, Calumet zawlókł go z progu na środek pokoju, powalił go na podłogę i rzucił się na niego, przyciskając go kolanami. Może byłby go puścił, gdyby mężczyzna nie był się bronił, lecz opór podrażnił Calumeta jeszcze bardziej. Uwolnił swoją rękę i próbował mu wyrwać pistolet, przy tym przyciskał mu rękę do podłogi. Padł drugi strzał, który Calumeta do reszty wyprowadził z równowagi. Dwa razy podniósł głowę mężczyzny, rzucając nią gwałtownie o podłogę.

— Tak witasz swego syna, ty przeklęty psie! — wrzasnął.

Tak był tym zajęły, by przeciwnika, który stale się jeszcze bronił, ostatecznie powalić, że nie dosłyszał cichego szmeru za sobą. Nagie zrobiło się jasno i zobaczył że mężczyzna leżący na podłodze nie był wcale jego ojcem, tylko zupełnie obcym człowiekiem.

Ledwie miał czas, aby dać wyraz swemu ze zdziwieniu, gdy usłyszał drugi głos i obejrzawszy się, zobaczył w drzwiach młodą dziewczynę. W jednej ręce trzymała zapaloną świecę, a w drugiej ciężki rewolwer, celując w niego.

Twarz jej była blada, lecz stanowcze spojrzenie jej oczu zdradzało silną wolę i odwagę.

— Proszę wstać albo zastrzelę pana jak psa! — rzuciła obca dziewczyna bez tchu.

Calumet puścił nieznajomego mężczyznę, wstał i popatrzył ze złością na dziewczynę. Przekonawszy się, że ten człowiek nie jest jego ojcem, gniew go opuścił, był jednak wciąż jaszcze niezwykle podniecony. Wstał, ale nie dlatego, że mu rozkazano, lecz dlatego tylko, że nie miało sensu klęczeć na podłodze w skulonej pozycji.

Śmiał się zjadliwie, gdy zobaczył, że zniżyła broń, aż lufę skierowała ku podłodze. Rewolwer dziesięciomilimetrowego kalibru nie jest lekki, ale w ręku młodej dziewczyny wyglądał tak niewinnie, że pogróżka wydawała się żartem.

— Sądzę, że lepiej pani uczyni jeśli chwyci rewolwer obiema rękoma, żeby mogła go pani utrzymać — doradził z ironią.

Lufa podniosła się znowu niepewnie, przy czym i dziewczyna ciężko oddychała. To, że włamywacz się nie obawiał, napawało ją strachem, stała jednak spokojnie i śledziła go z wytężoną uwagą, podczas gdy ten, którego cisnął przedtem na podłogę z trudem się dźwignął i dowlókł do krzesła.

Calumet cofnął się o krok, młoda dziewczyna zniżyła pistolet, nie spuszczając z oczu Calumeta, postawiła lichtarz na podłogę. Po czym znowu wyprostowała się, ale nie celowała już rewolwerem przeciwko niemu. Jej twarz do połowy tonęła w cieniu, mimo to Calumet mógł widzieć, że jej policzki stopniowo się zabarwiały. Patrzył na nią wyzywająco i bezwstydnie.

Zignorowała jego spojrzenie troszczyła się tylko o starego człowieka, którego tak haniebnie poturbował.

Gdy się przekonała, że nie był poważnie poturbowany, dziewczyna odetchnęła z ulgą, a następnie zwróciła się do Calumeta.

— Czego pan tutaj szuka? — spytała, przy tym oddychała spokojnie, ale w jej głosie brzmiało jeszcze podniecenie.

— To pani wcale nie obchodzi, to moja sprawa! — odrzekł Calumet.

To, że popełnił błąd, o tym sam wiedział. Widocznie jego ojciec musiał już opuścić tę farmę, a może sam nie był w stanie zobaczyć kto spowodował ten hałas, albo może sprzedał farmę. Słuszne wydawało się to ostatnie przypuszczenie i farma należała obecnie do starego i do tej młodej dziewczyny, a on nie ma tutaj więcej czego szukać. Był tutaj obcym, intruzem. Jego atak na starego musiał ich upewnić, że jego wizyta miała jakiś określony cel. Tym jednak Calumet się nie przejmował. Nie miał zamiaru usprawiedliwić się przed nimi, przeciwnie, podobała mu się sytuacja w której się zupełnie niespodzianie znalazł. Otaczały go walka i niebezpieczeństwo, czuł się jednym słowem, w swoim żywiole. Tętno pulsowało szybko, czuł dziwne zadowolenie, gdy postąpił w bok, rękę położył na biurku, patrząc wyzywająco na młodu dziewczynę.

Wytrzymała jego wzrok albo może intuicją wyczuła jego myśli, gdyż przekornie odrzuciła głowę. światło padało na jej brązowe, faliste włosy, obserwował linie jej energicznego podbródka i szyi. Według gustu Calumeta nie była właściwie piękna, ale ładna była na pewno.

Wywarła na nim głębokie wrażenie. Jeszcze nigdy nie widział dotychczas takiej kobiety — ponieważ zawsze omijał sposobności stykania się z dobrymi ludźmi. Gdyby miała tylko piękną twarz, nie byłby się nią zainteresował. W niej coś innego go ujęło, coś, co tkwiło głębiej i było związane z jej charakterem. I nagle uświadomił sobie, co to było; było to coś, co przebijało we wzroku. Chociaż patrzyła przekornie na niego, czytał jednak w jej wzroku, że była szczera i uczciwa. Z oblicza jej biła pewność, niekłamana godność oraz. spokój, którego chwilowe podniecenie nie może naruszyć. Wzrok jej był silny, gdy zetknął się z jego spojrzeniem i wszczęła się krótka walka, która trwała tylko parę sekund. Po czym Calumet opuścił wzrok, pod wpływem jej władczej natury. Chciał się spod jej wpływu wymknąć i zirytowany znowu podniósł wzrok, ale czuł się nieswojo, podczas gdy ona spokojnie patrzyła na niego. Calumet powoli się zarumienił.

Długo trwało milczenie. Stary człowiek powoli przychodził do siebie i oddychał spokojniej. Z trudem wstał, obejrzał się krwią nabiegłymi oczami i ręką chwycił za krtań. Już dwa razy czynił wysiłki, by mówić, ale nie mógł głosu wydobyć z krtani.

Pod wpływem energicznego i przenikliwego spojrzenia młodej dziewczyny, zmąciły się myśli Calumeta, poruszał się niespokojnie, bo czuł, że ona go obserwuje. Powoli zmieniał się wyraz jej twarzy. Najpierw patrzyła na niego śmiało, następnie rozzłościła się, a teraz śmiała się tylko z pogardą. Wywnioskował z tego, że go lekceważyła. Chciał jej pokazać, że jest mu obojętne, co ona o nim myśli. Po raz pierwszy w życiu zetknął się z kobietą o tak silnym charakterze, z kobietą, której nie mógł łatwo zwalczyć. Z dużym wysiłkiem zmusił się do wytrzymania jej przenikliwego wzroku, udało mu się to; twarz ściągnął w grymasie. Zjadliwie spojrzał na nią, nie wywarło to jednak na niej najmniejszego wrażenia, a on w swojej bezradności czuł się jak chłopak. Po tym uśmiechnęła się do Calumeta, co wprawiło go w jeszcze większe zakłopotanie, tak, że stał się ciemnoczerwony.

— Jaki z pana wielki i dzielny człowiek — odezwała się z pogardą, mierząc go od stóp do głowy.

Chciał coś odpowiedzieć, ale nie znalazł odpowiednich słów.

— Uważa się pan pewnie za doskonałego mężczyznę? Ma pan rewolwer za pasem, jeździ na koniu, no a wreszcie wygląda pan nawet, jak dzielny mężczyzna, ale na tym koniec. Najlepiej bym zrobiła, gdybym pana zastrzeliła. Taki podły osobnik, jak pan, nie ma prawa do życia! Szczęśliwym trafem nie wiele złego pan wyrządził memu dziadkowi. Idź pan teraz i powiedz Tomowi Taggartowi, żeby próbował to innym sposobem.

Dźwięk jej głosu zerwał więzy, w których trzymał go jej wzrok. Calumet wyprostował się i wsunął rękę za pas. Wydawało się, że zupełnie ignoruje jej słowa.

— Umie pani mówić, jak wodospad — odparł zuchwale. — Czy to jest pani dziadek? Byłbym mu niemal zrobił coś złego. Przepraszam panią, a jeśli to pani ulży, to pani powiem, że pani biednego dziadka wziąłem za innego człowieka. Myślałem, że dojdzie do zatargu rodzinnego, miałbym wtedy prawo się z nim w ten sposób obejść, gdyż starego wziąłem z początku za swego ojca. — Dziewczyna widoczne przestraszyła się i znowu zbladła.

— Więc pan jest... — zwlekając śledziła go bacznie, a ręka jej zadrżała.

Calumet ukłonił się jej z ironią, jej nagłe zmieszanie sprawiło mu przyjemność.

— Jestem Calumet Marston — oświadczył szyderczo.

Dziewczyna cofnęła się w tył.

— Ach! — rzuciła słabo.

Duży pistolet wyśliznął się z jej dłoni i upadł na podłogę.

Rozdział 3

Znowu oboje milczeli. Calumet miał wrażenie, że teraz dojdzie do nowej rozprawy, zło w nim triumfowało. Przystąpił do niej, podniósł pistolet i położył go na biurku za sobą, tak, aby ona nie mogła go dosięgnąć. Przyglądała mu się, ciągle jeszcze zmieszana.

Wydawało się to dziwne Calumetowi, postanowił, tę sprawę zbadać. Podniósł krzesło, które przedtem rzucił na podłogę i usiadł na nim.

— Proszę przecież usiąść — rzekł, wskazując ręką drugie krzesło.

Zrobiła parę kroków, ciągle jeszcze zwlekając. Odzyskała już równowagę mimo, że była jeszcze blada i nie spuszczała z niego oczu. Gdy usiadła Calumet podniósł się, postawił lichtarz obok pistoletu na biurku. Skręcił sobie papierosa, przy tym, patrzył na młodą dziewczynę i starego człowieka.

Dziadek spoglądał na Calumeta bojaźliwie i zdziwiony.

— Byłbym panu niemal kark skręcił — powiedział Calumet śmiejąc się. — Ale, taka omyłka może się każdemu przytrafić — po czym patrzył znowu w stronę młodej dziewczyny. — Sądzę, że właściwie już pora, ażeby wytłumaczyć tę sytuację. Co tutaj robicie na Ypsylon-farmie, pani i jej dziadek?

— Mieszkamy tutaj.

— A gdzież jest stara hiena, która tutaj mieszkała i zwała się moim ojcem?

Dziewczyna rzuciła mu krótkie spojrzenie, w którym zdawał się dostrzegać pewne zastanowienie. Dźwięk jej głosu upewnił go w tym mniemaniu.

— Pański ojciec już nie żyje — oznajmiła, przypatrując mu się uważnie.

Calumet zmrużył oczy, lecz nie dał poznać po sobie, czy wiadomość ta go zaskoczyła, czy też odczuwał jakiegokolwiek wzburzenia. Zaciągał się dymem papierosa, nie spuszczając oka z młodej dziewczyny. Jej obawa znikła, rozweselona patrzyła na niego na pół drwiąco. W każdym razie przyszła całkiem do siebie po pierwszym wstrząsie.

— Tak, mój ojciec więc już nie żyje? A kiedy wyciągnął kopyta?

— Właśnie tydzień temu.

Calumet znowu szybko zmrużył oczy. Otóż miał wytłumaczenie na swój dziwny impuls, żeby powrócić do domu. Dokładnie przed tygodniem opanował go nagle pęd, któremu natychmiast uległ. Słyszał już o sugestii, a teraz miał dowód, że istnieje ona rzeczywiście. Ale teraz to już nie miało znaczenia. Teraz był tutaj i musiał się starać, aby opanować obecną sytuację.

— Sądzę, że stary dureń pewnie pytał się o mnie?

— Tak.

Tym razem Calumet nie był w stanie ukryć swego zdumienia. Wpatrywał się w nią na pół roztargniony i na pół rozzłoszczony, ale twarz młodej dziewczyny pozostała nieprzenikniona, a jej zachowanie irytowało go.

— Sądzę, że pani mnie okłamuje — rzekł znienacka, udając obrażonego.

Zarumieniła się i zacisnęła pięści.

— Dziękuję panu za komplement — odpowiedziała drwiąco.

— Cóż takiego powiedziałem? — spytał szorstko. Calumet czuł się zakłopotany sposobem jakim przyjęła jego obraźliwe słowa.

Odrzuciła w tył głowę.

— Kłamczyni pan przecież i tak nie uwierzy — oznajmiła lodowato.

Znowu doszło do kłótni między nimi. Calumet jeszcze bardziej poczerwieniał i nie mógł wytrzymać jej wzroku. Jej silna indywidualność znowu odniosła zwycięstwo nad jego złym charakterem. Mimo woli poruszały się jego usta.

— Ja nie tak myślałem — perswadował, zdziwiony, że takie słowa mogły mu przejść przez usta, spojrzał na nią i przekonał się, że ona patrzy na niego tryumfująco. Trwało to tylko przez ułamek sekundy, ale on się tym przejął. Uważnie śledził jej ruchy, gdy złożyła ręce.

— Ojciec pański spodziewał się, że pan przyjedzie — oznajmiła spokojnie. — Tak przed śmiercią życzył sobie nawet, ażeby pan powrócił. Miał skrupuły, że się źle obszedł z panem i chciał panu powiedzieć, że mu z tego powodu bardzo przykro.

— Skąd pani wie o tym?

— Sam mi powiedział.

Calumet przyglądał się jej przez chwilę w milczeniu, po czym spojrzał na jej dziadka, który wstał i poszedł niepewnym krokiem do drzwi pokoju mieszkalnego. Liczył około sześćdziesiąt lat, trzymał się jeszcze dobrze. Calumet widocznie silnie natarł na niego, bo gdy stary doszedł do drzwi zatoczył się i oparł się o nie. Rzucił zjadliwe spojrzenie Calumetowi, po czym uśmiechnął się do wnuczki:

— Porządnie mnie poczęstował, Betty. Szyja mnie boli. Poślę Boba, żeby ci dotrzymał towarzystwa.

Obrzuciła przelotnym spojrzeniem Calumeta.

— Nie masz potrzeby posyłać Boba, ja się nie boję — zapewniała dziadka.

Stary opuścił pokój, zostawiając otwarte drzwi. Podczas gdy przebrzmiewały jego kroki Calumet podziwiał odwagę młodej dziewczyny. Powiedziała, że go się nie boi. I Calumet jej wierzył, gdyż jej zachowanie wskazywało na to. Nie odezwał się ani słowem aż stary nie znikł zupełnie, a ona zwróciła się znowu ku niemu.

— Pani nazywa się Betty? A jakie jest pani nazwisko?

— Clayton.

— Jak się nazywa dziadek?

— Malcolm Clayton.
— A kim jest Bob?
— Moim bratem.
— Czy jest jeszcze więcej Claytonów w domu?
— zapytał z przekąsem.
— Nie.
— Ale co do licha, wszyscy tutaj robicie na Ypsylon-Farmie?
— Zaraz to panu wyjaśnię.

Nie zdawała sobie sprawy z przewagi, jaką miała nad jego osobą. Przeciw mężczyźnie byłby się potrafił bronić, ale w jej obecności czuł się dziwnie bezsilny.

— Opowiem panu o ojcu.
— Ale, proszę zrobić to krótko — żachnął się.

Nie zwracała wcale uwagi na jego nieodpowiednie zachowanie.

— Przed pięcioma laty umarli moi rodzice — zaczęła spokojnym tonem. — Mój ojciec sam posiadał dużą farmę — oświadczyła nie bez dumy. — Był bardzo bogaty i wykształcony. Mieszkaliśmy w Teksasie, a ja przebywałam na południu, gdzie chodziłam na uniwersytet. Na drugim roku studiów, nagle wezwano mnie do domu, ponieważ mój ojciec zachorował. Zawikłał się w jakieś spekulacje i stracił na tym cały majątek. Z tego właśnie powodu musiał sprzedać farmę. Pozostało zaledwie tyle, żeby zaspokoić jego wierzycieli. Moi rodzice pomarli wkrótce jedno po drugim, dziadek, Bob i ja pozostaliśmy bez środków. Wydzierżawiliśmy kawałek ziemi i z trudem utrzymywaliśmy się, ale wkrótce jakiś bogaty farmer z sąsiedztwa zapędził nas w kozi róg, gdyż upatrzył sobie nasz kawałek gruntu, i pewnego dnia musieliśmy się stamtąd wyprowadzić. Mój dziadek sądził, że w tej okolicy trafi się nam coś odpowiedniego do wydzierżawienia. Brat mój Bob tak bardzo przejął się śmiercią matki, że nie mogliśmy dłużej pozostać w Teksasie, a Bob był za młody, by mógł pracować.

— To znaczy za leniwy — przerwał Calumet.

Obrzuciła go druzgocącym spojrzeniem i dalej mówiła już chłodniejszym tonem.

— Bob zranił sobie nogę. — zwlekając przez chwilę spojrzała na Calumeta, który drwiąco spoglądał na nią, potem mówiła dalej mocniejszym głosem: — Następnie przybyliśmy tutaj z naszym dobytkiem. Byliśmy całe dwa miesiące w drodze.

— Pani opowiadanie o perypetiach rodziny mnie nie interesuje. Sądziłem, że miała pani zamiar opowiadać mi o moim ojcu.

— Gdyśmy się zbliżyli do tej strony rzeki — ciągnęła dalej niezrażona jego złośliwą uwagą — słyszeliśmy strzały. Zatrzymaliśmy wóz, mój dziadek obejrzał się wokół. Odkrył dwu mężczyzn — Toma Taggarta i jego syna Neala — którzy ukryli się w lasku. Tych dwoje chciało zastrzelić pańskiego ojca, który zabarykadował się w domu, był ranny w ramię, a i niewiele brakowało, by go pokonali.

— Kim są ci Taggartowie ?

— Są właścicielami pobliskiej Arrow-farmy. Dlaczego chcieli zamordować pańskiego ojca, to stanowi osobną historię, o której pan

pewnego dnia się dowie, jeśli panu starczy cierpliwości — śmiała się sarkastycznie.

— Nie zależy mi na tym.

— Mój dziadek pomógł pańskiemu ojcu przeciwko Taggartom, razem udało się im tych obu przepędzić. Pański ojciec żył wtedy tu samotny, bo jego ludzie go oszukali, razem z dziadkiem pielęgnowaliśmy go. Polubił nas bardzo i zaprosił do siebie.

— Otóż udało wam się, gdyż nie byliście przecież niczym więcej niż biednymi włóczęgami i awanturnikami.

— Pański ojciec szczególnie mnie lubił, przed rokiem zrobił testament, w którym mnie zamianował spadkobierczynią całej farmy i jego majątku, tak, że pan nie miał dostać ani centa. Dał mi do przechowania testament.

— Ślicznie! — zauważył Calumet z ironią.

— Ale zniszczyłam ten testament.

Calumet zdziwił się, w końcu spojrzał na nią z pogardą.

— Pani chyba jest niespełna rozumu. Dlaczego pani nie przyjęła dziedzictwa?

— Nie mogłam przyjąć tego majątku, bo należy do pana.

Calumet wobec tego zapomniał już urobić złośliwą uwagę. Był zdziwiony, że mogła oprzeć się takiej pokusie, więc milczał. Betty z dziadkiem nie mieli przecież z czego żyć, a jednak wyrzekła się dziedzictwa, które sobie pełnym prawem zdobyła. Taka uczciwość zdumiewała go, przypuszczał, że musiała mieć jakiś inny powód. Patrzył na nią z wytężoną uwagą, a gdy zdawało mu się, że odgadł przyczynę, rzekł:

— Nie przyjęła pani dziedzictwa przypuszczam, gdyż widocznie nie było co dziedziczyć!

— Prócz pola, budynków, pański ojciec zostawił dwadzieścia tysięcy dolarów gotówką — oświadczyła młoda dziewczyna spokojnie.

— Gdzie są pieniądze? — spytał z pośpiechem.

Betty zaśmiała się.

— O tym właśnie chciałam z panem pomówić. — Znowu w jej wzroku widniała przewaga.

Calumet przekonał się, że nie ma celu jej wypytywać, oparł się o krzesło i spojrzał zirytowany na nią.

— Na krótko przed ostatnią chorobą pańskiego ojca, zawołał mnie do siebie i wtajemniczył mnie w swoje sprawy. Opowiedział mi o panu i jak źle się z panem dawniej obchodził. On i matka powinni byli łagodzić nieokiełzany i uparty charakter odziedziczony po ojcu. Matka nienawidziła pana — powiedziała powoli. — Ale to także ma pewną łączność z historią Taggartów, o której pan się potem dowie. Ojciec bardzo żałował, że pana tak skrzywdził i chciał to naprawić. Był jednak przekonany, że pan odziedziczył jego gwałtowny temperament i chciał pana z tego wyleczyć, kiedy by pan wrócił do domu, musiałby się pan poprawić, a otrzymałby pan tylko wtedy majątek, jeśliby mu pan przebaczył. A miał specjalne żądania, co do sposobu pańskiej poprawy. Nie wystarczy na to tylko chęć poprawy, ale praktycznie musi pan dowieść, że się pan przejął życzeniem

ojca. Po wyłuszczeniu mi tych żądań, związał mnie słowem, że zajmę się wykonaniem jego woli.

Zrobiła pauzę i spojrzała na Calumeta.

Teraz zrozumiał, dlaczego czuła, że ma przewagę nad nim. W milczeniu badał ją i nurtowały w nim przy tym sprzeczne uczucia. Rozumiał, że cieszyła się wrażeniem, jakie jej słowa wywarły na nim. Gdy w końcu zauważyła, że złość i wściekłość znikły z jego spojrzenia, że krew znowu zjawiła się w jego policzkach, a twarz jego stała się twarda i nieprzenikniona, poznała, że stoczyli trudną walkę.

— Ach tak, nie otrzymam pieniędzy, póki nie będę grzeczny i pobożny jak uczniak ze szkółki niedzielnej?

— Jest dokładnie postanowione przez ojca, jakie pan ma przedstawić dowody wykazania swej poprawy. Musi pan przede wszystkim udowodnić, że pan mu przebaczył.

— A pani oczywiście ma być moim opiekunem?

— Pozostawiono mnie właśnie do osądzenia, czy pan stosuje się do żądań zawartych w testamencie.

— Czy to wszystko spisano w testamencie?

— Tak, w tym, który ojciec spisał ostatnio.

— Sądzi pani, że nie będę mógł tego testamentu zakwestionować i obalić?

— Może pan spokojnie spróbować. Ale testament został uznany przez sąd w Las Vegas. Sędzia był przyjacielem pańskiego ojca i o ile wiem, żyli bardzo dobrze ze sobą!

— Tak, stary to chytrze urządził — skrzywił się złośliwie.

— Sprawia mi przyjemność, że pan to przynajmniej uznaje.

Rozdział 4

Milczenie między Betty a Calumetem trwało tak długo, aż stało się przytłaczające. Szmery nocy dochodziły przez zamknięte drzwi, a światło księżyca przedzierało się przez okno i spadało na skrzywioną ze złości twarz Calumeta. Twarz Betty oświetlał migający płomyk świecy. Bezskutecznie szukała w rysach twarzy mężczyzny jakiegoś wzruszenia.

Nagle zaśmiał się głośno.

— Rozchoruję się chyba przez panią. Gdyby pani miała tylko szczyptę rozumu, byłaby pani staremu powiedziała, aby poszedł do diabła. Co pani sobie wyobraża, że pani będzie mnie wychowywać, aby potem wystąpić w roli mego sędziego?! Biedna, niewinna istoto! Czego właściwie pani tutaj szuka? Siedzi pani w farmie i mówi mi, że ma mnie w swojej mocy i że może pani mi rozkazywać. Gdzie są pieniądze? — spytał znienacka z groźbą.

— One są przechowane, — odpowiedziała ze spokojem.

— Gdzie?

— To dotyczy tylko mnie. Oprócz mnie nikt o tym nie wie, a zdradzę to panu dopiero wtedy, gdy nadejdzie właściwa pora. A pana się nie boję — odparła pewna siebie. — Gdy pan nie dotrzyma warunków testamentu, może pan odejść dokąd pan chce.

— Kto wtedy otrzyma pieniądze?

— Ma pan rok czasu, aby udowodnić, że przebaczył pan ojcu. Jeśli pan się nie poprawi, albo opuści pan farmę nie spełniwszy żądań zawartych w testamencie, ja odziedziczę cały majątek.

— A pani sobie naturalnie życzy, bym znowu jak najszybciej znikł.

— To moja sprawa. Chcę panu tylko powiedzieć, że nie zależy mi na takim obrocie rzeczy. Może pan odejść, kiedy pan tylko zechce, ale jeśli pan tutaj zostanie musi pan postępować w myśl życzeń ojca, zanim pan otrzyma spadek.

Jej słowa brzmiały stanowczo, a on poczerwieniał ze złości. Powoli przystąpił do Betty, która siedziała spokojnie. Z dzikim wyrazem twarzy zatrzymał się blisko niej i popatrzył na nią zjadliwie. Jego ręce zacisnęły się, a palce nerwowo drżały. Próbowała krzyczeć, gdy zauważyła niebezpieczeństwo, ale z jej piersi wydarł się tylko głuchy jęk. Jego szerokie, szorstkie ręce powoli zatrzymały się przy jej policzkach i powoli odwrócił jej głowę, aż mu prosto patrzyła w twarz.

— Ty — ty — zaskrzeczał, — byłbym prawie panią...

Zaczekał, by przyszła do siebie, po doznanym strachu, potem próbowała się uwolnić. Ale jej wysiłki były daremne. Jego ręce były jak

żelazne kleszcze. Zauważywszy, że opór jej jest bezcelowy, spojrzała ze złością na niego.

— Podły człowieku! — szepnęła bez tchu. Trzymał ją jeszcze przez chwilę, następnie zaśmiał się i opuścił ręce.

— Do licha! — zaklął gniewnie. — Stary pewnie wiedział dlaczego zamianował panią jako opiekunkę dla mnie. Mężczyzna przecież nie może walczyć przeciwko kobiecie!

Przystąpił do krzesła, na którym dopiero siedział, odwrócił je w ten sposób, że oparcie było zwrócone do Betty, usiadł na nim okrakiem, ramiona ułożył na oparciu i oparł o nie podbródek.

— No, już dobrze — zaśmiał się rozwścieczony. — Jeśli to panią interesuje, to pani zakomunikuję, że postanowiłem tutaj zostać, aby się przekonać, co pani ze mną będzie wyprawiała. No więc jak się ta historia zaczyna?

Podniosła się oburzona i stanęła przed nim.

— Niech pan opuści dom — rozkazała drżącym głosem. — Niech pan opuści dom, natychmiast! — Tupnęła nogą, aby dać wyraz swoim słowom.

Calumet zmrużył tylko oczy, a gdy powtórnie tupnęła, zaśmiał się na cały głos.

— A więc to panią wyprowadziło z równowagi?! — dopytywał się. — Niech pani robi, co jej się podoba, najwyżej mnie pani rozśmieszy. Nie przypuszczam, bym tak prędko opuścił farmę. Stary przecież postanowił, że mogę przez rok tutaj zostać. Zresztą jakiż to by miało sens obecnie stad odejść, gdy pani ma się zająć moją poprawą? Gdyby stary mógł widzieć, jak pani zabiera się do dzieła, rozśmieszyłoby go to na pewno! W każdym razie wygląda na to, że pani gorliwie zajęła się wykonaniem jego woli! — Położył głowę na ramieniu i zaśmiał się głośno.

Gdy słyszał, że Betty idzie przez pokój, podniósł głowę. Lufa rewolweru była znowu ku niemu skierowana a spojrzenie Betty było wściekłe i stanowcze.

— Idź pan! — rozkazała. — Idź pan już, bo pana zastrzelę!

Calumet śmiał się, ale bez zewnętrznego wzburzenia, odwrócił nagle krzesło. Prędkim chwytem złapał ją za rękę tak, że skierował lufę ku podłodze. Trzymał ją silnie, mimo, że starała się usilnie rękę wyswobodzić z jego uścisku. Po czym wstał.

— Ależ Betty, pani się strasznie zirytowała! — Chwycił jej drugą rękę i odwrócił ją w ten sposób, że twarzą była zwrócona do niego. — Tak pani chce zacząć moją edukację? — dopytywał się z ironią. Otóż dobrze i ja też będę się bawić. Spodziewam się, że wiele czasu spędzimy razem.

Nagle puścił jej rękę i cofnął się.

— No, chce pani strzelać? — pytał, wskazując głową rewolwer.

Betty spojrzała na broń, zadrżała i położyła ją z powrotem na biurko.

Po chwili Calumet był sam i śmiał się do siebie, patrząc na drzwi, za którymi znikła Betty. Słyszał, jak szła schodami na górę i jak zatrzaśnięto drzwi. Przystąpił do biurka i oglądał broń, potem zamyślony obejrzał się po pokoju.

— Nie zaproponowała mi nawet posłania — mruczał szyderczo.

Namyślał się, co ma zrobić, w końcu przeszedł przez pokój, zamknął drzwi prowadzące do pokoju mieszkalnego i zaryglował je, potem skierował się do drzwi wejściowych i poszukał swego konia. Dziesięć minut później wniósł siodło do domu i postawił na podłodze. Koc położył na sofie, przymknął drzwi wejściowe, otworzył okno, zgasił światło. Wyciągnął się na sofie i zasnął.

Rozdział 5

Przebudziwszy się wcześnie, z brzaskiem dnia, wyciągnął się Calumet leniwie i otworzył oczy. Nagle przypomniał sobie przejścia przeżyte poprzedniego wieczora i nachmurzony spojrzał przed siebie. Po chwili podniósł się i nadsłuchiwał. Z kuchni słyszał szmery; Claytonowie na pewno już wstali. Brzęczały talerze i zapach smażonego sadła zalatywał przez szpary starych drzwi.

Calumet zrobił ponurą minę, gdy wstał i popatrzył na swoje siodło. Kiedy wybrał się w podróż do domu, zabrał ze sobą zapas konserw mięsnych i trochę biszkoptów, ale ostatnie kęsy spożył poprzedniego dnia na obiad. Nęcący zapach, zalatujący z kuchni, przypominał mu, jak bardzo był głodny. Zastanowiwszy się nad swoim położeniem, uspokoił się i pogodny uśmiech przemknął przez jego twarz. Postanowił tutaj zostać, więc nie miał potrzeby głodować, jeśli było co jeść.

Podniósł siodło i poszedł do stajni, w której poprzedniego wieczora zostawił konia. Dając koniowi paszę, zauważył, że mieli tylko szczupły zapas. Po czym gwałtownie trącił drzwi i powrócił zamaszystym krokiem do domu.

Przed drzwiami kuchennymi zobaczył cynową misę na ławie, nalał do połowy wody z konewki i umył sobie ręce i twarz. Gdy spojrzał w górę, zobaczył, że na ścianie wisi ręcznik. Gdy się wycierał, słyszał ze środka przytłumione głosy, a gdy już był gotów podszedł do na pół otwartych drzwi i przystanął na progu.

Stół na środku kuchni był przykryty białym obrusem, a z różnych półmisków stojących na stole, unosił się miły zapach. Przy oknie przeciwległej ściany stał Malcolm Clayton. Widocznie po wczorajszym ataku przyszedł już do siebie, ale gdy Calumet zmierzył go od stóp do głowy, wydawał się przestraszony. Betty stała przy stole i patrzyła nań swoim otwartym spojrzeniem. Ale ona go się nie bała. Uśmiechnął się do niej, przystąpił do stołu, przysunął sobie krzesło i usiadł.

Pomyślał, że ona mu się sprzeciwi, lecz gdy spojrzał na nią, zauważył, że Betty zachowuje się spokojnie, prawie obojętnie. Wprawdzie była zdziwiona i oburzona jego nietaktownym zachowaniem, nie straciła jednak spokoju.

— No, niech pani siada — odezwał się — będziemy jedli.

Cieszył się niezmiernie tą sytuacją i postanowił w duchu, aby Betty dalej dręczyć.

— Dziękuję panu — odrzekła pogardliwie. — Byłam nawet ciekawa, czy pan nas zaprosi do śniadania. — Zwracając się do dziadka dodała: — Czy i

ty także zasiądziesz do stołu? Mr. Marston był tak uprzejmy, że nie mogłam mu odmówić.

Podsunęła staruszkowi krzesło. Malcolm usiadł niepewnie, spoglądał ukradkiem na Calumeta. Betty obeszła naokoło stół i usiadła naprzeciw. Jej lekceważące obejście nie wywierało na nim wrażenia. Wewnętrznie był nawet bardzo zadowolony, że wyzywająco usiadł do stołu, to bowiem irytowało Betty i to mu sprawiało przyjemność.

— Teraz pani znowu się gniewa? — spytał, po czym nałożył sobie słoniny i smażonych kartofli, następnie przysunął jej półmiski.

— Czy się gniewam? — powtórzyła ze spokojem, gdy sobie również nabierała jedzenie na talerz. — Nie gniewam się. Po tym wszystkim, co mi powiedział pański ojciec o panu, wiedziałam, że posiada pan brutalny charakter.

— Ależ Betty — napominał ją stary Malcolm, — nie powinnaś była tego powiedzieć.

— Dziadziu, nie troszcz się o to.

Staruszek zamilkł i patrzył tylko bojaźliwie na Calumeta, który poczerwieniał i jadł przez jakiś czas, zanim dał odpowiedź.

— W takim razie nie doznała pani rozczarowania? — spytał szyderczo.

Położyła ręce na stole i zajrzała mu prosto w twarz.

— Nie spodziewałam się po panu niczego dobrego. Myślałam nawet, że pan jest o wiele gorszy. Dotychczas zachowywał się pan dość znośnie, myślę, z wyjątkiem napadu na mego dziadka. Jest pan próżny i zarozumiały i sprawia panu radość, jeśli mu się uda pognębić drugich. To jednak są błędy, które można wybaczyć.

Calumet przyjrzał się jej ze dwa razy, zanim upewnił się, że Betty go nie wyśmiewa.

— A pani, ma się rozumieć, ma zamiar wyplenić u mnie te wady.

Wypiła kawę, odstawiła filiżankę, po czym mu odpowiedziała.

— Oczywiście — jeśli pan zostanie tutaj.

— Jak pani się do tego zabierze?

— Pokażę panu, że pan mi nie będzie dogadywać, ani grubiańsko ze mną się obchodzić, ani straszyć. Sądzi pan, że wywarł pan na nas nadzwyczajne wrażenie, wchodząc tak i nieproszony siadając do stołu?! Ale tak zachowuje się tylko człowiek źle wychowany. Albo myśli pan, że dobrze panu z tym, kiedy pan się tak zachowuje?

Calumet odłożył nóż i widelec. Sposób, jakim go traktowała denerwował go, a jej szczere spokojne spojrzenia rozbrajały go. Nie udało mu się i tym razem jej zgnębić. Przeciwnie, Betty miała nad nim przewagę i pewność nauczyciela, który posiada autorytet nad niesfornymi uczniami i wydawało się, że postanowiła grać swoją rolę do samego końca.

Ta myśl oburzała Calumeta, chciał ją upokorzyć, ukarać jej dumę i pokonać ją jej własną bronią. Wreszcie będzie musiała uznać jego przewagę! Gdyby mu się to było udało przeprowadzić jeszcze przy pierwszym spotkaniu, byłby zadowolony.

— Niech to pani nie obchodzi, co ja myślę. — Przechylił się przez stół i obrzucił ją wyzywającym spojrzeniem. — Robię to, co mnie się podoba, a

jeśli to pani, dziadkowi i bratu się nie podoba, możecie spakować swoje manatki i pójść. A ja będę zarządzał farmą. Zrozumieliście mnie?!

Betty okazała rozweselenie.

— Ypsylon-Farma potrzebuje więcej niż zarządcy. Pewnie pan już zauważył, że budynki nieco podupadły. Ojciec pański celowo do tego dopuścił. Wiele trudu i pieniędzy będzie to kosztowało, nim doprowadzi się je do porządku o tyle, by ich można było używać. Nie wątpię, że pan podoła tej pracy, a jak tam z pieniędzmi? Czy posiada ich pan tyle, żeby móc zakupić potrzebny materiał budowlany?

— Ach, pani myśli, czy wystarczą pieniądze, zestawione przez starego?

— Tak. Teraz wszakże powiem panu z góry, że ja nimi rozporządzam. A nie otrzyma pan ani centa, jeśli pan według mego mniemania nie zasłuży na to.

Calumet przeszył ją wściekłym spojrzeniem.

— Naturalnie, — ciągnęła — może pan nas zmusić, żebyśmy opuścili farmę. Ale nie wierzę, żeby pan tego żądał, w tym wypadku bowiem pan nigdy nie otrzyma pieniędzy. Pojadę natychmiast do Las Vegas, załatwię formalności z tym związane. A po roku ja otrzymam pieniądze.

Przeciw temu nie mógł nic poradzić. W obłędnej złości wziął znowu nóż i widelec, i jadł dalej. Zrozumiał, że ona posiadała przewagę nad nim, bo rozumie się, że nie chciał jej wypędzić z farmy, a sam także nie miał zamiaru odejść, póki nie otrzyma pieniędzy. Postanowił ją bacznie śledzić, aż pewnego dnia ona z ciekawości zajrzy do schowka, gdzie leżą pieniądze. Przede wszystkim musi poczekać. Gdy nagle podniósł wzrok, zobaczył, że ona obserwuje go ze spokojnym uśmiechem. Calumet rzucił jej nienawistne spojrzenie.

— Zmuszę panią do wydania mi pieniędzy, głupia gęsi! Gdybym miał do czynienia z mężczyzną zmusiłbym go do tego, żeby mi wskazał gdzie one są. A panią dusiłbym po prostu, ażeby mi pieniądze wydała. Lecz w tym wypadku muszę czekać, aż nadarzy się okazja. Wstyd, że taka sobie obca kobieta...

— Wiem co pan chciał powiedzieć. Myśli pan, że wkradłam się w zaufanie pańskiego ojca i namówiłam go do tego, by mnie zamianował swoją spadkobierczynią. Ma pan zamiar mnie obrazić i przestraszyć. — Jej oczy zabłysły. — Powiem jednak, aby pan sobie zapamiętał raz na zawsze, że to rubaszne zachowanie i grubiańskie słowa nie wywierają na mnie najmniejszego wrażenia. I nie boję się pana także. Może pan tyle przeklinać, ile się panu podoba. A jeżeli pan tylko chce zarządzać farmą — ciągnęła dalej z przekąsem — chciałabym najpierw wiedzieć jak pan to zrobi. Zostały przecież tylko zapadłe budynki, a te może pan okładać kułakami, one bowiem nie potrafią się przed panem obronić. Ale nie może pan kierować mną, ani dziadkiem, ani Bobem, bo my na to nie pozwolimy.

Wstając od stołu podeszła do drzwi, prowadzących do drugiego pokoju. Na progu przystanęła i odwróciła się do Calumeta, siedzącego jeszcze przy stole; był oniemiały ze zdumienia.

— Proszę pójść i zaraz rozpocząć swoje panowanie! Na pewno budynki natychmiast zatańczą, jak pan tylko raczy zagwizdnąć. A jeśli pan ma o sobie takie dobre wyobrażenie, to podobno wystarczy zaklęcie, by

odrestaurować domy. Gdy przyjdzie pan do przekonania, że pięknymi słówkami nie można nic osiągnąć i, że potrzeba do tego wszystkiego materiału budowlanego; wtedy zgłosi się pan do mnie. Wtedy może będę mogła coś pomóc.

Ukłoniła się drwiąca i znikła za drzwiami.

Przez jakiś czas panowało przykre milczenie, następnie poruszył się Malcolm i spojrzał na obrus.

— Betty czasem jest przykra, — rzekł usprawiedliwiająco stary — tego nie powinna była uczynić.

Podniósł wzrok, wobec tego mógł jeszcze w ostatniej chwili się schylić, gdy ciężki talerz przeleciał mimo jego głowy, by rozbić się o ścianę na kawałki. Malcolm obawiał się, że Calumet znowu coś weń ciśnie. Ale ten wyszedł na dwór, trzasnąwszy z hukiem za sobą drzwiami.

Rozdział 6

W krótce po tym, stał Calumet przy pół zapadłym płocie zagrody, w pobliżu stajni i zmarszczył czoło. Dobrze wiedział, że w ostatniej sprzeczce, odniósł porażkę i nagle wydał się sam sobie mały i nic nie znaczący. Czuł także, że był inny niż poprzedniego wieczoru. W ciągu dwunastu godzin dokonała się w nim całkowita zmiana, a dokonała tego Betty.

Gdyby miał tylko do czynienia z Malcolmem lub z innym mężczyzną, natychmiast wyrzuciłby go z domu, a tym samym sprawa byłaby załatwiona. Lecz Betty od razu dała mu do zrozumienia, że nie ma zamiaru opuścić domu, a mając mało doświadczenia z kobietami nie wiedział, co teraz począć. Wobec tej kobiety, wiedział, że nie powinien się dać porwać gwałtowności. Nie chciał nawet, aby opuściła dom, gdyż nie otrzymałby pieniędzy zostawionych przez ojca. Naturalnie mógł szukać, ale wiele zakopanych skarbów nie odnaleziono, a w tym wypadku nie chciał się narazić na niepotrzebne niebezpieczeństwa.

W przeciwnym razie będzie musiał cały rok tutaj wytrzymać pod okiem, tej energicznej kobiety, która będzie sądziła jego sposób życia i zachowania. Wydawał się sobie samemu jak uczniak, który przy końcu roku otrzymuje notę i ona ma decydować o jego przejściu do wyższej klasy.

Stał długo przy ogrodzeniu, obmyślając swoje położenie. Chcąc nie chcąc musi się pogodzić z tym stanem rzeczy, bo postanowił już tutaj pozostać. W żadnym wypadku nie chciał stąd odejść i zostawić Betty dziedzictwa. Tej satysfakcji nie chciał jej użyczyć.

Nie chciał także być miękkim woskiem w jej ręku i całkiem poddawać się jej woli. Chciał tutaj zamieszkać i nie poddawać się, nie miał także zamiaru się zmienić. A Claytonowie zapamiętają sobie jeszcze ten dzień, w którym wmieszali się do jego spraw.

Oparł się łokciami o ogrodzenie i patrzył wzdłuż doliny, która wczesnym rankiem roztaczała się przed nim zamglona i beznadziejna. Dopiero później słońce usunie mgłę.

Nagle utkwił wzrok na pewnym punkcie oddalonym o jakie osiemset metrów. Tam poruszało się coś, a on śledził z natężoną uwagą nie poruszając się. Krzaki rozstąpiły się a w tym samym, momencie jakaś ciemna postać odcięła się od horyzontu. Czy był to wilk czy pustynny pies, tego nie mógł rozróżnić. Patrzył, aż zwierzę znowu znikło w wysokiej trawie.

Natychmiast o tym zapomniał i znowu pomyślał o Betty. Nie cierpiał jej, gdyż go drażniła. Jak na kobietę była zanadto energiczna i śmiała, a ponadto będąc zaborcza chciała nim kierować. Calumet wnioskując ze swoich ostatnich doświadczeń musiał przyznać, że Betty jest dzielna i pracowita.

Prawie pół godziny opierał się niedbale o ogrodzenie, następnie zrobił sobie papierosa, a podczas palenia, powrócił myślami w przeszłość. Raz Betty przez chwilę przystanęła w drzwiach kuchennych, dwa razy przeszedł stary Malcolm i popatrzył z boku z zaciekawieniem na niego, lecz Calumet zdawał się tego nie dostrzegać.

Nie zauważył też, że zwierzę, które przedtem widział na wzgórzu zakradało się coraz to bliżej i gdy było od niego oddalone o jakie dwadzieścia metrów, zaczaiło się w trawie w pobliżu ogrodzenia. Szara sierść jeżyła się, a białe zęby zabłysły w otwartej paszczy, za ściągniętymi wargami. Duże zwierzę czekało odpowiedniej chwili, aby rzucić się na stojącego przy ogrodzeniu człowieka.

Wyszło już spod drzew i krzaków, ale nawet stary Malcolm go nie widział, gdy przed kwadransem przeszedł obok. Stary w międzyczasie wszedł do baraku.

Nagle zwierzę rzuciło się na Calumeta, który nie przeczuwając nic złego, palił papierosa. Gdy je zobaczył, było już za późno. Mimo woli schylił się i podniósł lewe ramię, ażeby odparować napad. Zwierzę chciało mu się rzucić do krtani i szarpnęło go teraz swoimi ostrymi zębami, aż do kości w ramię.

Pod obuchem tego gwałtownego napadu Calumet zatoczył się aż do płotu. Zwierzę chybiło celu i leżało oddalone od Calumeta o jakie trzy metry. Szybko zerwało się i chciało powtórnie go zaatakować, ale teraz Calumet miał się na baczności, błyskawicznie wyciągnął rewolwer. Głośno huknęły między domami strzały, że aż konie niespokojnie zerwały się w zagrodzie i pouciekały galopem. Duży pies legł u nóg Calumeta, warcząc i szczerząc zęby. Czerwona plama na piersiach wskazywała miejsce, gdzie utkwiła kula, ale prawdopodobnie nie ugodziła w ważny organ, gdyż zwierzę dźwignęło się i chciało go jeszcze ugryźć.

Calumet cofnął się o krok, złość i chęć zemsty zmieniły jego rysy. Za sobą usłyszał krzyki, lecz nie troszczył się o to. Ostatni strzał był celny, a pies leżał śmiertelnie ranny na ziemi. Dopiero teraz Calumet się obejrzał.

Z baraku wyszedł Malcolm, a Betty nadbiegła z domu. Zakasała rękawy, fartuszek fruwał na wietrze. Pewnie zmywała naczynia, gdy wystraszyły ją strzały. Ale nie ona tak donośnie krzyknęła; jej głos byłby zaraz poznał. Zobaczył na rogu stajni dwunasto- lub trzynastoletniego chłopca, którego prawa noga była ułomna. Prawym ramieniem opierał się na kuli, chłopak patrzył na Calumeta przestraszonym i pełnym wyrzutów wzrokiem.

Był oddalony od Calumeta może o pięć metrów, a ten ciekawie się za nim oglądał, aż Betty przystąpiła do niego i uspakajająco objęła jego plecy ramieniem. Potem Calumet naładował na nowo rewolwer. Nie troszczył się o Malcolma, który przystąpił do niego, ciężko oddychając.

— To był pies Boba — mruknął stary z podnieceniem, gdy spojrzał na zabite zwierzę.

Calumet obejrzawszy się wybuchnął głośnym śmiechem.

— Czego pan chce tutaj, stary głupcze?

— To był pies Boba — powtórzył Malcolm, patrząc ze złością na Calumeta. Nie bał się go teraz, przystąpił doń blisko i stał przed nim z zaciśniętymi pięściami. Przekonawszy się, że Calumet go nie zrozumiał dodał:

— Bob go tak lubił, a teraz pan go zabił, nieznośny człowieku!

Dalej już nie mówił, gdyż Calumet chwycił go za gardło, potrząsając nim gwałtownie w ten sposób, że stary zatoczył się aż do ogrodzenia.

Betty była wściekła, a Bob cicho popłakiwał. Próbowała mówić spokojnie, lecz głos jej drżał:

— Zabił pan ulubionego psa mego brata.

Calumet naładował rewolwer i skrzyżował ręce na piersiach. Celowo ukrywał lewe ramię, które poszarpał mu pies, żeby Betty nie miała satysfakcji widząc, że pies go pokąsał.

— Ten pies należał do Boba, on był bardzo przywiązany do niego. Prawdopodobnie pan o tym nie wiedział. Sądziliśmy, że pies miał w sobie coś z wilka. Bob znalazł go na drodze do Lazette, gdzie go widocznie porzucono. Wtedy był jeszcze małym szczeniakiem. Bob zabrał psa do domu i go wychował. Dotychczas nikomu nic złego nie zrobił. Pan też przecież urodził się na zachodzie i powinien odróżnić psa od wilka. Czy pan naprawdę myślał, że to drapieżne zwierzę?

— Wydaje się, — odpowiedział zjadliwie — że muszę się z wszystkiego co tutaj robię, usprawiedliwiać, nawet z tego, że zastrzeliłem tego przeklętego psa!

— Zabił go pan tylko dla przyjemności?

Calumet zdał sobie sprawę, że śmiercią psa ciężko ich dotknął. Mógłby teraz pokazać swoje ramię, zaoszczędziłby sobie w takim razie wyrzutów, które mu Betty czyniła, a w końcu żałowałaby, że go tak gwałtownie napadła. Chciał jej jednak pokazać, że nikomu nie musi zdawać sprawy ze swoich czynów i ze swego postępowania. Cieszył się tylko, że zirytował ją swoją brutalnością i zaśmiał się do niej:

— To zwierzę nie żyje, a jeśli pani przypuszczała, że przed nią będę się usprawiedliwiał, to grubo się pani omyliła.

Rzuciła mu pogardliwe spojrzenie, po czym przystąpiła do Malcolma, który powoli podniósł się. Kiedy Betty przystąpiła do niego, stary chciał właśnie wyciągnąć rewolwer, ale przeszkodziła mu w tym.

— Zostaw to, — perswadowała spokojnie. — Tym psa nie wskrzesisz. Poza tym wiesz przecież, że i ciebie zastrzeli bezlitośnie jak tego psa. On jest zepsutym i podłym człowiekiem.

Odwróciła się od Calumeta i przemawiała łagodnie do dziadka, gładząc go po włosach i klepiąc go po plecach. Calumet podziwiał jej opanowanie i zimną krew. Mimo woli musiał ją stale podziwiać.

Tymczasem zupełnie zapomniał o Bobie, a chłopak stał teraz przed nim. Calumet zauważył to dopiero teraz. Chłopak z tyłu chwycił go za lewą rękę. Rozzłoszczony odwrócił się i już podniósł rewolwer, ale Bob lewej

ręki nie wypuszczał. Calumet z wściekłością wyrwał mu ją, a nagłym ruchem trącił ułomnego chłopca na ziemię, ale Bob już znowu podskoczył, zanim Betty z Malcolmem doń przystąpili. Bob pokusztykał do Calumeta, podniecony dopiero co zrobionym odkryciem.

— Betty, on nie zastrzelił psa dlatego, że jest złym człowiekiem — krzyczał głośno. — Wiedziałem o tym, patrz na jego ramię, Betty, całe skrwawione! Pies go strasznie pokąsał!

Mimo, że Calumet starał się temu przeszkodzić, chłopak chwycił go znowu za lewą rękę i trzymał ją tak, by dziadek i Betty mogli zobaczyć krew, która spływała po palcach.

Malcolm przystanął, a Calumet ukradkiem schował rewolwer. Betty zarumieniła się ze zdziwienia i zakłopotania.

— Dlaczego nam pan tego zaraz nie powiedział? — spytała z wyrzutem. — Gdybyśmy byli wiedzieli...

— Wtedy nie byłaby się pani zachowała tak głupio. W każdym razie wykazała pani za jak niecnego człowieka pani mnie uważa — odparł. — Nie powiedziałem pani tego, bo to panią nic nie obchodzi. Jest to tylko drapnięcie, ale nie pozwolę jeszcze przeklętemu psu gryźć się w ramię.

Wyciągnął z dłoni chłopca swoją rękę i schował ją za sobą, Betty więc nie mogła jej już widzieć, przystąpiła jednak z stanowczością do Calumeta.

— Chcę widzieć, jak wygląda rana.

— Idź pani lepiej zmywać naczynie. Pani miejsce jest w kuchni. Dlaczego pani i jej krewni musicie się zawsze wtrącać do moich spraw?

Betty nadal zachowała spokój.

— Przykro mi, że przedtem pana obraziłam, ale myślałam, że uczynił to pan tylko dlatego, aby mnie dotknąć. Naprawię to, chodź pan ze mną do domu zaopatrzę panu ramię. Rana musi być dość głęboka.

Calumet ściągnął twarz, wyprostował się i obrzucił ją wrogim spojrzeniem.

— Nie, nie pójdę z panią do domu. Jeżeli zechcę, żeby mnie pani swoimi rękoma dotykała to pani o tym powiem.

Znienacka się odwrócił, podszedł do drzwi i znikł w wnętrzu domu. Po pięciu minutach wyprowadził swego osiodłanego konia. W międzyczasie Betty i Malcolm już odeszli, tylko mały Bob był jeszcze przy zabitym psie, popłakując cicho.

Przez jakiś czas Calumet stał przy swoim koniu, spojrzał na psa, po czym nagle zbladł i zacisnął usta. Widok ten poruszył jego serce. Dwa razy próbował przystąpić do Boba, ale zmienił postanowienie i powrócił do konia, zanim Bob zdołał to zauważyć.

Ale za trzecim razem Calumet przystąpił do niego, położył swoją dużą szorstką dłoń na jego głowie.

— Przykro mi, mały smyku — rzekł ciepłym tonem, gdy spojrzał chłopcu w twarz. — Gdybym był wiedział, że to twój pies, byłbym sobie pozwolił odgryźć całe ramię, zamiast go zastrzelić.

Bob popatrzył na niego z wdzięcznością. Wkrótce Calumet jechał powoli w stronę doliny.

Rozdział 7

Było już ciemno, gdy Calumet wrócił na farmę. Przez cały dzień zwiedzał z dawna zapamiętane miejsca. Znowu myślał o swojej młodości, co nie przyczyniło się do poprawy jego humoru. Gdy Calumet powrócił na farmę, puścił konia wolno, aby się pasł, gdzie tylko chce, bo nie chciał uszczuplać i tak małego zapasu paszy; tej parze zaniedbanych koni bardziej się ona przyda, niż jego wierzchowcu.

Zdjął siodło, po czym skierował kroki ku domowi. Z daleka już widział, że w kuchni pali się światło, ale nie wszedł tam, lecz do frontowej części domu, gdzie zastał drzwi pracowni nieprzymknięte, położył siodło w kącie, postawił zapaloną świecę na stole i oglądał swoje ciężko poranione ramię. Dwa razy w ciągu dnia przemył ranę w rzece i przywiązał chustką do nosa, ramię było silnie opuchnięte i rana jątrzyła się. W końcu nałożył znowu bandaż i silnie związał końce chustki. Po czym wyprostował się i nadsłuchiwał, ale nie był zdecydowany co ma zrobić.

Gdy już nie mógł podchwycić najmniejszego szmeru uważał, że Claytonowie ułożyli się już do snu. Przystąpił do sofy i usiadł. Dręczył go głód, gdyż od rana nic nie jadł. Spodziewał się, że w kuchni pewnie coś znajdzie i znowu wstał. Drzwi do pokoju mieszkalnego były jeszcze zamknięte tak jak je rano zostawił.

Ostrożnie je otworzył i chciał przejść do kuchni, ale na progu zatrzymał się, ponieważ Betty siedziała jeszcze przy stole i czytała przy świetle lampy książkę. Popatrzyła na niego, gdy drzwi się odemknęły, nie okazała zdziwienia tylko uśmiechnęła się przyjaźnie do niego.

— Czy pan nie wejdzie?

Odłożyła książkę, po czym włożyła między stronnicami kawałek papieru i wstała.

— Słyszałam jak pan przyjechał i czekałam na pana. Myśleliśmy, że wróci pan na kolację, ale pańska kolacja jest ciepła. Jeśli pan przejdzie do kuchni ze mną, to ją panu podam.

Calumet nie ruszył się z miejsca. Gdyby Betty tylko okazała ślad zakłopotania lub gniewu byłby natychmiast obok niej przeszedł i wziąłby sobie kolację, ale jej przyjazne usposobienie i pewność siebie, którą mu okazywała, przekonały go, jaką moc miała nad nim, gdy stawiał opór.

— Nie mam zamiaru jeść.

— Ach, więc pan był w Lazette i jadł pan tam kolację?

— Czy zależy pani na tym, żeby wiedzieć czy jadłem kolację i co robiłem?

— Może mi nie zależy — odpowiedziała spokojnie — ale naturalnie, że interesuję się tym, a przede wszystkim nie chciałabym, ażeby pan był głodny.

— Do licha! — mruknął z ironią — Czyż nie jestem dojrzałym człowiekiem, który potrafi sam się o siebie troszczyć?

— Nie o to idzie. Czy nie możemy rozsądnie ze sobą mówić? Pana miejsce jest tutaj, ma pan prawo przebywać na farmie, a ja jestem tutaj, bo pański ojciec sobie życzył bym tu pozostała. Powinien się pan tu czuć jak u siebie w domu i nie chcę się zawsze z panem kłócić. Bądź pan niedobry i uparty, jeśli pan chce — sądzę, że temu pan sam nie potrafi zaradzić, ale jak długo zmuszeni jesteśmy przebywać razem powinniśmy żyć w zgodzie. Nawet jeśli pan mnie nie znosi, może się pan zachowywać jak człowiek, a nie jak dzikus. Wspomniał pan o tym, że jest mężczyzną, ale dzisiaj rano, gdy pan zastrzelił psa, zachował się pan jak chłopak. Ramię było skaleczone, a nie pozwolił pan sobie je nawet zaopatrzyć. Sądził pan może, że mam zamiar pana otruć?

— Co myślałem to moja rzecz — odparł nieuprzejmie.

Betty mówiła spokojnie, ale mimo to podchwycił w jej głosie ironiczny ton. Sądził, że wyśmiewa go i ma go za głupca, a to go do reszty rozzłościło.

— A może interesuje się pani tym co w tej chwili myślę o pani, to pani powiem: Pani wydaje się sobie wspaniałomyślna, a jest pani bardzo zarozumiała. Należy pani do kobiet, które wszystko chcą postawić na swoim. — Pani jest....

Jej śmiech mu przerwał.

— O tym nie będziemy dalej rozprawiać. Już chyba dość mi pan wczoraj o tym powiedział, a musi pan wiedzieć, że w najmniejszym stopniu mnie to nie interesuje, co pan o mnie myśli. — Wskazała mu na krzesło przy stole, które stało naprzeciw niej. — Jeśli koniecznie pan nie chce jeść, to ja nic na to nie mogę poradzić, ale jeżeli pan nawet jadł kolację w Lazette, musi pan już być głodny, bo w międzyczasie przejechał pan dwadzieścia mil. Ale proszę, usiądź pan wreszcie. Chcę panu coś jeszcze dać, co ojciec panu zestawił. Powiedział mi, żeby pan to przeczytał, bezpośrednio po przyjeździe tutaj.

Stała spokojnie, aż Calumet usiadł przy stole. Potem opuściła pokój i poszła schodami na górę, wkrótce powróciła i położyła przed nim grubą kopertę.

— Tutaj jest list.

Calumet podarł kopertę, podczas gdy ona usiadła i dalej czytała książkę. Patrzył na nią ukradkiem przez chwilę, a następnie zwrócił uwagę na list, który składał się z większej ilości arkuszy. Natychmiast poznał pismo swego ojca.

„Mój synu! wobec tego, że przeczuwam, że już niedługo będę żył, życzę sobie, abyśmy ułożyli nasz wzajemny stosunek. Betty Clayton powie Ci, że bardzo żałowałem, że źle się z Tobą obchodziłem. Ale nie może Ci ona naturalnie powiedzieć, jak głęboko odczuwałem niesprawiedliwość

wobec Ciebie popełnioną, traktując Cię tak nieludzko w Twojej młodości.. Obawiam się, że właśnie tym postępowaniem wypaczyłem Twój charakter, a i może już za późno, by Cię jeszcze ratować. Jeżeli w sobie nie możesz pokonać dzikich namiętności, to one Ci zatrują życie.

Wiem dobrze, że dzieci czasem dziedziczą zły charakter po swoich rodzicach i jestem przekonany, że wdałeś się we mnie. Już nawet wtedy, gdy jeszcze byłeś u mnie w domu, miałem na to wiele dowodów. Wtedy cieszyło mnie to; w ostatnim czasie Twego pobytu u mnie, znienawidziłem Cię. Była temu winna kobieta. Jeżeli kiedyś istniał niedobry człowiek, to była nim chyba ona. Ale jeszcze więcej dowiesz się o niej.

Przypuszczalnie nie jest jeszcze za późno. Chcę przynajmniej spróbować, naprawić zło, które Ci wyrządziłem, a spodziewam się, że to osiągnę, zmuszając Cię, żebyś przynajmniej po mojej śmierci szanował moją pamięć. Naturalnie, że zapewne nie uwierzysz, że to tylko dla Twego dobra żądam, abyś nabrał trochę poważania dla Twego ojca, nauczył się jeszcze hamować Twój dziki charakter i namiętności. Jest to moje przeświadczenie, jeśli nie będziesz zważał na moje przestrogi, to według mego mniemania wszelka nadzieja dla Ciebie stracona.

Betty Clayton powie Ci o obowiązkach, jakie na Ciebie nałożyłem i ona osądzi czy je wykonałeś. Ufam jej, a jeżeli Ty tego nie uznasz, że posiada. najszlachetniejszy i najlepszy charakter, to masz mniej doświadczenia, niż Cię o to posądzałem.”

Gdy Calumet doszedł do tego miejsca w liście, popatrzył znowu z boku na Betty, ale ta wydawała. się być zagłębiona w czytaniu i Calumet czytał list dalej.

„Jest to wszystko, co chciałem, Ci na ten temat powiedzieć. Jeśli chcesz się dowiedzieć czegoś więcej, musisz zapytać się Betty. Kiedy otrzymasz ten list, to ona wykonała moja prośbę i powiedziała Ci, czego masz oczekiwać. Opowiedziałem jej historię, która i Tobie teraz podam i jestem przekonany, że Ty po przeczytaniu tego wszystkiego, przyznasz, że nie powinieneś mnie potępiać, jak to czyniłeś dotychczas. Przede wszystkim przekonasz się, jaką złowrogą rolę odegrał w moim życiu Tom Taggart i dlaczego tak często starał się mnie zabić. Calumecie strzeż się przed Taggartami! Podczas ostatnich pięciu lat stale mi się odgrażali, dniem i nocą musiałem się przed nimi mieć na baczności. Oni mnie prześladowali i podjudzali moich ludzi przeciwko mnie. Przez nich nie zaznałem już spokojnego snu, ale ich podstępne kawały zawsze przewidywałem i w porę je unieszkodliwiałem. Teraz wiem, że muszę umrzeć, lecz to czego Taggartowie szukają, będzie tak długo schowane, aż nie spełnisz mojej woli. Przeczuwam, że wrócisz do domu i wierzę, że Ty czytając te słowa postanowisz się zemścić na Tomie Taggarcie i jego synie i pomścisz zło, jakie mi wyrządzili.

Zanim przeczytasz historię mego życia chciałbym Ci jeszcze donieść, że ta okropna kobieta, którą przed trzynastoma laty pochowano, nie była

Twoją matką. Twoja matka umarła przy Twoim porodzie. Leży pochowana w spokojnym miejscu w dolinie Pecos, dziesięć mil od północnej granicy Teksasu.”

Calumet znowu spojrzał na Betty. Czytała i najwidoczniej nie troszczyła się o niego wcale. Nie przeszkadzając jej, odłożył przeczytane stronice na bok i wziął następne.

Rozdział 8

„Liczyłem dwadzieścia pięć lat, gdy umarła Twoja matka, miałem wtedy małą farmę w dolinie Pecos w pobliżu Twin Pine-Furt. Mieliśmy pomyślny rok i wiedziałem, że się dorobię. Po śmierci Twej matki wszakże wszystko uległo zmianie. Wkrótce przekonałem się, że dobre rezultaty zawdzięczałem jedynie jej, bez niej bowiem nie umiałem utrzymać majątku. Przyznaję też, że nie czyniłem szczerego wysiłku. Straciłem punkt oparcia, zacząłem się staczać, i dostałem się z powrotem w swoje dawne towarzystwo, w którym się obracałem zanim poznałem Twoją matkę. Byli to weseli bezwzględni osobnicy, którzy się niczym nie przejmowali i próbowali małym wysiłkiem i wrodzonym sprytem przebić się przez życie. Przybyłem na zachód nie mając określonego planu, poznałem tych ludzi, wkrótce się z nimi zaprzyjaźniłem, bo mieli podobny charakter do mego.

Miałem między nimi trzech bliskich przyjaciół; jeden z nich był okazałym pięknym osobnikiem, o niebeskich oczach i wiernym, uczciwym spojrzeniu. Nazywał się Nebraska, lecz to na pewno było tylko przybrane nazwisko. Potem znałem dzielnego zręcznego mężczyzny z Teksasu, imieniem Quint Taylor. Ten uważał pracę fizyczną za klęskę, cytował różne wyjątki z biblii, by to udowodnić. Trzecim był Tom Taggart, z którym wiązała mnie najzażylsza przyjaźń. Wiem, że wtedy bardzo mnie lubił, ale wziął mi za złe, że poślubiłem Twoją matkę. Nazywała się Mary Lannon, poznałem ją, gdy pracowałem przez parę miesięcy na farmie jej ojca. Ziemia jego leżała przy Orlim Szlaku w pobliżu Rio Grande. Posiadała czysty dobry charakter, mój Chłopcze i możesz być z mej i jej rodziny dumny. Gdyby została przy życiu, wszystko by się inaczej ułożyło, bo byłaby ze mnie zrobiła porządnego i dzielnego człowieka.

Taggart nie mógł znieść tej myśli, że związałem się z kobietą, a może obawiał się, że zerwie to starą, przyjaźń. Namawiał drugich, aby przez rok zostali w okolicy i czekali na to, aż do nich powrócę. Kiedy umarła Twoja matka, nie trwało długo i znalazłem się znowu w ich towarzystwie. Ciebie zostawiłem u Jane Connor i jej męża Dave'a, którzy wtedy byli właścicielami Diamant-Dot Farmy i byli moimi sąsiadami.

Podczas gdy mieszkałam jeszcze na mojej farmie, ci trzej zawarli znajomość z pewnym Indianinem z Jukatanu. Należał do plemienia Tolteków i nazywał się Qeza. Jego współplemiennicy wygnali go, bo był leniwy. Pewnego wieczoru ci trzej upili go, a on opowiedział wszystko co wiedział o swoich współplemiennikach. Opowiadał, że posiadają wielkie bogactwa, i że odkryli pole diamentowe. Jest u nich tyle złota, że używają

je do wyrobu zwykłych sprzętów domowych. Gdy moi towarzysze to usłyszeli, podnieciło ich to i starali się jeszcze więcej od niego dowiedzieć. Powiedział im także, gdzie żyje jego plemię i jak tam się można dostać.

Poza tym mówił, że można sobie różne skarby z diamentów, posągi ze złota, wysadzone drogimi kamieniami, przywłaszczyć, gdyż większość z nich jest ukryta w podziemnych świątyniach. Do tej świątyni prowadzi most przez przepaść, a wstęp do pieczary nie jest strzeżony, gdyż Indianie żywią zabobonną obawę przed kapłanami, którzy strzegą skarbów świątyni. Nikt także nigdy nie chciał przywłaszczyć sobie diamentów ani złota, bo u Tolteków boją się panicznie kapłanów.

Usłyszeli oni to od Quezy miesiąc przed sprzedaniem farmy, zanim jeszcze powróciłem do moich przyjaciół. Zebrali potrzebne pieniądze i powzięli postanowienie, aby urządzić ekspedycję na Jukatan celem przywłaszczenia sobie tych skarbów.

Także mnie zaprosili, bym wziął udział w tej wyprawie. Wtedy było mi obojętne, co czyniłem i co się ze mną działo, zgodziłem się więc na ich propozycję.

Jechaliśmy wzdłuż Rio Grande, aż przybyliśmy do małej przystani tego złotodajnego wybrzeża w pobliżu Bronville. Tam kupiliśmy od rybaka małą łódź, nie miała ona więcej niż dziesięć metrów długości, wyglądała na bardzo solidną. Nebraska, który wiele wiosłował w Kalifornii, powiedział nam, że jest to doskonała łódź, na której będziemy mogli przewieźć zdobyte skarby. Zakupiliśmy potrzebne przedmioty, nabraliśmy tyle wody z brzegu, że starczyła nam na cały miesiąc, następnie wyruszyliśmy na Jukatan.

Z początku nie zastanawiałem się nad tym, o jakiego rodzaju przedsięwzięcie tutaj właściwie chodzi, lecz po drodze wszystko zrozumiałem i wstydziłem się. Ale teraz nie mogłem się już cofnąć, nie pozostało mi więc nic innego, jak wytrwać do końca.

Pogoda nam nie sprzyjała, musieliśmy się trzymać w pobliżu brzegu. Minęły dwa tygodnie, nim dotarliśmy do zatoki Campe, która leży na północnym zachodzie od Jukatanu. Następnie popłynęliśmy łodzią prawie pół mili wzdłuż małej zatoki w górę i przez pół dnia byliśmy zajęci ukrywaniem łodzi, byśmy mogli jej użyć w drodze powrotnej. Zabraliśmy całą żywność, jaka nam jeszcze została i zapuściliśmy się w głąb kraju. Byłoby bezcelowe opisywać długą podróż, wszelkie niedostatki i trudy. W New Mexico jest czasem dość gorąco, ale pobyt w dżungli Jukatanu był wręcz piekłem. W tym kraju jeszcze żaden biały człowiek długo nie wytrzymał.

Byliśmy uparci i chcieliśmy osiągnąć nasz cel, tak więc nie daliśmy się niczemu odstraszyć. W największej części wędrowaliśmy nocą, a jedynym naszym drogowskazem były gwiazdy. Ale prawie tydzień trwało, zanim zrobiliśmy sto mil, a wkrótce trudy wyczerpały nas do tego stopnia, że staliśmy się nerwowi i o lada co wszczynaliśmy kłótnię.

Pewnego wieczora, przy zapadnięciu wieczora ujrzeliśmy przed nami stolicę Tolteków. Z wysokiego grzbietu górskiego patrzyliśmy na tę małą miejscowość, leżącą w dolinie, a ja dostałem zawrotu głowy, gdy patrzyłem w dół. Przez całe popołudnie wspinaliśmy się w górę, za dnia

maszerowaliśmy, gdyż byliśmy już blisko celu. Nebraska nas prowadził i szliśmy z tyłu za nim. Nagie zobaczyliśmy, że zatrzymał się i skrył w zaroślach. Zrobiliśmy to samo i stamtąd po raz pierwszy mogliśmy widzieć miasto, które dla nas miało się stać tak fatalne.

Wpierw miałem wrażenie, jakby natura sama przeznaczyła to miejsce, aby mogło służyć jako kryjówka. U naszych stóp stromo rozciągały się góry. Ściany skalne były wysokie najmniej na trzydzieści do pięćdziesięciu metrów i tworzyły kąt jak duże L. Pod nami rozpościerała się płytka wyżyna, która ciągnęła się prawie pół miii. Leżała bardzo wysoko nad poziomem morza, bo nasza podróż dotychczas odbywała się stale w górę.

Bezpośrednio przed nami zobaczyliśmy przepaść, która była szeroka tylko na dwadzieścia metrów i na tyle głęboka, wobec tego nie mogliśmy dojrzeć dna. Po naszej stronie znajdował się wyskok skalny metrowej szerokości i stamtąd przez przepaść prowadził most. Doszliśmy do przekonania, że to właśnie musi być ten most, o którym mówił Queza i który prowadził do podziemnej świątyni, gdzie były ukryte skarby.

Całą godzinę zatrzymaliśmy się tam i obserwowaliśmy co się dzieje na dole, w mieście. Domy o brązowych ścianach i płaskich dachach przylegały blisko do siebie, widzieliśmy, jak tubylcy uwijali się między domostwami. Żaden z nas nie zauważył nic nadzwyczajnego, aż Taggart im na to nie zwrócił uwagi.

— Czy widzieliście?! — spytał podniecony.

— Co? — zapytaliśmy chórem.

— Tam na dole są tylko kobiety - nie widzę ani jednego mężczyzny!

Tak też było istotnie. Nigdzie nie widziano ani jednego mężczyzny. Mówiliśmy o tym i doszliśmy do wniosku, że przybyliśmy w bardzo sprzyjającym dla nas momencie. Prawdopodobnie mężczyźni wspólnie wybrali się na łowy.

Potem jeszcze przez jakiś czas przyglądaliśmy się miastu, postanowiliśmy zejść z góry i o północy zdobyć ze świątyni skarby. Spodziewaliśmy się, że o tej porze Indianie pewnie będą już spali. Po zapadnięciu zmroku Indianie wzniecili ogniska i posiadali wokół nich.

O jedenastej wygasły już prawie wszystkie ogniska, a my wspinaliśmy się, o ile to nam się udawało, bezszelestnie w górę. Szło powoli, bo lesisty stok zawierał wiele przeszkód. Liany i inne rośliny pnące zamykały nam drogę; noc była tak ciemna, że prawie nie mogliśmy widzieć dalej niż na pół metra; w lesie słyszeliśmy niesamowite szmery. W każdym razie mieliśmy pewność, że pochodzą od zwierząt i ptaków. Jeżeli jednak ma się przed sobą takie przedsięwzięcie, to człowiek staje się nerwowy i każdy szmer wydaje mu się niesamowity oraz podejrzany. I ta głęboka cisza, panująca na dole w mieście, już wydawała mi się niesamowita. Było za cicho, by mogło to być naturalne, a szmery, dopiero co przez nas słyszane, dochodziły z lasu i nie chciały zamilknąć.

Szliśmy rzędem i nie spuszczaliśmy się z oczu, obawialiśmy się, aby nie zbłądzić. Z dość dalekiej odległości słyszałem wołanie ptaka, ale wydawało się dziwne, że ptak został przez nas wystraszony. Po czym znowu docierały do nas dziwne dźwięki, które na pewno nie pochodziły od ptaków. Nie rozumiem dlaczego sobie to wszystko uświadomiłem. Nie

podzieliłem się tymi spostrzeżeniami z moimi towarzyszami, bo nie chciałem, aby mnie posądzili o brak odwagi. A zresztą nie mieliśmy czasu na rozmowy.

Nie trwało dłużej niż godzinę, aż dotarliśmy do wyżyny, na której leżała właśnie ta miejscowość i było już długo po północy. Trzymaliśmy się w cieniu skał i zbliżaliśmy się do mostu, prowadzącego przez przepaść.

Byliśmy już blisko. Ja i Taggart szliśmy pierwsi, a Nebraska i Taylor w pewnym oddaleniu za nami. Nagle usłyszeliśmy odgłos, jakby biegło wielu ludzi, obejrzałem się. Tutaj w zaroślach nie było tak ciemno i zauważyłem z tuzin ciemnych postaci, rzuciły się one na Taylora i Nebraskę. Z domów wybiegli tubylcy i krzyczeli jak opętani. Byli to mężczyźni, którzy w dzień ukryli się w chatach. Podobno zauważyli nas już przedtem i domyślali się po cośmy przybyli.

Od następnej chwili wszystko szło już na opak. Taylor i Nebraska byli od nas dość oddaleni i Toltekowie odcięli ich od nas. Taggart bał się, ale ja chciałem pospieszyć z pomocą Taylorowi i Nebrasce, wyciągnęli oni już swoje noże. Taggart jednak chwycił mnie za ramię.

— Chodźmy na most! Teraz każdy z nas musi działać na własną rękę!

Podczas gdy próbowałem się uwolnić z rąk Taggarta, by pośpieszyć do drugich, wypadła postać z tłumu naszych wrogów i zaczęła się śpiesznie zbliżać do nas. Była to kobieta. Także Taggart musiał to zauważyć, mimo to wyciągnął sztylet, a gdy kobieta była już blisko nas, Taggart napadł na nią. Ale nie zadał jej ciosu sztyletem, gdyż odtrąciłem go na bok. Mój towarzysz upadł, a gdy leżał na ziemi, młoda kobieta chwyciła mnie za rękę i zaczęła mówić do mnie po hiszpańsku; język ten trochę znałem.

— Chcą was wszystkich wymordować — szepnęła — widzieli was podczas ostatnich dwu dni. Wczoraj chodziłam za wami. Polecono mi was szpiegować. Ale nie chcę, by ciebie zamordowano — ja cię kocham. Chodź ze mną!

Odciągnęła mnie ze sobą do mostu. Nie miałem nic przeciwko temu, że mnie sobie upodobała, gdyż była naprawdę ładna. To naturalnie zauważyłem dopiero później. Chociaż jej twarzy nie mogłem dostrzec w ciemnościach, podobał mi się jej głos. Nie chciałem jednak zostawić na łasce losu moich towarzyszy i oświadczyłem jej to.

— Wymordują was wszystkich — perswadowała podniecona. — Obojętnie czy pośpieszysz im z pomocą, czy nie — przy tym tylko i ty także przypłacisz to życiem.

Właściwe miała rację. Byłbym mimo to poszedł z powrotem, gdybym w tej chwili nie był słyszał jak Nebraska i Taylor odpędzili od siebie wrogów rewolwerowymi strzałami. Zaledwie Indianie nieco się cofnęli, Nebraska i Taylor zaczęli biec w naszą stronę. Widziałem jak zbliżali się do nas, wtedy powiedziałem Indiance, by nas prowadziła. Taggart, Indianka i ja dotarliśmy do lekkiego mostu, który nieco się chwiał. Długie młode pnie drzew, które były spowite lianami, tworzyły poręcz, a podstawę tworzyła kora drzewna. Przebyliśmy most i stanęliśmy na wąskiej przestrzeni przed wejściem do pieczary, po czym popatrzyliśmy w stronę Nebraski i Taylora. Biegli w stronę mostu, ostrzeliwując się gęsto, a Toltekowie podążali za nimi w dość dużej odległości. Także Indianie strzelali za nimi z łuków.

W końcu obaj osiągnęli most, a byli już prawie w połowie, kiedy dziesięciu do dwunastu Indian rzuciło się na koniec mostu i całą siłą ciągnęło go ku sobie tak, że po naszej stronie most urwał się. Krzyknąłem do nich i pobiegłem na skraj mostu, ale było już za późno. Momentalnie napięły się liny, potem rozluźniły się wiązania i most runął. Nebraska widział to i odskoczył w ostatniej chwili w przód, aby stanąć na ziemi, tam gdzie myśmy stali, lecz skoczył prawie o metr za blisko i runął w ciemną, głęboką przepaść! Doznałem zawrotu głowy, ale mimo to widziałem, że Taylor nagle się odwrócił i zwinnie jak kot wspinał się po szczeblach lian. Byłby też osiągnął drugą stronę przepaści, Toltekowie jednak nie dali mu wejść na górę. Spychali go, kłuli oszczepami i nożami, a kiedy usłyszałem jego głośny krzyk, gdy włócznią zranili go w ramię, wyciągnąłem rewolwer i zacząłem strzelać do Tolteków. Byłem tak rozdrażniony, że wpierw nie pomyślałem o tym. Indianie wcale nie przejmowali się moją strzelaniną.

Trzech lub czterech ugodziłem, bo padli na ziemię, inni cofnęli się, lecz przybywali coraz to nowi. Bezradnie stałem po drugiej stronie. Spychali Taylora coraz niżej, aż w końcu i on runął w przepaść. Tego obrazu do końca mego życia nie zapomnę, a nieraz budziłem się w nocy i przeżywałem te koszmarną scenę.

Nagle zauważyłem, że z pieczary wybiegł kapłan Tolteków. Miał w ręce włócznię i zakradał się za Taggartem, który ze strachu był półprzytomny. Wyciągnąłem rewolwer, lecz wystrzeliłem już wszystkie naboje, nie zostało mi nic innego, tylko wyciągnąć sztylet. Przybyłem za późno, gdyż nasza towarzyszka także zauważyła kapłana, zakradła się za nim. Popchnęła go w przepaść.

Toltekowie stojący po drugiej stronie urwiska obserwowali to zajście, widzieli, że kapłan popchnięty przez dziewczynę runął w przepaść. Dotychczas nie strzelali do nas, prawdopodobnie bali się, by nie ugodzić młodej dziewczyny. Gdy się jednak przekonali, że ona jest zdrajczynią i że przyszła nam z pomocą, posypał się na nas grad strzałów i dość ciężko nas poraniono. Pobiegliśmy szybko do groty, gdzie byliśmy zabezpieczeni przed atakiem, trzy lub cztery razy próbowali znowu most zarzucić, który zawisł na skale, ale nie udało się to im, gdyż z naszej strony nie udzielono im pomocy. Taggart i ja znowu naładowaliśmy rewolwery i strzelaliśmy bezustannie. Strzelaliśmy celnie bo dochodziły nas krzyki i jęki rannych. W końcu cofnęli się, a myśmy się naradzali. Nie liczyli się widocznie z tym, że jedna osoba z ich grona przejdzie na stronę wroga, i gdyby się to nie było stało, to Taggarta i mnie byliby niechybnie szybko wykończyli.

Teraz znajdowaliśmy się w grocie, w której znajdował się skarb, ale nasze położenie było groźne. Obawialiśmy się bowiem, że Toltekom uda się uzyskać połączenie miedzy oboma stronami przepaści. Indianka, Ezela, przekonała nas, że mostu w żaden sposób nie można będzie umocnić bez pomocy ludzi będących, po tej stronie urwiska. Od niej dowiedzieliśmy się także, że kapłan, który runął w przepaść, znajdował się w świątyni sam, ponieważ inni kapłani poszli do sąsiedniej wsi, bo tam obchodzono uroczystość. Przy tym zdradziła nam, że istnieje tajemne wejście do groty. Odkryła je przypadkowo i nikt oprócz niej i kapłanów o tym nie wie. Toltekowie zapewne wyślą gońców do kapłanów i zawezwą ich z

powrotem. Ezela nalegała, byśmy uciekli, póki kapłani nie będą strzegli ukrytego wejścia z drugiej strony. Następnie Ezela wskazała nam, gdzie mieszczą się kosztowności. Taggart zagarnął tyle, ile tylko mógł unieść. Ezela nie miała nic przeciwko temu, gdy Taggart chował, co tylko mógł. Ale wtedy namówiła mnie, abym sobie także coś wziął. W grocie były cenne klejnoty, złoto i diamenty, a wreszcie ujrzałem coś w rodzaju ołtarza.

Wziąłem sobie coś ze złota, wtem zwróciłem uwagę na posąg ze złota i drogich kamieni, miał może piętnaście centymetrów wysokości. Dawniej myślałem, że Qeza oszukuje moich przyjaciół, opowiadając o tych skarbach, lecz gdy ujrzałem tego bożka przekonałem się, że powiedział prawdę. Na małym posążku było może sto diamentów, a były to kamienie począwszy od jednego do ośmiu karatów. Wsunąłem bożka do kieszeni, po czym zwróciłem się do Ezeli i Taggarta, którzy czekali na mnie.

Indianka prowadziła nas przez wąski długi korytarz. Po przebyciu wielu schodów, doszliśmy do innego tunelu, a spory kawał drogi odbyliśmy po ciemku. W krótkim czasie poczułem prąd świeżego powietrza. Po pewnym czasie znaleźliśmy się na wąskim stopniu górskim. Leżał prawie piętnaście metrów poniżej mostu i było tak ciemno, że zaledwie mogliśmy widzieć siebie.

Ezela szeptem kazała nam iść za sobą. Zachowaliśmy najdalej idącą ostrożność. Po przebytych tarapatach i trudach ciężko nam było pełzać na czworakach, wzdłuż wąskiej ścieżki. Uszłoby to jeszcze przy dziennym świetle, ale w nocy był to bardzo męczący wysiłek. Wciąż prześladowała mnie myśl o Nebrasce i Taylorze, a czasem czułem się tak źle, że myślałem, iż lada chwila runę w przepaść.

Godzinę trwało aż to niebezpieczne miejsce mieliśmy już za sobą i było dobrodziejstwem dla nas, że otaczały nas ciemności i nie widzieliśmy otaczających nas niebezpieczeństw. Nogami tylko wyczuwałem jak wąska była ścieżka prowadząca nad przepaścią, a czasem groziło, że nie starczy mi sił, do przebycia jej, i że runę w przepaść. Także Taggart był bliski załamania się. Trzy razy musiałem się odwrócić, by dodać mu otuchy, inaczej nie byłby tych trudów wytrzymał.

W końcu mieliśmy pod stopami stały grunt i mogliśmy wreszcie odpocząć. Minęła godzina zanim Taggart i ja mogliśmy się podnieść, podczas gdy Indianka była zupełnie świeża i wypoczęta. Opowiedziała mi, że pewnego dnia przypadkowo odkryła tę drogę. Włócząc się po górach, przebyła tę niebezpieczną drogę i przekonała się, że prowadzi do świątyni w grocie.

Taggart nie życzył sobie, aby Ezela szła dalej z nami, ale nie mogłem przecież narazić jej na zemstę jej współplemieńników. Poza tym Ezela doprawdy mnie pokochała. Po drodze powtarzała mi wciąż, że chce ze mną pójść i że to wszystko uczyniła tylko z miłości do mnie. Schlebiało to mej próżności, a wkrótce także byłem pewien, że ją kocham. I tak zabraliśmy ją ze sobą.

Po całotygodniowym uciążliwym marszu przez dżunglę dotarliśmy nareszcie do miejsca, gdzie zostawiliśmy nasze czółno. Gdy byliśmy oddaleni od brzegu zaledwie o jakie dwie mile, odkryliśmy, że nad

brzegiem pojawili się Toltekowie. Było ich więcej niż stu bojowników, tańczyli jakiś taniec wojenny, przy tym grozili nam włóczniami.

Żywność prawie nam wyszła, zatrzymaliśmy się w małej miejscowości u brzegu zatoki i zaopatrzyliśmy się w potrzebne artykuły. Następnie popłynęliśmy ujściem rzeki Rio Grande.

Tydzień później znaleźliśmy się już na ziemi Stanów Zjednoczonych. Pewnej nocy Taggart chciał mnie zamordować. Raz bowiem pokazałem mu bożka, podczas, gdy Ezela spała w łodzi, a Taggart zazdrościł mi tego skarbu. Ezela krzyknęła, gdy zobaczyła, że mój przyjaciel zamierza mnie zabić, a ja przebudziłem się w porę i chwyciłem go zanim udało mu się mnie zamordować. W końcu uciekł, zostawił wszystkie skarby w naszym obozie, wziął tylko tyle, ile mógł pomieścić w kieszeniach.

Przez cztery lata go nie widziałem.

Zabrałem Ezelę ze sobą w okolicę, gdzie dawniej mieszkałem, odwiedziłem rodzinę Connorów, u których Cię zostawiłem. Potem kupiłem wóz, konie, potrzebne sprzęty i żywność na podróż, i wyruszyłem do New Mexico. Zawiodłem się na Taggarcie, miałem więc dość dotychczasowych przyjaciół. Byliby mnie też wyśmieli, że chciałem poślubić Indiankę. Tak więc przybyłem w tę okolicę, wziąłem w posiadanie dolinę żywiąc nadzieję, że tutaj nikt mi nie będzie przeszkadzać. Mieszkałem tu już cztery lata, potem znalazł mnie Taggart. Kilka klejnotów ze skarbu Tolteków spieniężyłem, nie sprzedałem jednak bożka, mimo, że sam nie mogłem pojąć dlaczego tego nie robię.

Dałem Taggartowi złoto zostawione przez niego swego czasu w naszym obozie, nie zadowolił się tym, żądał więcej i namawiał mnie, bym sprzedał złotego bożka i podzielił się z nim utargowaną sumą. Postanowił w legalny lub nielegalny sposób przywłaszczyć sobie bożka, osiedlił się piętnaście mil stąd, za rzeką. Od tego czasu Taggart tam mieszka, a ja nie zabierałem z ukrycia bożka, gdyż obawiałem się, że on będzie czyhać na drodze na mnie, by mnie napaść i obrabować.

Pewnego razu, gdy mnie nie było w domu Taggart przyszedł na farmę i powiedział Ezeli, że posiadam złotego bożka. Od tej chwili życie moje stało się czyśćcem, a Ezela stała się moim wrogiem. Oświadczyła, że sprofanowałem świętość jej plemienia i wciąż wypominała mi to, aż uprzykrzyła mi się do tego stopnia, że nie mogłem wprost znieść jej widoku.

Wkrótce po osiedleniu się na farmie uświadomiłem sobie, że jej nie kochałem. To co uważałem za miłość, było jedynie uczuciem wdzięczności. Lecz i to już nie obowiązywało mnie, bo Ezela wciąż czyniła mi wyrzuty z powodu bożka, wysadzonego diamentami. W końcu odkryłem, że ona z Taggartem spiskowali przeciwko mnie. Rozumie się, że jedynym celem Taggarta było zdobycie, dla siebie kosztownego posążka, zupełnie go nie obchodziły religijne skrupuły Ezeli.

Próbowałem Taggarta zastrzelić, gdy dowiedziałem się o tym wszystkim, lecz umknął, a potem nigdy sam nie wyjeżdżał, wobec tego nie nastręczała mi się więcej sposobność, aby uskutecznić to co zamierzałem.

Chciałem się pozbyć z domu Ezeli, ona jednak nie chciała odejść, i oświadczyła mi, że dopiero wtedy pójdzie, gdy otrzyma bożka. Często

zastanawiałem się nad tym, aby ją po prostu sprzątnąć, ale potem przypominałem sobie, że to ona właśnie niegdyś uratowała mi życie, więc nie zrobiłem jej nic złego.

Przecież sam wiesz, jakie było nasze pożycie. Memu życiu stale zagrażało niebezpieczeństwo; stałem się twardy, podejrzliwy i brutalny, a w tych warunkach i Ty musiałeś cierpieć.

Taggart i Ezela przekupili moich ludzi i kazali mnie śledzić. Nie pozostało mi nic innego jak ich odprawić. Po śmierci Ezeli sądziłem, że Taggart zostawi mnie w spokoju, ale nadzieja była płonna — i za wszelką cenę chciał sobie przywłaszczyć posążek.

Pewnego razu Taggart i jego syn napadli na mnie i zostałem postrzelony w ramię. Gdy się broniłem, będąc sam w domu, jak tylko mogłem, szczęśliwym trafem nawinął się w pobliżu Malcolm Clayton, usłyszał strzały i pośpieszył mi z pomocą. Gdy będziesz czytał te słowa, Betty opowie Ci obszerniej o tym, a Ty wiesz już chyba, czego możesz spodziewać się po Taggartach.

Otóż to jest historia bożka indiańskich Tolteków. Nie czynię sobie wyrzutów, że przywłaszczyłem sobie ich bożka. Tom Taggart nie śmie go nigdy dostać w swe ręce. Pamiętaj o tym — jest to moje usilne życzenie! I Ty go nie zaraz otrzymasz, tak samo pieniądze, które zostawiam. Najpierw musisz się przezwyciężyć i stać się innym człowiekiem, i udowodnić, że wybaczyłeś mi. Twoje słowo lub obietnica, że się poprawisz nie wystarczą; musisz to udowodnić czynami i Twym postępowaniem.

Wiem, że wrócisz do domu i życzyłbym sobie, żebym mógł doczekać tej chwili, by mówić z Tobą osobiście. Tego mi jednak los nie użyczy. Nie myśl źle o Twoim ojcu.

James Marston.”

Rozdział 9

Długo jeszcze po przeczytaniu listu Calumet milczał i patrzył na przeciwległą ścianę. Wiadomości te miały dla niego doniosłe znaczenie i uspokoiły go. Ta okropna kobieta, którą w swoim dzieciństwie uważał za matkę i która wywarła tak niepomyślny wpływ na jego los, nie była jego matką. Jego ojciec zostawił mu zadanie, a on musiał je wykonać. Taggartów nienawidził nie tylko dlatego, że byli wrogami jego ojca, ale dlatego, bo Tom Taggart był zdrajcą. Sam przecież ma podły i zły charakter, o tym dobrze wiedział, ale przyjaciela jeszcze nigdy nie zdradził. Według jego mniemania było lepiej nie mieć przyjaciół, niż ich podejść.

Calumet obejrzał się, zauważył, że Betty wciąż jeszcze była zagłębiona w swej lekturze.

— Czy pani wie, co mój ojciec pisał w tym liście? — zwrócił się do niej.

Odłożyła książkę i skinęła głową.

— Więc pani go otworzyła? — spytał obraźliwym tonem.

— Nie, to nie było potrzebne — odpowiedziała, nie zważając na jego podejrzenie — pański ojciec przeczytał mi ten list. To nie ma znaczenia. Ważne jest tylko to, co pan o tym myśli.

— Pani znowu wtrąca nos w nie swoje sprawy? Chciałbym prosić, by się pani w przyszłości nie wtrącała w sprawy, które dotyczą tylko mnie. Jeśli pani nie będzie miała nic przeciwko temu, zachowam moje myśli raczej dla siebie. Teraz już rozumiem, dlaczego pani myślała, że należę do Taggartów i ich kliki. Gdy ujrzała mnie pani po raz pierwszy przypuszczała pani prawdopodobnie, żel przybyłem tylko w tym celu, by ukraść posążek?

— Tak.

— Taggartowie zatem próbowali go już dostać w swoje ręce, w ciągu czasu odkąd pani tutaj przebywa?

— Tak, nie raz, tylko często.

— Drzwi wszak były otwarte w ów wieczór, gdy przybyłem tutaj. — ciągnął Calumet i przyglądał się podejrzliwie. — Wygląda, przecież na to, jakby pani kogoś prowokowała, aby przyszedł i zabrał tę cenną rzecz.

— Nie zamykamy nigdy przed nikim naszych drzwi.

Zdziwiły go i rozdrażniły jej słowa.

— Ach, jest pani aż tak przebiegła?

Złożył list i schował do kieszeni, równocześnie przyglądał się jej w milczeniu. Jej spojrzenie zatrzymało się na jego zranionym ramieniu i zauważyła, że spod nieudolnie założonego bandażu była widoczna

czerwona spuchlizna. Szybko się podniosła i spojrzała zdecydowanie na niego.

— Proszę, chodź pan ze mną do kuchni, muszę panu przebandażować ramię!

Zmierzył ją pogardliwym spojrzeniem.

— Kiedyż to dałem pani pozwolenie, aby pani mną tak rozporządzała? Nie potrzebuję nikogo, by się o mnie troszczył, jeśli mi będzie potrzebne, to sam sobie opatrzę ramię.

— Nie bądź że pan uparty jak uczniak.

Odwróciła się i poszła do kuchni. Słyszał jak krzątała się przy kominie, a wkrótce potem wróciła z samowarem. Napełniła go wodą z wiadra i powróciła do kuchni. Był stanowczo zdecydowany, nie dać się przez nią poruszyć, gdy jednak dziesięć minut później stanęła w kuchennych drzwiach i oznajmiła, że wszystko przygotowała, wstał i wahając się poszedł za nią.

Obmyła mu ranę i skropiła lekarstwem, które przedtem rozpuściła w wodzie. Po gruntownym oczyszczeniu zabandażowała mu ramię czystą, białą chustką. Potem cofnęła się o krok, jakby przyglądając się z zadowoleniem wynikowi swej pracy.

— Czuje się pan teraz lepiej?

— Tak nieco — odparł nieuprzejmie.

Wstał i przyglądał się jej, gdy nakrywała stół i postawiła na nim parę talerzy. Był głodny, a na widok jedzenia, upór jego zmalał. Betty wcale nie spodziewała się, aby odmówił. Irytowały go słowa, które przedtem wymówiła: „Nie bądź pan uparty jak uczniak!”. Bolało go to i nie chciał jej dać sposobności, by mogła te słowa powtórzyć. Gdyby była na niego teraz popatrzyła jego upór byłby się znowu w nim obudził, ale ona wcale nie wydawała się troszczyć o niego. Po nakryciu stołu, odwróciła się i weszła do pokoju.

— Tutaj jest jedzenie — rzekła tylko. — Przygotowałam także panu pokój, ten sam, w którym pan dawniej mieszkał. Zostawiam lampę w jadalni — może zechce pan jeszcze raz przeczytać list swego ojca. Gdy pan pójdzie spać, proszę zgasić światło. Dobranoc!

Mruknął parę niewyraźnych słów. To, że zareagowała na jego gburowaty sposób spokojem, było mu wręcz przykre.

— Co pan powiedział? — spytała stojąc już na progu.

Odwrócił się i obrzucił ją nieprzyjaznym spojrzeniem, bo lekko ironiczny ton jej słów zawstydzał go. Patrzyła na niego na pół drwiąco i na pół rozweselona.

— Dobranoc, — rzucił szybko, by zakończyć wreszcie ta scenę.

— Dobranoc, — powtórzyła z uśmiechem i znikła.

Przez chwilę Calumet stał obok stołu i patrzył wściekły za nią, po czym odwrócił się i rzucił spojrzenie na nakryty stół. Otóż istotnie dopięła swego, był wobec niej uprzejmy! Chwycił róg obrusa i przez sekundę był zdecydowany, zrzucić wszystkie półmiski i talerze na podłogę, ale uśmiechnął się tylko, usiadł i wziął nóż i widelec do ręki.

Gdy wstał następnego rana, zauważył, że Betty jeszcze przed nim zeszła na dół. Stała przy tylnym wejściu, gdy wyszedł, aby się zająć swoim

koniem. Z uśmiechem powiedziała mu dzień dobry, na co odpowiedział jej ponuro.

Na myśl, że ma wejść do kuchni na śniadanie czuł wyraźną niechęć, ale w końcu postanowił wejść. Czekał tylko na dworze, aż Betty przyszła i go zawołała. Potem udawał jakby był zajęty poprawą siodła, był to jednak wybieg, aby nie przyznać jej, że zwyciężyła. Wszedł dopiero do domu, gdy ona znikła.

Podczas śniadania milczał, w duchu dziwił się zmianą, jaka się dokonała, to wywołało w nim dziwne uczucie. Zrezygnowany pomyślał, że jest to może uczucie wdzięczności, dlatego, że wczoraj zaopiekowała się nim i zaopatrzyła mu ramię, przyglądał się jej bacznie, czy aby ona nie czytała w jego myślach i przypadkiem nie drwiła z niego. Chociaż Betty się często śmiała, nie mógł się wszak w tym dopatrzeć obrazy. Najwięcej zajmowała się swoim bratem, Bobem. Chłopak rozmawiał z Calumetem. Nim dokończono śniadanie, wszczęto rozmowę, która wprawdzie nie była nadto przyjazna, ale mimo to utrzymana była w towarzyskim tonie. Calumet w końcu uśmiechnął się do chłopca, zobaczył przypadkowo, że Betty patrzyła na niego zdziwiona i zadowolona Natychmiast zatrzymał się i przerwał rozmowę. Nie chciał nic zrobić, co by jej się mogło podobać.

Po śniadaniu osiodłał konia, bo chciał się trochę przejechać wzdłuż rzeki. Gdy jeszcze był zajęty tą czynnością, przyszła do niego Betty i wręczyła mu bez dalszych objaśnień gruby list, zaadresowany do niego. Wziął go, rozdarł kopertę wyciągnął list i kilka banknotów. Rzucił jej szybkie spojrzenie, ale Betty pozostała obojętna. Przeliczył pieniądze było tam dziesięć studolarowych banknotów.

— Na co to?

— Czytaj pan list.

Rozłożył arkusz.

„Mój kochany Synu, za te pieniądze, które znajdziesz w tym liście, kupisz materiał budowlany, by odrestaurować dom mieszkalny. Wystawiłem dokładną listę, co na to jest potrzebne; Betty ją przechowuje i teraz Ci ją wręczy. Jeśli będziesz czytał te słowa, to już znaczy, że przyjąłeś obowiązek, jaki nałożyłem na Ciebie i tym samym udowodniłeś, że postępujesz w myśl mego życzenia. Sądzę, że szczerze jesteś zdecydowany się poprawić, a sam fakt, że Betty wręcza Ci pieniądze już jest dowodem, że czynisz postępy. Nie byłbyś ich nigdy otrzymał, gdyby ona uważała, że nie warto zachodu, ażeby z Tobą próbować. Gratuluję Ci do Twego pierwszego powodzenia.

Twój ojciec”

— Razem więc uknuliście ten plan? — spytał. — A pani także wierzy, że już zrobiłem postępy i uczynię to, co pani ode mnie będzie żądała.

— Postępy wprawdzie nie są znaczne — odparła Betty spokojnie. — Istnieją jednak pewne dane, że pan będzie rozsądny. Tutaj jest lista potrzebnego materiału budowlanego, spisana przez pańskiego ojca.

Wręczyła mu listę, którą Calumet powoli i uważnie przeczytał.

— To wszystko ma kosztować według wystawionego przez ojca kosztorysu dziewięćset sześćdziesiąt dolarów — rzekł w końcu patrząc niechętnie na nią, Mam wrażenie, że mój ojciec na swe stare lata niezbyt ostrożnie obchodził się z pieniędzmi. Czyż nie mógł już wypisać jakiejś pozycji, na co mam wydać pozostałych czterdzieści dolarów?

— Uważam, że z rozmysłem tak zrobił. W każdym razie jest przecież możliwe, że ceny w międzyczasie poszły w górę — odparła z uśmiechem, gdy przekonała się, że Calumet był zakłopotany.

— Czyż nie jest to lekkomyślne, że ojciec daje mi tysiąc dolarów? Gdybym te pieniądze zdefraudował i wszystko przehulał?

— Tym samym wykazałby pan, że nie można mu zaufać. Pański ojciec dał mi wskazówki, które liczą się również z tą możliwością.

— Co by się w takim razie stało?

— Tego nie powiem.

— Ten plan wydaje się dobrze obmyślony — odparł wrogo.

— Cieszy mnie, że pan to uznaje.

— Prawdopodobnie to pani pomysł.

— Tak, to ja pańskiemu ojcu go podsunęłam, gdy nie wiedział co z panem ma począć. Miał pewne wątpliwości, czy dopnie pożądanego celu, i obawiał się, że weźmie pan pieniądze i wyda w ten sposób, jak pan to właśnie przed chwilą wspomniał. Ja byłam przekonana, że pan postąpi właściwie.

— Wobec tego miała pani do mnie wielkie zaufanie — odpowiedział z niedowierzaniem — Ufała pani człowiekowi, którego pani nigdy nie widziała?

— Ojciec posiadał pańską fotografię — odpowiedziała. — Zrobiono tę fotografię, kiedy liczył pan piętnaście lat — krótko przed opuszczeniem farmy. Widziałam na niej chłopca o pogardliwym wyrazie twarzy i o zamyślonych oczach. Mimo to poznałam w nim dobry charakter. Osądziłam, że przez dobre obchodzenie się z panem, można wpłynąć na pańską poprawę.

— Tak pani dawniej sądziła, co pani jednak teraz mówi?

— Nie zmieniłam swego zdania, byłam tylko zdziwiona — przyznała rumieniąc się — gdy pan tutaj przybył już jako dorosły mężczyzna. Widzi pan, tę fotografię tak często oglądałam, tak, że mimo woli pana sobie tak wyobrażałam, jak pan na niej wyglądał. Prawie zapomniałam, że panu w tym czasie przybyło trzynaście lat. Mimo to można śmiało powiedzieć, że mężczyzna nie jest niczym więcej niż dorosłym chłopcem. Mimo pańskiego nieokrzesanego zachowania, donośnego szorstkiego głosu i obrzydliwego sposobu traktowania drugich, jest pan w gruncie rzeczy tylko chłopakiem i jestem przekonana, że ma pan dobry charakter. Wierzę, że tak jest właśnie u wszystkich ludzi. Dobre może wyjść na jaw, jeśli ktoś się tym zainteresuje, będzie to pielęgnować i rozwijać.

— W takim razie, więc interesuje się mną pani? — śmiał się Calumet.

— Tak — przyznała szczerze. I jestem ciekawa czy z czasem sąd mój okaże się słuszny, czy nie.

— Pani wierzy, że nie przehulam tych pieniędzy? — zapytał wskazując na banknoty.

— Jestem pewna, że kupi pan materiał budowlany, wymieniony na liście.

— Tego jeszcze nie wiem — rzucił i odwrócił się od niej. — Może to i zgodne z prawdą — a może nie. Ale czego się podejmę, to uczynię, tylko dlatego, że będę to uważał za słuszne, a nie dlatego, aby się pani przypodobać!

Wspiął się na konia i odjechał do najdalszego kąta farmy. Tam odwrócił się na siodle, przekonany, że Betty będzie za nim patrzyła. W głębi serca nawet sobie tego życzył. Ale ona weszła do domu nie oglądnąwszy się. Ściągnął usta i szybkim kłusem pojechał w dolinę.

Rozdział 10

Calumet nie śpieszył się, ale po dwu godzinach był już w Lazette. Po drodze przemyśliwał nad dziwną zmianą, jaka dokonała się w nim ostatnio, a nawet teraz bawiły jego myśli przy Betty, gdy już podjechał przed sam front zbudowanej z surowych desek knajpy „Pod czerwonym psem". Betty miała do niego zaufanie — był to niewiarygodny cud. Dotychczas nikt mu nie ufał, a z tym nowym doświadczeniem musiał się dopiero oswoić i dokładnie pojąć, aby móc się tym cieszyć. A że się cieszył, temu nie mógł zaprzeczyć. Chociaż był wpatrzony w wejście do knajpy, zupełnie nie zdawał sobie z tego sprawy. Przed jego oczyma stała Betty, gdy podawała mu pieniądze. „Byłam przekonana, że postąpi pan właściwie" — powiedziała, czy też coś w tym rodzaju. To nie ma znaczenia, jakie były jej słowa; wyraziła nimi w każdym razie to, że ma do niego zaufanie, a jej spojrzenie wyraźnie wskazywało, że on nie zawiedzie jej zaufania.

— Czy postąpi właściwie?! Tego jeszcze nie wiedział. Po raz pierwszy w swoim życiu był niezdecydowany, mając tyle pieniędzy w kieszeni. Tak, dawniej w Durango nie byłby się długo nad tym zastanawiał. Urządziłby sobie wesołą libację, piłby i grałby tak długo, ażby centa nie pozostało w kieszeni! Ale teraz wydawało mu się to od niego tak odległe, zdawało mu się, że jakiś wewnętrzny głos dyktował mu, że tak nie powinno być. Czuł pewne zdziwienie na myśl, co by się stało, jeśliby ten dziwny plan Betty doprowadził do końca.

Po tym jednak nawiedziły go inne myśli. Dlaczego, jeśli ma pieniądze, może się przecież zabawić jak dawniej? Siedział zastanawiając się, powoli ogarnął go wesoły nastrój. Czy był on jeszcze tym samym Calumetem Marstonem, który przed tygodniem zgorzkniały i zgryziony wybrał się w podróż do swego domu rodzicielskiego? Jak długo właściwie był już na ojcowskiej farmie? Przecież dopiero dzień lub dwa, a jemu zdawało się, jak gdyby był tam już cały rok. I w tak krótkim czasie on się zmienił! Było to wprost nie do uwierzenia i śmieszne. Chociaż tak źle traktował Betty, ufała mu! Do tego tylko kobieta jest zdolna! Żadna kobieta nie potrafi logicznie myśleć. Ta cała historia była komedią. Nagle wyprostował się w siodle i zaśmiał się głośno.

Gdy znowu spoważniał, zobaczył, że jakiś młody cowboy siedział przed gospodą i śmiał się do niego.

W pierwszej chwili Calumeta to rozzłościło zmrużył oczy i spojrzał z ukosa na niego. Ale gdy uświadomił sobie komizm sytuacji, musiał się znowu śmiać. Obcy cowboy był jeszcze młody, liczył najwyżej dwadzieścia

jeden lub dwadzieścia dwa lata A najmniej od tygodnia nie był golony. Siodło leżało obok niego i mimo, że ten młody człowiek dopiero tak beztrosko się śmiał, wydawał się znajdować w przykrym położeniu. Calumet nagle zainteresował się nim. Człowiek, który potrafił się śmiać, gdy mu się źle powodzi, musiał w gruncie rzeczy być dzielny.

— Pan chyba mi powie, dlaczego pan się śmieje? — spytał Calumet chłodno.

— O to samo mógłbym się i pana zapytać. Siedzę tu, tracę swój czas na rozmyślania i głowię się nad tym, kto u mnie wyłudził moją półroczną gażę, którą przyniosłem wczoraj popołudniu do miasta. Ale nic z tego nie wychodzi. Naraz pan się zjawia tutaj i śmieje się widocznie bez powodu tak, że echo rozbrzmiewa po ulicach. Teraz już pan wie, dlaczego musiałem się roześmiać.

— Zdaje się, że pan nie ma przede mną wielkiego respektu?

— Nie, ale pan się tak serdecznie śmiał, że porwał mnie także tym i mimo woli musiałem się roześmiać — tłumaczył się cowboy usprawiedliwiająco. — Nie mam potrzeby szukać kłopotów, bo i tak aż po uszy w nich tkwię.

Calumet zmrużył oczy. Ten młody człowiek znacznie różnił się od innych.

— Tak więc pana oskubali? Ale pan jest już dość stary, aby wiedzieć, co z tego wyniknie, jeśli pan się będzie wdawać z zawodowymi graczami.

— Czyżby i pan miał już za sobą przykre doświadczenie? — zapytał cowboy z westchnieniem. — Byłbym nawet siodło przegrał, gdyby je byli chcieli. Ale wygląda prawie tak, jakby mi właśnie siodło chcieli zostawić po to, abym sobie poszukał nowe miejsce i zarabiał pieniądze, które by potem przy pomocy kart mi zabrali. Ale oni się mylą. Dade Hallowell raz na zawsze wybił sobie z głowy, że jest dobrym graczem.

— Czy ma pan w tej chwili jakieś zajęcie?

— Jestem wolny. Tamtej nocy tak strasznie piłem, że dzisiaj mi jeszcze szumi w głowie. To było szaleństwo! — Nagle wyraz jego twarzy się zmienił. — Ale panu widocznie dobrze się powodzi. Jeżeli można się tak beztrosko śmiać, jak pan to czynił, to się zapewne nie ma kłopotów.

Ta nagła zmiana tematu znowu naprowadziła myśli Calumeta na Betty.

— Pozory często mylą. Mam moc kłopotów. Obecnie mam tysiąc dolarów w kieszeni, a to nie jest drobnostka.

Dade wyprostował się i spojrzał na niego zdziwiony:

— Co, ma pan tysiąc dolarów w kieszeni? I tym się pan martwi?

— Ta cała sprawa jednak pana nic nie obchodzi. A może pan sobie wmawia, że powiedziałam to, aby pana zmartwić, ponieważ pan wszystko stracił. Ale nie, rzecz tak się ma. Możliwe, że coś planuję w związku z panem. Gdy zobaczyłem pana, nie wiedziałem, co mam o panu myśleć. Ale co by pan na przykład na moim miejscu uczynił mając tysiąc dolarów w kieszeni?

— Zależy to od wielu okoliczności... — odpowiedział Dade ostrożnie. — Gdybym komu je zrabował lub napadł wóz pocztowy, albo gdybym włamał się do banku, starałbym się jak najszybciej stąd uciec. Ale gdybym je

zarobił uczciwie, to jako porządny człowiek pomógłbym znowu stanąć o własnych siłach biedakowi, który przegrał wczoraj wszystkie pieniądze.

— Wiem, że to by panu odpowiadało. Ale rzecz ma się trochę inaczej. Te tysiąc dolarów wręczyła mi kobieta, bym kupił za nie różne rzeczy: konie, wóz, budulec, narzędzia, gwoździe i tym podobne.

— Do licha! — zaklął cowboy rozczarowany i posmutniał. — Pan więc nie ma prawa tych pieniędzy wydać na coś innego. Byłby pan jeszcze gorszy, niż złodziej, gdyby pan te pieniądze przehulał.

Calumet spojrzał ostro.

— Może pan ma rację. Pan W każdym razie utwierdził moją decyzję. Jeżeli pan jeszcze tutaj będzie, gdy wszystko załatwię, to razem wypijemy, o ile tylko coś z tych pieniędzy zostanie. — Calumet bezpośrednio przerwał rozmowę i odjechał.

Dade Hallowell zamyślony spoglądał za nim.

Po dwu godzinach Calumet wrócił, prowadząc parę koni zaprzężonych do wozu. Materiał budowlany, beczki skrzynie i wszelkie możliwe rzeczy były na nim załadowane. Swego wierzchowca przywiązał z tyłu.

Cowboy siedział jeszcze na tym samym miejscu, gdzie go Calumet zostawił — widocznie nie ruszył się z miejsca. Ale gdy zobaczył, że Calumet się zatrzymał i zeskoczył z wozu, podniósł się uśmiechając się doń przyjaźnie.

— Dużo pan w międzyczasie załatwił! Na dole w Teksasie miałem wiele do czynienia z piłą i młotem, a ludzie uważali mnie za zręcznego pracownika. Może ma pan pracę dla mnie?

— Ile może panu płacić człowiek, który wcale nie ma prawa pana przyjąć?

— Czy nie jest pan farmerem? — spytał Dade rozczarowany.

— Nie, kierownictwo należy do kobiety. Jeśli pan chce pracować, może pan ze mną. pojechać, może nadarzy się sposobność. Poza tym nie mogę panu pomóc.

— Dobrze, idę z panem — wyraził zgodę cowboy i włożył siodło na wóz. — Przedtem pan powiedział, że zechce pan ze mną wypić, jeśli panu zostanie parę dolarów.

Calumet zwlekał.

— Tylko jedną szklankę — nalegał Dade — może dwie, ale nie więcej niż trzy, cztery. Czy farma pańska leży daleko stąd?

— Dwadzieścia mil.

— W takim razie wypijmy dwie szklanki. Bo później sam pan by pożałował, że nie wykorzystał nadarzającej się okazji.

— No, dobrze — burknął Calumet. — Wejdź pan.

Potem sam poszedł za Dadem do knajpy.

Siedziało tu tylko dwu ludzi przy stole pośrodku dużego pokoju. Rozmawiali, żartowali i obojętnie popatrzyli, gdy Dade z Calumetem weszli. Szybkim spojrzeniem ocenili ich obu, po czym rozmawiali dalej. Za bufetem czekał gospodarz i obserwował leniwie nowych przybyszy.

— Daj pan tę samą markę, co wczoraj! — zawołał Dade. — Czy pan już zauważył — zwrócił się do Calumeta, który również napełnił swoją szklankę — ile odwagi dostaje się po wypiciu parę kieliszków whisky? Gdy

wczoraj wypiłem parę szklanek, wszystko widziałem różowo, a myślałem nawet, że wygram u tych ludzi. A im więcej piłem whisky, tym łatwiejsze mi się to wydawało.

— Nalej pan jeszcze — zachęcał Dade'a gospodarz, gdyż Dade grał wczoraj przy jednym z jego stołów. Uśmiechnął się uprzejmie do cowboya, jego sposób obejścia zazwyczaj był uprzejmy i towarzyski. Przysuwając Dade'owi flaszkę przyglądał się z zainteresowaniem Calumetowi.

— Pan jest obcy tutaj? Widziałem, że naładował pan na wóz moc rzeczy. Z której farmy pan pochodzi?

— Z Ypsylon-Farmy.

Gospodarz zdziwił się, przypatrywał się bacznie Calumetowi.

— Ach, ta przecież należała do starego Marstona? — Gdy Calumet powoli skinął głową, gospodarz mówił dalej. — Betty Clayton teraz nią zarządza. Mówią, że stary był podłym, starym psem, najpodlejszy...

Calumet się przechylił, a gospodarz przestraszył się jego wzroku.

— Mówi pan z synem starego psa, a może pan chce wiedzieć, że to, co pan mówi jest wierutnym kłamstwem?!

Gospodarz zbladł, a potem poczerwieniał.

— Przepraszam pana bardzo. Myślałem — pan rozumie — ludzie mówią tak wiele.

— Wierzę — odrzekł Calumet z uśmiechem. — Lecz niewiele skorzystają, gdy będą mówili jeszcze dłużej.

— Pij pan jeszcze, panie Marston! — zachęcał gospodarz i wyciągając chustkę, obcierał pot z czoła. Następnie usunął się aż na drugi koniec stołu bufetowego nie troszcząc się dalej o Calumeta.

Dade wypróżnił swoją szklankę i odstawił ją.

— Betty Clayton? — spytał podniecony i popatrzył bystro na Calumeta. — Czy ma ona dziadka Malcolma i brata Boba?

— Tak, to ona. Ale co, czy zna pan tych troje?

— Naturalnie, byli przecież naszymi sąsiadami w Teksasie!

Calumet przymknął oczy.

— To jest przyjemna wiadomość — dla pana. I Betty ucieszy się panem.

Dade zupełnie nie mógł pojąć Calumeta.

— Jeszcze nie mogę zrozumieć, jak się rzecz ma. Powiedział pan właśnie, że Betty zarządza farmą, a równocześnie opowiada pan gospodarzowi, że jest pan synem właściciela?

Calumet uśmiechnął się ponuro.

— Pij pan — rzekł wymijająco i postawił flaszkę przed Dadem. — To jest czwarta szklanka, a gdy ją pan wypije wrócimy na farmę. Betty beze mnie będzie się czuła samotna.

Zaśmiał się głośno, napełnił swoją szklankę i wypił. Potem odwrócił się od baru i szedł ku drzwiom. Na środku lokalu przystanął, gdyż podchwycił, co sobie ludzie przy drugim stole opowiadali. Dade szedł za nim.

— Ach, Taggart! — burknął jeden z mężczyzn głośno. — Ale bujasz dzisiaj. O ile mi wiadomo, Betty Clayton nie wdaje się z mężczyznami. A ty mówisz tutaj — następnych słów nie zrozumiał, gdyż dwaj młodzi ludzie śmieli się głośno.

— Możesz mi uwierzyć! — chełpił się trzeci.

Calumet odwrócił się do połowy i zajrzał w twarz mężczyzny. Była to brutalna, zmysłowa twarz, widniały na niej złe instynkty. Calumet był niezmiernie zdziwiony, ponieważ nie miał przed sobą nikogo innego, tylko jeźdźca, którego w dniu swego przyjazdu do stron rodzinnych widział na wzgórzu i który do niego strzelał. W pewnej mierze, mimo grubych rysów był przystojny i wydawał się bardzo zarozumiały.

Oczy Calumeta zwęziły się. Otóż to był wróg jego ojca — i także jego wróg. Potem wyraz jego twarzy stał się nieprzenikniony. Odwrócił się i zobaczył Dade'a stojącego za sobą, wyprostowanego aby się rzucić na Taggarta, ale Calumet szybko położył ręce na jego barkach i odciągnął go tak, że stanął między nim a Taggartem.

— Uspokój się pan! — ostrzegł go cicho. — Ten osobnik należy do mnie!

Dade widział na twarzy Calumeta ten nieubłagalny, twardy uśmiech, ale nie dał się tak łatwo uspokoić.

— Właśnie mówił o Betty, ten przeklęty szczeniak. — Zniżył głos, aby go ludzie przy stolikach nie mogli usłyszeć.

— Tak — oświadczył Calumet obojętnym tonem, — przyznaję, że mężczyzna, który tak mówi o kobiecie jest podłym łotrem. Tę sprawę jednak sam uregulуję. A pan niech się nie miesza do tego, nawet, gdyby coś się stało. Wypij pan jeszcze jedną szklankę. Jest pan trochę zirytowany. Tymczasem pomówię z Taggartem parę słów.

Zostawił Dade'a samego przy barze i przystąpił powoli do stołu, przy którym siedział Taggart. Młody cowboy zaintrygowany czekał, czy dojdzie do starcia.

Ale się omylił. Calumet uśmiechał się, skinął Taggartowi uprzejmie głową i przemówił doń spokojnym głosem.

— Słyszałem, że jeden z panów nazwał pana Taggart. Czy jest pan z Arrow Farmy?

Młody mężczyzna oparł się o krzesło i spojrzał wyzywająco na Calumeta. Spojrzawszy jednak w stanowczą twarz obcego zbladł.

— Jestem Neal Taggart — odrzekł krótko. — Czego pan sobie życzy?

Calumet uśmiechnął się.

— Sądziłem, że chciałby pan wiedzieć, kim jestem. Jesteśmy sąsiadami — jestem Marston — Calumet Marston z Ypsylon-Farmy.

Krew znikła z twarzy Taggarta; nagle odrzucił krzesło i wstał. Bojaźliwie przypatrywał się Calumetowi, podczas gdy ukradkiem powoli położył rękę na rękojeści rewolweru. Calumet zdawał się nie poruszać prawą ręką, ale zanim Taggart zdołał wyciągnąć broń, już patrzył w lufę rewolweru Calumeta i cofnął szybko próżną rękę.

— Do licha! — przerwał Calumet milczenie, które nagle zapanowało. — Gdybym był wiedział, że pana tym zirytuję, byłbym panu nieco oględniej o tym doniósł. Dlaczego pan chce zaraz wyciągnąć rewolwer, gdy z panem mówię? Spodziewam się, że dojdziemy do porozumienia i zostaniemy przyjaciółmi. Byłoby tak najlepiej, gdyż jesteśmy teraz sąsiadami.

— Przyjaciółmi? — spytał Taggart, cofając się o krok i spojrzał z niedowierzaniem na Calumeta. Przypuszczał, że ten człowiek uważa go za

głupca i starał się to wyczytać z jego twarzy, lecz nie mógł odgadnąć, czy Calumet nie mówi prawdy. Tylko jego roztargnienie zdradzało, że poznał jeźdźca, do którego strzelał na wzgórzu. Wtedy widocznie nie miał pojęcia z kim ma do czynienia.

Calumet odnosił się doń uprzejmie, a Taggart był przekonany, że go nie poznał. Tak samo wierzył, że Calumet nic nie wiedział o sporze ich rodziców. Betty wiedziała o tym, a jeśli mu ona nic o tym nie powiedziała, widocznie więc oboje się nie zgadzali. Może Betty go nie cierpiała, a może była chciwa i chciała spadek zagarnąć dla siebie. Od swego ojca słyszał, że Calumet w młodości był bardzo niedobry i nie dawał sobą kierować. W każdym razie nie żył z Betty szczególnie dobrze.

Poza tym adwokat z Las Vegas powiedział mu, że stary Marston zamianował Betty główną spadkobierczynią swego majątku, jeżeli Calumet me dotrzyma pewnych warunków; sądził z całą pewnością, że Betty doprowadzi celowo do nieporozumienia, by zawładnąć farmą. Te myśli napełniały go zadowoleniem, bo on i jego ojciec mieli mało powodzenia przy atakowaniu Ypsylon-Farmy, i gdyby udało się Calumeta podjudzić przeciwko Betty, prędzej osiągnęliby dawno wymarzony cel. W każdym razie musiał wykorzystać nadarzającą się sposobność i żyć z tym człowiekiem w przyjaźni.

— Ma pan rację — przytaknął. — Nie widzę powodu, dla którego nie moglibyśmy się stać dobrymi przyjaciółmi i cieszę się, że pana tutaj widzę. — Przy tych słowach wyciągnął rękę, ale Calumet wydawał się tego nie dostrzegać. Z uśmiechem schował rewolwer.

— Jeżeli pan będzie w pobliżu mojej farmy, to proszę mnie odwiedzić. Chcę doprowadzić trochę do porządku stary dom, aby można było w nim zamieszkać.

Taggart zmarszczył czoło, gdy Calumet nie podał mu ręki, ale otwarty uśmiech Calumeta wskazywał, że ten odnosi się doń zupełnie szczerze.

— Tak, wstąpię do pana.

— Najlepiej już jutro. Jeśli możliwe, popołudniu — ale może pan też przyjść o każdej innej potrze.

— Jest pan teraz gospodarzem na farmie?

Przez chwilę powieka Calumeta drgała.

— W każdym razie nie pozwalam sobie nikomu rozkazywać.

Potem odwrócił się i przystąpił do Dade'a, który był zły i zdziwiony.

— Pij pan ze mną jeszcze szklankę whisky — zapraszał Taggart z udaną uprzejmością.

Calumet odwrócił się mrużąc oczy.

— Dość już dzisiaj wypiłem z moim przyjacielem. Pracuje u mnie i nie chcę mu dać złego przykładu. Jeśli pan następnym razem będzie w humorze i mnie zaprosi, wypiję tyle, ile pan zafunduje. — Skinął mu ręką, drugą popychając Dade'a ku wyjściu. — Do widzenia! — wołał jeszcze, gdy z cowboyem opuszczał knajpę. Taggart wesoło uśmiechnięty zwrócił się do przyjaciół, którzy przez cały czas nie wtrącali się do rozmowy.

— Ten powiedział, że zostaniemy przyjaciółmi! On jest żółtodziobem! No, ale naje się strachu, gdy się dowie, jak się ma sprawa w rzeczywistości.

Dade zirytowany i oburzony zatrzymał się na dworze.

— Z panem nie pójdę, przeklęty dwulicowy człowieku.

Calumet znowu nieoczekiwanie wyciągnął rewolwer i skierował lufę przeciwko Dade'owi wobec tego cowboy zamilkł.

— Głupcze — rzekł ostro. — Robię co mi się podoba, a jeśli pan odezwie się jeszcze słowem, zastrzelę pana.

— Ależ on obraził Betty! — sprzeciwiał się Dade gwałtownie. — Źle o niej mówił, a pan się z nim zaprzyjaźnił! Byłbym się zajął tym osobnikiem i udzieliłbym mu odpowiedniej nauczki, gdybym był wiedział, że pan mu nic nie zrobi. Ale teraz natychmiast wracam...

Calumet cofnął się o krok i nacisnął cyngiel.

— Zdaje mi się, że nie mogę panu zbyt dosadnie wytłumaczyć, że ja sam tę sprawę doprowadzę do porządku. Niech pan idzie tyłem, jeśli pan chce wrócić do knajpy, bo nie chciałbym panu wpakować kuli w plecy.

Dade spojrzał na niego roztargniony:

— Ach, a między wami jeszcze nie koniec?

— Ludzie, którzy posiadają krztę rozumu dawno by to zrozumieli, ale u młodych cowboyów trwa to dłużej, aż zrozumieją. Jestem jednak zadowolony, że wreszcie pan nabrał rozumu. — Calumet schował pistolet do pochwy. — A teraz w drogę, bo inaczej Betty pomyśli, że w ogóle nigdy nie wrócę.

Dade poszedł z nim do wozu, nie mówił już nic więcej, gdyż w końcu doszedł do wniosku, że Calumet sam się policzy z Taggartem.

Rozdział 11

Calumet przemyśliwał nad swym położeniem, ale jego myśli były chaotyczne i niezadawalające, Wciąż wracał do konkluzji, że o ile zajmie się teraz odbudową farmy będzie to oznaczało iż skapitulował przed Betty.

Następnego ranka, po pobycie w Lazette, siedział na belce, którą wraz z Dadem dopiero co wydźwignęli w górę, aby móc ją obrobić. Dade ze swoim dłutem i kątownikiem był zajęty przy drugim końcu tej belki, palcami poruszał włosy, tak jakby się zastanawiał nad ważnym zagadnieniem. Calumet śledził go bacznie wzrokiem i nawiedził go znowu ten sam niepokój, jakiego doznał poprzedniego wieczoru, gdy Betty i Dade uradowani przywitali się ze sobą. Byli już od dłuższego czasu zaprzyjaźnieni, a to nie podobało się Calumetowi.

Nie mógłby podać powodu. Betty nie znosił, ale mimo to każde słowo i uśmiech jakim darzyła Dade'a, dziwnie go dotykało. Także on lubił Dade'a i to mu było również niezrozumiałe.

Dawniej nigdy nie był uprzejmy dla innych ludzi, lecz Dade jakoś mu się podobał. Okazywał mu względy, interesował się nim, może dlatego bo Dade był jeszcze taki młody i impulsywny. Nie byłe to 'silne przywiązanie, była to raczej przychylna tolerancja, która w każdej chwili mogła się zamienić w uczciwą przyjaźń albo w gorącą nienawiść. Wobec tego bezpieczeństwo i stanowisko Dade'a, były zależne od jego zachowania. Gdy Calumetowi możliwie najmniej wchodził w drogę, wszystko było w porządku, ale gdy mu się sprzeciwiał, lub gdy był zanadto uprzejmy dla Betty, cierpliwość Calumeta mogła się nagle skończyć.

Calumet patrzył na Dade'a Hallowella zamyślony i podejrzliwie, gdy ten marszczył czoło. Dade widocznie był w złym humorze, a Calumetowi sprawiało to przyjemność, że mógł Dade'a czymś rozdrażnić.

— Dlaczego pan się stale drapie w głowę? — spytał Calumet.

Dade zaśmiał się.

— Rozmyślam właśnie jakby to się dało najlepiej zrobić, aby te dwie belki dopasować. W tej chwili nie wiem jeszcze jak mam to zrobić.

— A chełpił się pan, że jest cieślą.

— Nie skłamałem — odpowiedział Dade czerwieniąc się lekko.

Calumet rzucił mu przyjazne spojrzenie.

— A jednak, pan trochę przesadzał. Gdyby mi pan był zamiast tego powiedział, że jest pan golibrodą, nikt by od pana nie mógł żądać, ażeby pan dopasował parę belek. Ale jeśli pan mi oświadcza, że pracował przy robocie ciesielskiej, to sądzę, że potrafi pan chyba sklecić parę marnych wiązań z belek.

Dade odłożył kątownik i dłuto, usiadł na belce i spojrzał hardo na Calumeta. Od dnia wczorajszego jego usposobienie uległo zmianie; wczoraj jeszcze był przystępny i posłuszny, a dziś nie pozwalał mówić do siebie.

— Pomówmy ze sobą jasno — rzekł Dade. — Nie pozwolę, aby pan ze mnie drwił.

Potem śmiało spojrzał mu w oczy.

— Robię, tylko to, co mnie się podoba — odparł Calumet — a jeśli to panu nie odpowiada, to może się pan stąd zabrać.

— Pan się uważa za ważną osobistość — rzucił Dade wprost — a tego ja nie znoszę!

Zanim dokończył te słowa, Calumet błyskawicznie sięgnął po rewolwer. Ale to, że broni nie wyciągnął, stało się zapewne dzięki temu, że Dade Hallowell nie poruszył się. Calumet przeszył cowboya wściekłym spojrzeniem.

— Pan to cofnie!

— Nie, zostaję przy tym mniemaniu, przejrzałem pana!

Calumet chwycił rewolwer. Jego oczy błyszczały. Dade nawet nie poruszył powieką, ale zbladł.

Nastąpiło długie milczenie.

— Chce pan do mnie strzelać? — spytał w końcu Dade.

Calumet stał się niepewny i mimo woli musiał go podziwiać. Znikła jego złość i stopniowo ustępował zły wyraz jego twarzy. Po czym zaśmiał się donośnie i powoli wsunął z powrotem rewolwer za pas.

— Szkoda jeszcze, abym pana tak prędko miał utracić. Zaoszczędzę pana tym razem dla innej okazji.

— Dobrze — przytaknął Dade z pozornym spokojem. Był jednak szary jak popiół, dobrze bowiem wiedział jak bliski był śmierci. — Myślę, że teraz dobrze się rozumiemy. I po sposobie, jakim pan wyciągnął broń i jak się panu udało wyprzedzić Taggarta, widzę, że pan doskonale umie się obchodzić z bronią, a mimo to nie boję się pana. Oświadczę panu także dlaczego przedtem zrobiłem tę uwagę. Wczoraj wieczór mówiłem z Betty. Uczyła się i czytała wiele, a ja powtarzam, co powiedziała, gdyż jestem tego samego zdania, co ona. Myśli pan tylko o sobie, dla pana nie istnieje nic innego na świecie; otóż powiem krótko i węzłowato, pan jest zbyt dumny, nie pozwala pan sobie nic powiedzieć i nie uwzględnia nikogo. Są jeszcze inni ludzie na świecie, a niektórzy są nawet lepsi niż pan, na przykład Betty. Ona naprawdę jest dobrą dziewczyną, a jak długo pan jej nie skrzywdzi, pozostaniemy dobrymi przyjaciółmi. To jest wszystko, co miałem do powiedzenia.

— Ach jest pan łaskaw, mnie tak długo tolerować tutaj, jak długo będę się dobrze i przyzwoicie zachowywać? — rzekł kpiąco Calumet, przy czym w jego głosie przebijał groźny spokój. Nie gniewał się już, gdyż rozsądna rozmowa Dade'a działała łagodząco na niego. Nie chciał też zarywać z Dadem, żeby nie zrazić Betty.

— Jest pan także z Teksasu — zaczął Calumet — a tam zdają się ludzie być bardzo wymowni.

Dade milczał.

— Jeśli zechcę zasięgnąć rady u kobiet i dzieci, tedy zwrócę się wprost do pana i do Betty. A jeśli tego nie czynię, to bądźcie tak uprzejmi i zostawcie mnie w spokoju, zapamiętaj pan sobie, iż wiem co mam czynić. Tym razem pan uszedł, bo — otóż bo jestem na tyle głupi, że na to pozwalam. Możliwe, że następnym razem nie będę tak bardzo ustępliwy.

Potem przez kilka godzin pracowali obok siebie w milczeniu. Dade zauważył, że Calumet często mu się przyglądał pogodnym i zdumionym wzrokiem, ale Dade miał wrażenie, że w tym wzroku kryje się złość. W ciągu przedpołudnia odnowili przednią część domu, a stare zgniłe belki zastąpili nowymi. Twarz Calumeta była brudna i spocona, włosy rozwichrzone, a humor jego też nie był najlepszy.

Przed obiadem, gdy był zajęty młotem i dłutem, nagle zauważył, że stoi za nim Betty.

— Dom już wygląda znacznie ładniej — pochwaliła.

— Tak? — spytał powoli.

Oboje milczeli przez jakiś czas, a Betty uśmiechała się.

— Muszę panu zrobić jeszcze jeden komplement, że nowe konie także kupił pan korzystnie. Właśnie je oglądałam. Owszem podobają mi się.

Calumet uderzał gwałtownie młotem, nie dawał jednak odpowiedzi.

— Także z reszty pańskich zakupów jestem zadowolona.

Odwrócił się i rzekł do niej:

— Uczyniłem, co pani sobie życzyła, ale nie ma pani powodu coś sobie wmawiać. Byłbym tak samo mógł pieniądze przehulać, gdybym był chciał.

— Ale nie uczynił pan tego?!

— Sądzi pani, że może dlatego, bo pani sobie tego nie życzyła — spytał pogardliwie.

— Nie, bo chce pan być uczciwy.

Nie wiedział, jakiej odpowiedzi spodziewać się od niej. Ale to co powiedziała wprawiło go w zakłopotanie. Mimo to podobało mu się, że miała do niego zaufanie, choć sam był zły na siebie, że był jej posłuszny. Gdy się odwróciła i półgłosem rozmawiała z Dadem zastanawiał się, czy bardziej był wściekły na siebie, czy na nią. Przez nią czuł się zakłopotany, ale to wcale nie było przykre. Nurtowały w nim sprzeczne uczucia.

Ukradkiem, obserwował Dade'a, podczas gdy ona z nim rozmawiała, przekonał się, że oboje odnoszą się do siebie z zażyłością, jak gdyby Dade uchodził za przyjaciela rodziny. Betty odnosiła się także do młodzieńca daleko serdeczniej i swobodniej niż do niego. Wobec Calumeta zachowywała się sztywnie i z rezerwą.

Podczas obiadu zdziwiony był jej zachowaniem, przyłapał ją bowiem parę razy, na tym, że wzrok jej spoczywał na nim. Gdyby wiedział, że Dade opowiedział jej o zdarzeniu „Pod czerwonym psem” byłby miał na to wytłumaczenie. Dziwiła się tak samo jak Dade, że zaprzyjaźnił się z Taggartem i że na dzisiaj zaprosił go na farmę.

Po obiedzie Calumet wrócił do pracy. Wydawał się spokojny i niczym niezatroskany.

Dade był tak zajęty, że zapomniał o wszystkim dookoła, gdy spojrzał w górę, zauważył Calumeta siedzącego przed domem na stosie drzewa. Przechylił się niedbale i oparł się łokciami o kolana. Zamyślony patrzył w

południową stronę, w dolinę, gdzie padały promienie, popołudniowego słońca. Dade skierował swój wzrok za spojrzeniem Calumeta i zobaczył w oddali jeźdźca, zbliżającego się do nich. Dade znowu podjął swą pracę.

— Widzisz jednak przyjeżdża — oznajmił Calumet powoli. — Sądziłem, że go już nie ujrzymy tutaj.

— Tak, to on, — rzekł Dade i zajrzał Calumetowi w twarz, lecz rysy Calumeta pozostały bez wyrazu.

Obaj milczeli, do chwili, gdy Taggart przybył do niskiego wzgórza w dolinie, przy którym Calumet po swoim przyjeździe na farmę zobaczył psa Boba. Calumet uszczypliwie zwrócił się do Dade'a.

— Sądzi pan, że Betty się nim bardzo ucieszy?

— Według mego mniemania nie była zadowolona, że pan go tutaj zaprosił, po tym wszystkim, co powiedział w knajpie.

Słowa te zdawały się rozśmieszać Calumeta.

— Do licha ciężkiego! Widocznie doprawdy pan jeszcze taki młody! — Lecz potem nie troszczył się więcej o Dade'a, tylko skwapliwie zajął się Taggartem, zbliżającym się tymczasem do baraków.

Także stary Malcolm usłyszał tętent konia zbliżającego się do farmy i podszedł do drzwi baraków.

Zwróciło to także uwagę Boba, który wyszedł ze stajni i zdziwił się z powodu przybycia jeźdźca. I także Betty, której Dade oznajmił, że Taggart przybędzie, stała we drzwiach domostwa.

Dade popatrzył skrycie na Taggarta, zatrzymującego wierzchowca. Calumet pozornie nie zwracał uwagi na niego, nie podniósł się nawet na powitanie, tylko wyszczerzył zęby do gościa.

— Proszę tylko spokojnie zejść z konia — rzekł Calumet.

Taggart uśmiechał się uprzejmie, gdy stanął na ziemi. O resztę osób, będących w pobliżu, wcale się nie troszczył. Nawet nie spojrzał na Dade'a. Betty przyglądał się tak uporczywie i wyzywająco, że pod wpływem jego wzroku zarumieniła się. Ukłonił się jej z szyderczym uśmiechem i zatoczył koło kapeluszem. Dade byłby mu najchętniej wpakował kulę między żebra.

Calumet wciąż jeszcze się uśmiechał uprzejmie, ale teraz podniósł się powoli i ziewnął. Po tym odwrócił się od Taggarta, stojącego dość blisko niego i popatrzył na Betty. Jego spojrzenie było tak piorunujące, że mimo woli zadrżała ze strachu.

— Betty — rzekł Calumet spokojnie — chodź pani tu.

Wypełniła jego żądanie, gdyż nie mogła oprzeć jego nakazującemu wzrokowi.

Przystąpiła blisko do niego, była bardzo zdziwiona, gdyż po raz, pierwszy widziała tę nieugiętość Calumeta. Teraz dopiero pojęła, dlaczego inni mężczyźni bali się go. Na pozór był całkiem spokojny.

Taggart prawdopodobnie nic z tego wszystkiego nie zauważył; on znowu bezwstydnie kokietował Betty, która stała się jeszcze bardziej zakłopotana. Calumet zdawał się nie dostrzegać jej wzburzenia, tak samo jak i wyzywającego zachowania się Taggarta. Zbliżył się o krok do niego po czym rzekł powoli i dobitnie:

— Taggart, chciałbym panu przedstawić Betty Clayton, która tutaj prowadzi farmę.

Uśmiechnął się złośliwie, na widok przerażenia, w twarzy Betty i wściekłości Dade'a.

— Miałam już zaszczyt poznać pana Taggarta — odparła Betty chłodno. — Jeśli panu tylko o to idzie...

Podchwyciła spojrzenie Calumeta i zamilkła.

Taggart był rozweselony i śmiał się głośno.

— To doskonałe. Przecież znam już panią, odkąd pani przybyła w te strony. Jesteśmy nawet ze sobą zaprzyjaźnieni.

— To jest dziwne! — rzucił Calumet chłodno.

— Jak to — spytał Taggart, zdziwiony osobliwym tonem Calumeta.

— No, że mogłem o tym zapomnieć.

— O czym to? — Przecież pan „Pod czerwonym psem" nakłamał przed przyjaciółmi o Betty. Pani dobrze pamięta, co pan wtedy powiedział i życzę sobie, ażeby pan cofnął te obraźliwe słowa w jej obecności. Właśnie dlatego kazałem panu tutaj przyjść.

— Ależ — zaczął Taggart zakłopotany i zamilkł.

Nie wiedział co w tej chwili ma o tym wszystkim myśleć, spoglądał na wszystkich i wydawało się, że dotychczas jeszcze nie pojął znaczenia tego żądania. Następnie zobaczył błyski w oczach Betty jej złośliwą satysfakcję, zadowolenie na twarzy Dade'a, oraz nieprzejednaną nienawiść Calumeta. Zrozumiał od razu dlaczego Calumet zaprosił go do siebie. Zbladł, zorientował się, że znalazł się w potrzasku.

— Czy spełni pan moje żądanie? Wszyscy czekamy na to.

Taggart przeklinając cofnął się o krok i chwycił za broń, ale tak samo jak „Pod czerwonym psem" Calumet go wyprzedził i zaszachował rewolwerem. Na rozkazujące skinienie Calumeta Taggart wysunął się naprzód, wyciągnął Taggartowi broń zza pasa i odrzucił ją w bok. Szybko przeszukał kieszenie Taggarta, a przekonawszy się, że ten nie ma przy sobie innej broni, cofnął się.

— Daję panu minutę czasu — powiedział. — Może pan się zdecydować, czy mam pana zastrzelić, czy wreszcie pan przemówi. Namyśl się więc pan dobrze, gdyż na długie pertraktacje nie zgodzę się.

Gdy Taggart wyczytał nieugiętą wolę widniejącą w oczach Calumeta zdecydował się.

— Ma pan mnie w swej mocy, muszę więc mówić.

— Otóż mów pan!

— Powiedziałem, że pani mnie całowała.

Calumet ironicznie skrzywił twarz.

— Tego pan wprawdzie nie powiedział, to wystarczy. Nie musi pan dokładnie powtórzyć. Teraz pytam się: Czy jest to zgodne z prawdą, co pan powiedział o Betty?

— Nie — przyznał Taggart. Nie patrzył na Betty, jego twarz była ciemno-czerwona.

— W takim razie pan skłamał? A w dodatku oczernił pan kobietę. W takim wypadku istnieje tylko jedna rekompensata: powiedz jej pan, że jest pan podłym łotrem!

Taggart po części odzyska! równowagę i rzekł:

— Na to może pan długo czekać! Troszcz się pan lepiej o swoje sprawy!

Calumet opuścił rewolwer i wymierzył mu siarczysty policzek. Rozległ się głuchy trzask, gdyż wycelował wprost w podbródek. Taggart runął na ziemię.

Leżał przez jakiś czas, potem się dźwignął i próbował uchwycić rewolwer, rzucony przedtem przez Calumeta na ziemię, lecz ten kopnął go nogą w rękę. Z donośnym krzykiem Taggart podniósł się. Calumet zbliżył się znowu do niego, uderzył go po raz drugi prawą pięścią, a tym razem trafił go wprost w usta tak, że Taggart upadł znowu na ziemię. Przez chwilę podpierał się na łokciach i na kolanach, a głowa zwisała mu między ramionami, chwiał się słabo z jednej strony na drugą, po czym znowu runął, i leżał już bez ruchu na ziemi.

Gdy Calumet stał nad nim, poczuł nagle rękę Betty na swoim ramieniu. Chciała go powstrzymać, ale łagodnie ją usunął mówiąc, aby się do tego nie wtrącała. Malcolm zbliżył się także do nich. Nie brał udziału, ale czuł dziką wprost satysfakcję. I Bob drżał z podniecenia, przypatrując się rozgrywającym się wypadkom.

Poza Betty nikt nie próbował wmieszać się, panowało przygnębiające milczenie, gdy Taggart no pewnym czasie wreszcie się podniósł. Obejrzał się, potem skierował spojrzenie na Calumeta i powoli zbliżył się do Betty.

— Proszę o przebaczenie — mruknął, odwracając się do konia.

Gdy wspiął się na siodło, odwrócił się jeszcze raz. Jego twarz i usta były obrzękłe.

— To pana jeszcze drogo będzie kosztowało! Zrewanżuję się z nawiązką! — odgrażał się Taggart.

— Jestem przecież pańskim przyjacielem, — drwił Calumet — odkąd próbował mnie pan zastrzelić w dolinie. Przywitał mnie pan w dniu mego powrotu w ojczyste strony. Wtedy postąpił pan jak podły, tchórzliwy pies. Teraz domyślam się dlaczego pan się pętał w tej okolicy. Chciał się pan upewnić, gdzie znajduje się złoty posążek. Nie trudź się przyjacielu, tylko niepotrzebnie marnujesz swój czas A poza tym niebezpiecznie dla pana teraz się tutaj włóczyć. Nauczka, której panu właśnie udzieliłem, jest tylko małą próbką tego, czego pan może się spodziewać, jeśli pan znowu pokaże się na mojej farmie. To samo odnosi się także do niecnego złodzieja, pańskiego ojca, i wszystkich ludzi pracujących w waszej farmie.

Stał niedbale i przypatrywał się Taggartowi jadącemu przez dolinę, gdzie po pewnym czasie znikł. Potem wrócił do belki, przy której przedtem pracował, wziął młot do ręki i zabrał się do pracy.

Usłyszał głos za sobą, stała przed nim Betty.

— Słyszałam, co pan powiedział Taggartowi a o tym, że strzelał do pana nie wiedziałam, on w zupełności zasłużył na tę nauczkę. Wiem także, że po części pan go tak urządził, gdyż źle mówił o mnie, za to chcę panu podziękować.

— Może to pani sobie zaoszczędzić, nie uczyniłem tego wcale dla pani.

Zaśmiała się:

— Dlaczego więc nie upatrzył pan sobie innego miejsca, aby mu udzielić nauczki?

Calumet nie odpowiedział jej, uderzał tylko gwałtownie młotem, że aż drzazgi leciały, Przez jakiś czas jeszcze stała przy nim, po tym zaśmiała się i poszła w stronę domu.

Rozdział 12

Jedno najwięcej niepokoiło Calumeta w charakterze Betty: jej szczerość. Nie raz czuł podczas ostatnich dni, że ona wobec niego postępuje uczciwie i bez jakichkolwiek ubocznych myśli. Mimo, że jej zachowanie się wobec niego nie uległo zmianie, traktowała go wciąż jeszcze jak nauczyciel ucznia, którym trudno kierować, nie okazując mu nadto osobistego zainteresowania. Ale zapora miedzy nimi stawałaby się coraz większa, gdyby nie pozwolił sobą kierować i gdyby nie uznał jej autorytetu. Przeświadczenie to coraz bardziej w nim wzrastało i nadaremnie starał się przed tym obronić.

Calumet zastanowił się nad faktem ukarania Taggarta i doszedł do wniosku, że uczynił to jedynie dlatego, że chciał pomścić ojca, a nie, aby wziąć Betty w obronę. Gniewało go, że Betty w ten sposób komentowała tę sprawę, a mimo to czuł pewne zadowolenie, gdy mu dziękowała. Tylko niechętnie przyznawał się do tego. Jeżeli sobie wmawiała, że zbił Taggarta dla niej, to nie miał nic przeciwko temu; było mu to zupełnie obojętne. Postanowił jednak mieć się na baczności, aby nie miała sposobności mu dziękować.

W pracy Betty mu nie przeszkadzała, wobec tego robota przy odnowieniu domu mieszkalnego postępowała szybko. Cały tydzień trwało zanim wymieniono stare przegniłe belki na nowe. Potem odnowiono uszkodzone pale i poprawiono ściany zewnętrzne. Podczas następnych dni odnawiali drzwi frontowe i tylne, a w trzecim tygodniu pracowali nad poprawą dachu. Następnie znalazły się różne drobiazgi tak, że i czwarty tydzień upłynął na poprawkach. Dopiero przed końcem miesiąca Dade z Calumetem wysprzątali gruzy i odpadki. Mimo, że Calumet nie chciał się na to zgodzić, Dade doniósł Betty, że praca została ukończona. Potem obejrzała wszystko za porządkiem, a po tym przeglądzie zwróciła się z uśmiechem do Calumeta:

— Jutro będzie pan mógł pojechać do Lazette, by kupić farbę.

— Pani, aż tak bardzo chce farmę upiększyć?

— Oczywiście, a dlaczegożby nie?

— O to właśnie idzie. — Dlaczego nie! Pani tego przecież nie będzie robiła!

Zaśmiała się:

— Nie wyobrażam sobie by pan naprawdę był leniwy.

— Nie, wcale nie jestem leniwy. — W tej chwili nic lepszego nie przyszło mu na myśl.

Popatrzył na Dade'a, który był czerwony z podniecenia, a Betty dalej mówiła do niego:

— Uważam, że nie może się pan żalić, iż nadto był obarczony pracą. Początkowo był to zamiar pańskiego ojca, ażeby pan sam wykonał wszelkie prace, ale na własną rękę pozwoliłam pomagać Dade'owi.

— Pani więc mi współczuła? — spytał zjadliwie.

— Tak, współczuję panu jeszcze pod innymi względami.

— Kiedyż to wbiła sobie pani w głowę, że jestem taki godny współczucia? — odparł przekornie pytaniem.

— Jest pan już znowu w złym humorze? Nie będę się z panem spierać. — Nagle odwróciła się i weszła do domu.

Calumet kopnął nogą w mrowisko. Dotychczas jeszcze przy każdej scysji był słabszą stroną i prócz tego zawsze miał uczucie skarconego uczniaka. Odczuwał to tym boleśniej, gdyż nie dawała mu powodu, by się mógł na nią złościć. Obejrzał się za Dadem, ten starał się mu pomóc w przezwyciężeniu złego humoru.

— Betty lubi otwarcie wypowiadać swoje zdanie, ale nie wierzę, żeby w połowie tak źle myślała.

Farbę mimo to załatwił; pojechał do Lazette, aby ją kupić, wrócił dopiero po zapadnięciu zmierzchu. Bob, który był przy Betty, gdy ta zmywała naczynie, wszedł by go powitać. Nagle usłyszała, że chłopiec głośno wyrażał swoją radość, przystąpiła do okna. Na dworze było tak ciemno, że nic nie mogła dostrzec. Natychmiast wszedł Bob, trzymał trzymiesięcznego psa dość wątpliwego pochodzenia w ramionach i promieniał z radości.

— Calumet mi go przyniósł! — odpowiedział na pytanie Betty. — Zamiast mego dawnego psa. On jest ładny — Betty, czy tobie także się podoba?

Głaskała psa po łbie i odwróciła się tak, że Bob nie widział jej uradowanego wzroku.

— Tak, on jest bardzo miły.

— O kim mówisz? — spytał Bob szybko — O Calumecie?

Betty wyprostowała się i poczerwieniała.

— Nie, odrzekła stanowczo. Mówię o psie.

Bob spojrzał na nią uważnie.

— Ach — tak — odparł rozczarowany.

Gdy Calumet pół godziny później, po zaprowadzeniu swego konia do stajni, przyszedł do kuchni, stół już był nakryty, lecz Betty tam nie było.

— Gdzie jest twoja siostra? — spytał Boba bawiącego się nowym psem. Psu podobało się to najwidoczniej, bo szczekał radośnie.

— Może już poszła do łóżka.

Parę minut stał Calumet w pobliżu drzwi przypatrując się, jak chłopiec bawił się psem. Kilka razy obejrzał się z rozczarowaniem na drzwi. Czyżby Betty usunęła mu się z drogi? Widział ja przecież na krótko przedtem, jak wyjrzała oknem, a miał prawie wrażenie, że opuściła celowo kuchnię, aby się z nim nie spotkać. Zmarszczył czoło, przystąpił do stołu, obejrzał pojedyncze półmiski i talerze. W każdym razie musiał przyznać, że Betty dbała o niego.

W końcu usiadł i zaczął jeść.

— Czy Betty widziała psa? — spytał po chwili.

— Tak.

— Podobał się jej?

— Tak — odrzekł Bob po raz drugi i popatrzył pytająco na niego.

Od początku lubił Calumeta, mimo, że ten zastrzelił mu psa. I nie zapomniał prostych słów, jakimi Calumet go chciał pocieszyć, gdyż czuł, że myślał to szczerze. Uwielbiał Calumeta odkąd ten mu podarował psa. Calumet próbował, podtrzymywać z nim rozmowę.

— Betty gładziła go po łbie.

— Co właściwie powiedziała.

— Że jest bardzo miły.

Znowu zapanowało milczenie, podczas gdy Calumet dalej jadł. Bob obserwował go i przestał się bawić z psem.

— Teraz widzę — zauważył Calumet — jak kobiety znają się na psach. To zwierzę wcale nie jest ładne, ono nie jest niczym więcej tylko zwyczajnym kundlem.

Bob był zaambarasowany jego słowami. Zdążył się już bardzo oswoić z psem, a słowa Calumeta odczuł jakby rodzaj potwarzy. Zastanowił się, i doszedł do wniosku, że między Betty a Calumetem coś nie było w porządku i może dlatego Calumet był w złym humorze.

— Ja go bardzo lubię.

Calumet zdążył już zapomnieć o psie. Rozmyślał, czy Betty już poszła do łóżka, czy też czytała jeszcze w pokoju mieszkalnym, jak to zwykle czyniła. Snop światła przebijał przez szparę nad progiem drzwi.

— Co powiedziałeś? Że mimo to lubisz psa? Dlaczego?

— Dlatego, że pan mi go podarował — odrzekł Bob, rumieniąc się przy tym wyznaniu.

Calumet skrzywił się, patrząc w stronę drzwi prowadzących do pokoju mieszkalnego. Po czym odezwał się głośno, że Betty musiała usłyszeć, jeśliby się tam znajdowała.

— Lubisz go, bo ja ci go podarowałem? Ale to chyba nie jest powód, dla którego Betty podoba się to zwierzę.

Bob milczał, ale Calumet dostrzegł cień przedzierający się nad progiem drzwi pokoju mieszkalnego, a bezpośrednio po tym usłyszał lekkie kroki na schodach. Uśmiechnął się i jadł dalej.

Rozdział 13

„Jeśliby potrzebne poprawki na farmie dotychczas nie były uskutecznione, nie czytałbyś w ogóle tego listu” — zaczynał się następny list ojca, wręczony mu przez Betty, gdy przy pomocy Dade'a skończył malowanie domu.

Byli już po kolacji, ale naczynia nie były jeszcze sprzątnięte, a gdy Betty podała mu list, odsunął na bok swój talerz, by zyskać miejsce na czytanie listu.

Bob od dawna już spał, a Malcolm i Dade znajdowali się gdzieś na podwórzu. Z początku Calumet chciał się udać za nimi, ale został, gdy Betty mu zakomunikowała, że ma z nim do omówienia jakąś ważną sprawę. A teraz siedziała mu naprzeciw przy stole czekając, by przeczytał list do końca.

„Dlatego” — brzmiała dalej treść listu — „przypuszczam, że teraz łagodniej mnie osądzisz niż dawniej. Jestem o tym nawet przekonany, mimo Twoich licznych słabostek, chciwość i żądza pieniędzy nie należą do Twoich wad. Wiem także, że potrafisz logicznie myśleć. Tymczasem zapewne zastanowiłeś się nad słowami mego pierwszego listu a nie jesteś na mnie zły i nie potępiasz mnie. Szczegółowo obmyśliłem cały plan z Betty, a jeśli zastosowałeś się już do tego stopnia do moich życzeń, to powinieneś mieć teraz więcej swobody. Betty zgodziła się na to, gdyż sądziła, że może ją znienawidzisz, bo robiła Ci trudności, ale w tym wypadku ona dłużej nie zostanie na farmie. Ale nie jesteś głupcem, gdyż tylko jako taki mógłbyś Betty znienawidzić. Namówiłem więc ją, aby nawet w wypadku, jeśli nie będzie się mogła z Tobą pogodzić, została na farmie, aż wszystkie moje życzenia będą wykonane.

Spodziewam się jednak, że Ty po przeczytaniu tego listu już zawarłeś z nią przyjaźń. Może to nawet zbyteczne, bym Ci udzielał rad, ale Betty doprawdy jest klejnotem. Spodziewam się, iż będziesz na tyle rozsądny, że spróbujesz zdobyć ją na towarzyszkę życia, jeśli Ci się to uda. Dałem jej Twoją fotografię, a ona zdaje się Ciebie lubi, mimo, że słyszała wiele złego o Tobie.

Betty utrzymuje, że czyta Ci z oczu, że masz dobry i prawy charakter. Jeżeli już młoda dziewczyna doszła do tego wniosku, to rozsądny mężczyzna powinien ją umieć zdobyć dla siebie. Obmyśl spokojnie tę całą sprawę. Jeśli poweźmiesz takie postanowienie, to będzie Ci się dobrze wiodło, a jeśli nie spróbujesz tego, nie jesteś wart, aby Ci dopomagać.

Cokolwiek zajdzie, Betty zawsze będzie Ci wierna, możesz śmiało na niej polegać.

Teraz Betty znowu wręczy Ci tysiąc dolarów, abyś doprowadził do porządku barak i stajnię.

Chciałbyś może wiedzieć dlaczego nie mam do i Ciebie takiego zaufania jak ona. Niedawno temu przybył do nas pewien człowiek z okolicy Durango, bawił przez jeden dzień tutaj na farmie. Ten człowiek Cię zna i powiedział mi, że jesteś nieugięty i szorstki, i że z nikim nie możesz się zgodzić. Z tego wywnioskowałem, że nie poprawiłeś się od czasu opuszczenia domu. Dlatego musisz się zastosować do mojej woli i woli Betty; spodziewam się, że uznasz, iż dzieje się to jedynie dla Twego dobra.

Twój ojciec"

Po przeczytaniu tego listu Calumet złożył go, schował do kieszeni, oparł się łokciami o stół i popatrzył uważnie na Betty.

— Czy pani wie co ojciec napisał w tym liście? — spytał wskazując na kieszeń, w której dopiero co schował list.

— Nie.

— W liście jednak coś brakuje?

— Tak wiem, tysiąc dolarów.

Podała mu pieniądze w innej kopercie, którą ukryła pod swoim talerzem. Przeszył ją pogardliwym a równocześnie tryumfującym spojrzeniem.

— Jeśli pani nie zna treści listu, skądże pani wiadomo, że mam otrzymać tysiąc dolarów?

W milczeniu podała mu kopertę — uśmiechając się do niego ironicznie, podczas gdy wyciągnął arkusz, papieru i czytał:

„Betty daj Calumetowi znowu tysiąc dolarów po przeczytaniu trzeciego listu.

James Marston"

Calumet odwrócił kopertę i przeczytał na niej imię Betty. Zadośćuczynienie, jakie dopiero co doznał, pierzchło, czuł się znowu mały i upokorzony.

— Co pan teraz mówi do tego? — spytała Betty.

— Inna kobieta na pani miejscu byłaby ten list przeczytała — odparł dobitnie, wstał i wyszedł.

Betty nie wiedziała czy tymi słowami chciał wyrazić coś dodatniego, czy nie.

Na dworze stali Dade i Malcolm w jasnym świetle księżyca i na wezwanie Dade'a wszyscy weszli do Baraku. Chociaż budynek ten był mało zachęcający, wnętrze jednak znajdowało się w dość dobrym stanie, ponieważ Malcolm przeprowadził już wszystkie potrzebne naprawy. Prawie

cały swój wolny czas spędzał przy tym. Teraz zrobił światło, postawił lampę na zwykłym stole, wziął talię kart z półki ściennej, następnie tych troje zasiadło do gry na parę godzin. W końcu Malcolm czuł się już zmęczony i chciał się udać na spoczynek. Dade powiedział, że także położy się już spać. Dade spał z Calumetem w jednym pokoju. Tych dwoje ludzi zdołało się już dobrze zapoznać ze sobą, a Calumet nie miał nic przeciwko temu. Chciał tym udowodnić, że nie pamiętał mu ich pierwszej utarczki. Dade chętnie zgodził się z tym stanem rzeczy i powoli ich wzajemny stosunek ulegał poprawie. Dade też skwapliwie służył Calumetowi pomocą, pracował chętnie i z zamiłowaniem, nie potrzebował zachęty.

Po zgaszeniu światła Dade poszedł za starym Malcolmem na podwórze. Staruszek udał się natychmiast do domu, ale Dade czekał jeszcze przez chwilę na Calumeta.

— Pan także już idzie na górę? — spytał towarzysza.

— Chcę jeszcze wypalić papierosa, a może nawet dwa — odpowiedział Calumet spokojnie.

Calumet widział, jak Malcolm na górze zapalił światło i jak je potem znowu zgasił. W kuchni paliła się jeszcze lampa i jasny jej cień padał na podwórze.

Gdy Calumet pozostał sam, zrobił sobie papierosa i szedł w poświacie księżyca powoli dokoła baraku, rozmyślając, ile potrzeba materiału do rekonstrukcji. Po czym zrobił jeszcze jedną rundę wokół ogrodzenia zagrody. Była to długa przestrzeń, a Calumet dwa razy się zatrzymał, by zrobić sobie nowego papierosa, zanim powrócił z powrotem na podwórze. W końcu obejrzał jeszcze stajnię, przystąpił do parkanu, oparł się na nim ramionami i po raz drugi czytał przy świetle księżyca list swego ojca.

Zbudziły się w nam stare wspomnienia i długo rozmyślał. Ku swemu zdziwieniu, uczuł żal z powodu tego, że dawniej był taki szorstki dla swego ojca. Chociaż był wtedy jeszcze młodym chłopcem, ojcu nie raz dawał powód do surowego obchodzenia się z nim.

Także Taggartowie skrzywdzili jego ojca, oszukali go, a licznymi napadami utrudnili mu życie. Gdy Calumet stał przy ogrodzeniu, ogarnęła go powoli świadomość, że ślepa nienawiść jaką czuł dotychczas do swego ojca, powoli zanikała i teraz myśli o nim inaczej.

Minęły dwie godziny zanim powrócił do domu. usta ściągnął w grymasie, powziął jednak nowe postanowienie.

Powoli otworzył drzwi kuchenne i wszedł. Zatrzymał się przy stole, na którym stała lampa naftowa. Przed kilkoma godzinami mówił w tym miejscu z Betty. Rzucił okiem na miejsce, gdzie przedtem siedziała, a miał złudzenia, że widzi ją teraz przed sobą. Jaki był głupi, że tak źle odnosił się do niej! Już dawno sobie zdawał z tego sprawę, ale nie chciał się do tego przyznać. Ona, zaś poznała się na nim i trafnie go osądziła.

W końcu zgasił światło, poszedł do pokoju i na palcach szedł cicho po schodach, by nikogo nie zbudzić w domu. Na środku pokoju przystanął zdziwiony, gdyż na dole nad progiem drzwi, prowadzących do biura jego ojca widniała smuga światła. Sam dopasował drzwi przy odnawianiu domu, wiedział, że one nieco odstawały, gdy się je zasuwało. Bez ruchu stał w po ciemku, uważnie podsłuchując.

Dwoje ludzi rozmawiało tam cicho. Calumet nie wiedział, kto się znajduje w pokoju, ponieważ nie mógł rozpoznać głosów. Gdy przystąpił bliżej do drzwi, usłyszał dźwięczny śmiech Betty.

Często słyszał jej śmiech, gdy mówiła z Dadem, lecz nigdy, gdy mówiła z nim. Z początku był niezdecydowany, chętnie chciałby wiedzieć z kim teraz rozmawia Betty.

Naturalnie, że miała prawo rozmawiać z kim tylko chciała. Ta rozmowa jednak przy zamkniętych drzwiach dziwnie go poruszyła i bolało go, że miała przed nim sekrety. Uśmiechał się zjadliwie, usiadł ostrożnie na podłodze, rozebrał obuwie, cichaczem zakradał się ku drzwiom i nadstawił ucho.

Słyszał męski głos, nie mógł go jednak rozpoznać. Słowa zaś słyszał bardzo wyraźnie i dokładnie.

— Więc pani metoda nie zawiodła, udało się pani nim kierować? Muszę pani przyznać, że postępuje pani z nim nader mądrze i zręcznie.

— Ja tylko wykonuję poruczone mi zlecenie — odrzekła Betty.

Obcy mężczyzna zaśmiał się głośno:

— On jest ogromnie uparty i trudno z nim dojść do ładu. Przyznaję, że byłem i na to przygotowany, że panią wyrzuci z domu.

Betty odpowiedziała mu nie bez zadowolenia:

— Calumet coraz się bardziej poprawia. Niedawno przywiózł nawet psa dla Boba, jako rekompensatę za tamtego, którego mu bezpośrednio po swoim przyjeździe zastrzelił; tego wieczoru było mi go nawet bardzo żal.

— Cieszy mnie, że nie sprawia pani kłopotów. Zapewne jest ciekawy, gdzie jest ukryta statua.

— Tak. Chciał także wszystkie pieniądze otrzymać od razu.

Mężczyzna ciągnął dalej.

— Teraz niech pani nim tylko dalej kieruje, aż zajdziemy tak daleka, że będziemy mogli wydobyć złotą statuę z ukrycia. Najmądrzej by było zawieść ją do Las Vegas i tam ją spieniężyć. Obecnie, tylko pani ma tutaj głos, miss Betty — oświadczył mężczyzna, a następnie oboje rozmawiali tak cicho, że Calumet nic więcej nie mógł podchwycić.

Calumeta ogarnęła bezgraniczna wściekłość. Betty więc go podeszła, oszukała i igrała tylko z nim. Wykonywała pewien plan i wszystko szło według jej życzenia, a w dodatku miała wspólnika — ten mężczyzna obok, nie mógł być niczym innym — gdyż okazywał zadowolenie z jej sukcesu. Betty „kierowała” nim i uważała go za głupca!

Dobre postanowienia, które dopiero co w duchu uczynił, znowu pierzchły. Zacisnął pięści, przy czym czynił sobie wyrzuty, że pozwolił się usidlić przez Betty i wpłynąć na siebie. Był już bliski tego, aby zupełnie jak marionetka tańczyć według jej woli, potrzebowała tylko pociągnąć za sznurek. Byłaby skorzystała z jego posłuszeństwa, aby postąpić naprzód w swoich planach.

Kim mógł być ten mężczyzna? — Malcolm? — Dade? — Nie uważał tego za prawdopodobne. Brzmienie tego głosu było zupełnie podobne do głosu Taggarta. To podejrzenie wyprowadzało go z równowagi. Calumet cofnął się wstecz o parę kroków i chciał rzucić się na drzwi w ten sposób, by odskoczyły. Zawahał się i szybko poszedł cichaczem schodami na górę.

Najpierw poszedł do swego pokoju, ponieważ chciał się upewnić, czy to Dade mówi na dole z Betty. Gdyby istotnie tak było, młody człowiek musiałby natychmiast, a mianowicie jeszcze tej nocy opuścić farmę! To nie był Dade — młody cowboy leżał w swoim łóżku i chrapał.

Szybko wyszedł i skierował się cicho do pokoju Malcolma. Także Bob i jego dziadek byli pogrążeni w głębokim śnie. Po krótkim namyśle zeszedł powoli schodami na dół i znowu podsłuchiwał pod drzwiami. Betty z obcym rozmawiali jeszcze ze sobą.

Z trudem odszukał Calumet buty, które przedtem zostawił na dole, chciał je dopiero ubrać, gdy będzie przy drzwiach kuchennych, aby potem obejść dom i zaczekać na obcego, który rozmawiał z Betty. Nie chciał spowodować żadnego szmeru, ażeby oboje równocześnie nie odkryli jego zamiarów. Cicho zakradał się w ciemności, zaledwie jednak zrobił parę kroków, gdy nagle nogą natknął na coś miękkiego.

Natychmiast rozległo się głośne szczekanie.

Calumet zaklął, młody szczeniak Boba obudzony nieoględnie, głośno dawał wyraz swemu oburzeniu.

Wtem usłyszał, że ktoś wydał na pół przytłumiony okrzyk, a gdy odwrócił się w stronę pokoju zdołał zauważyć, że drzwi przymknięto.

Szybko ubrał buty i pośpiesznym krokiem wybiegł z domu. Skręcił za najbliższy róg. Rzucając się naprzód, sięgnął po rewolwer.

Bezpośrednio po tym był na froncie domu, otworzył gwałtownie drzwi. Czekał, by tam przyłapać Betty i obcego, ale teraz było już tam zupełnie ciemno. Szybko się cofnął, gdyż obawiał się zasadzki zapalił zapałkę; kiedy dostatecznie już była rozpalona, rzucił ją do gabinetu, ale w środku nikt się nie poruszył. Gdy wszedł do pokoju, zapalił drugą zapałkę, przekonał się, że pokój jest pusty. Betty oraz obcy człowiek usłyszeli szczekanie psa i zrozumieli, że ktoś podsłuchuje ich rozmowę. Obcy prawdopodobnie ulotnił się, a Betty poszła do swego pokoju. Calumet wybiegł na werandę, podtrzymaną filarami, a gdy wzrokiem przeszukał najbliższe otoczenie, odkrył w świetle księżyca jeźdźca.

Mężczyzna najwidoczniej dopiero co dosiadł konia, bo nogą starał się odszukać strzemię. Był od niego oddalony o dwadzieścia lub dwadzieścia pięć metrów. Nagle obcy się odwrócił i Calumet prawie - był pewien, że poznaje Taggarta.

Calumet wystrzelił, lecz jeździec momentalnie pokłusował dalej.

Strzał przeleciał o włos mimo niego i tylko nagłemu pochyleniu się wprzód zawdzięczał swe ocalenie. Calumet po raz drugi wycelował do uciekającego jeźdźca, ten zaś widocznie był na to przygotowany, ponieważ nie jechał prosto przed siebie tylko zygzakiem.

Calumet zdał sobie jasno sprawę, że już niczego więcej nie wskóra, patrzył tylko ponuro za rzekomym Taggartem, aż ten znikł w dali.

W złym humorze powrócił do drzwi wejściowych i przymknął je. Gdy potem znowu wyszedł, zobaczył Dade'a, który przechylał się przez okno z rewolwerem w ręku. Za nim stali Bob i stary Malcolm.

Przy drugim oknie ukazała się Betty. Na pozór wydawała się bardzo spokojna; Calumet nawet odniósł wrażenie, że przypatrywała mu się drwiąco.

— Do licha ciężkiego! — żachnął się Dade. — Dlaczego obudził pan nagle nas wszystkich? Do kogo pan właściwie strzelał?

— Do węża — odrzekł Calumet celowo tak głośno, aby i Betty, stojąca przy drugim oknie mogła go dosłyszeć.

— Wśród nocy strzelać do węża i budzić wszystkich ludzi ze snu?! Jutro rano będzie pan mógł tyle gadów wystrzelać, ile pan tylko zechce!!

Calumet zagniewany spojrzał na górę do Betty.

— Chyba nie wszyscy jeszcze spali? — spytał złośliwie, a gdy dojrzał zmianę w wyrazie twarzy Betty, zaśmiał się głośno. — Była to bardzo cwana żmija, która wśród nocy tu pełzała. Może szukała towarzysza.

Po tych słowach odwrócił się prędko i skierował się ku tylnemu wejściu.

Rozdział 14

Dade spał jeszcze, gdy następnego rana Calumet wstał i zeszedł na dół. Gdy otworzył kuchenne drzwi, pies Boba przebiegł obok jego nóg, poczęstował psinę kopnięciem, że aż głośno zawyło z bólu.

Tego rana nurtowała Calumeta tylko jedna myśl: Betty go haniebnie podeszła. Otóż ten osobnik słusznie miał powód chwalenia się „Pod czerwonym psem". Taggart i Betty spiskowali więc przeciwko niemu, a gdy Taggarta skonfrontował z Betty, to farmer jedynie dlatego tak wyzywająco się wobec niej zachował, by Calumeta zmylić, ażeby ten nie mógł odgadnąć jaka stosunek istotnie ich łączy. A on dał się oszukać! Na wspomnienie, jak odpychająco i chłodno zachowała się względem Taggarta, nie mógł powstrzymać gorzkiego uśmiechu. Chciał ją obronić, ale tylko się tym ośmieszył. Jak tych dwoje wczoraj musiało natrząsać się z niego.

Podczas gdy dawał swojemu koniowi paszę i go napoił, uświadomił sobie w pełni ten smutny fakt. Ani Betty, tym mniej Taggart nie spodziewali się, że wróci na farmę ojca; ich zachowanie zaraz na początku na to wskazywało. Byli niezmiernie podnieceni, mimo, że nie mieli powodu do tego. Bez wątpienia musieli oboje postanowić, by przeczekać ten rok, byli pewni, że on nie się zjawi po odbiór pieniędzy i złotej statuy.

Może nawet planowali, by opuścić okolicę zanim on się tutaj pokaże. Wobec tego, że zaskoczył ją swoim nieoczekiwanym powrotem, musiała zmienić swoje plany. Chcą mu przeszkodzić w wykonaniu życzeń i stawianych mu przez ojca warunków, a to mogli łatwo osiągnąć, utrudniając mu życie na farmie. Dlatego też ze strony Betty spotkał się z tak chłodnym i stanowczym zachowaniem, a często lekceważącym traktowaniem. Prawdopodobnie oczekiwała po nim, że pozwoli sobą kierować, i wodzić się na pasku. Widocznie chcieli go tym zachowaniem doprowadzić do złości, a w końcu do opuszczenia farmy i tym sposobem Betty i Taggart staliby się spadkobiercami posiadłości.

Ale ani Taggart, tym mniej nie Betty nie odważą się przywłaszczyć sobie pieniędzy ani złotego posążka, jak długo on bawi na farmie, gdyż musieli się liczyć z ewentualną zemstą z jego strony.

Był zresztą o tym święcie przekonany, że swoim szorstkim zachowaniem wprost zmusił ją do wydania listów ojca i do przyznania się do tego, że wie o istnieniu złotej statuy. Najprawdopodobniej bała się go pod tym względem okłamywać. Naturalnie chciała go zachęcić, by naprawił budynki i dom mieszkalny farmy, i aby doprowadził je znowu do ładu, tak aby wszystko mogło iść normalnym trybem. A po upływie roku,

przypuszczalnie oznajmi mu, że warunków postawionych mu przez ojca nie dotrzymał, w rezultacie ona sama z Taggartem zagarną spadek.

Ale w tym rachunku grubo się omyli! Dotychczas jeszcze nosił się z zamiarem, że później kiedyś odejdzie, ale gdy przejrzał ich niecne zamiary, zmienił postanowienie. Był święcie przekonany, że tych dwoje obmyśliło tajemniczy plan, żeby go oszukać, ale na przekór im postanowił zostać na farmie i zatrzymać ją dla siebie.

I było mu od początku jasne, że Taggart chce Betty podejść. Każdy zresztą mógł to zauważyć. Mężczyzna, który ma uczciwe zamiary względem kobiety, nie mówi tak o niej przed przyjaciółmi, jak Taggart to uczynił w jego obecności „Pod czerwonym psem”! Taggart w rzeczywistości nie kochał Betty, chciał tylko zdobyć jej zaufanie i wkraść się w jej łaskę, aby zdobyć pieniądze i złotego bożka. Fakt, że spotykał się z nią w tajemnicy, wskazywał na to, że nie wydała mu jeszcze skarbu i nie zdradziła, gdzie jest ukryty. Całkiem możliwe, że wątpiła w prawość jego charakteru i z tego też powodu przewlekała tę sprawę. Na to nie mógł znaleźć innego wytłumaczenia. Ale on się już o to wystara, ażeby Taggart nigdy nie dostał statuy w swoje ręce.

Calumet usiadł do śniadania a podczas jedzenia ukradkiem przypatrywał się Betty. Starała się zachowywać zupełnie swobodnie, lecz to się jej w żadnej mierze nie udawało.

— Dzisiaj rano pani chyba nie ma zmartwień? — rzucił złośliwe pytanie, gdy ich spojrzenia się zetknęły. — Ma pani czyste sumienie — prawda? — dodał obłudnie na widok jej rumieńca.

— Dlaczego miałabym się martwić? — zapytała wytrzymując jego przenikliwe spojrzenie.

— Myślałem, że musiałem pani sprawić przykrość hałasem, który ubiegłej nocy spowodowałem, strzelając do węża....

Ku jego największemu zdumieniu zacisnęła usta, jakby chciała powstrzymać uśmiech cisnący się na nie.

— Mówi pan zagadkowo, Calumecie — odrzekła spokojnie.

Betty więc się wypiera? Tym spotęgowała tylko jego złość.

— Uważa pani, że mówię zagadkowo? Teraz ja chcę...

— Ten wąż sprawił panu tyle ambarasu. — wtrącił Dade.

Calumet obrzucił go szybkim podejrzliwym spojrzeniem, przy czym zastanowił się, czy ten młody człowiek nie uczestniczył także w planie, który Taggart i Betty uknuli przeciwko niemu. Wydawało mu się, że Betty z wdzięcznością uśmiechnęła się do Dade'a ale co do tego nie miał całkowitej pewności. W tym momencie nie miał też zamiaru dalej o tym dyskutować.

Wkrótce po śniadaniu spotkał się z Betty przed domem. Rozwieszała obrusy na sznurze rozpiętym między wystającą częścią budynku a stajnią.

Obserwując ją podczas tej czynności, zdał sobie sprawę, że z powodu jej zdrady czuł nie tylko wściekłość i głęboki żal, ale także ból i rozczarowanie. Miał wrażenie, że utracił coś, co było czymś niepomiernie cenne dla niego.

— Jest pani przeklęcie przebiegła, — odezwał się skwapliwe, — jeszcze bardziej przebiegła niżbym się był kiedyś po pani spodziewał, odtąd

jednak nie pozwolę się przez panią wodzić za nos, jak pozwoliłem dotychczas. — Kiedy zauważył, że przy tych słowach wzdrygnęła się zalękniona uczuł zadowolenie. Teraz przynajmniej wiedziała już, że podsłuchiwał jej rozmowę z Taggartem.

Betty zarumieniła się.

— Pan więc podsłuchiwał naszą rozmowę wczoraj! — rzuciła pogardliwie.

— Wcale się tego nie wstydzę — odparł rezolutnie. — Jeśli człowiek ma do czynienia z ludźmi tego autoramentu — zwlekał i kładł tym samym nacisk na następne słowa — jak pani i Taggart musi się człowiek wyzbyć wszelkich delikatnych uczuć i nie wolno przebierać w środkach. Naturalnie, że podsłuchiwałem pod drzwiami. A co więcej, słyszałem jak Taggart się pytał, czy można mną kierować i czy czynię, co pani żąda. Gdyby nie był w to wmieszany ten przeklęty szczeniak byłbym już położył kres tej sprawie...

Urwał nagle i spojrzał na nią badawczo, gdyż wyraz jej twarzy nagle uległ zmianie, znowu zdawała się górować nad nim, jak to już często dawniej miał sposobność zauważyć.

— Więc słyszał pan, że rozmawiałem wczoraj wieczór z Taggartem? — spytała uszczypliwym tonem. — No potem pan strzelał do niego? Ale co pan chce ode mnie? Chyba nie muszę panu zdawać relacji z mego postępowania?

Calumet zaśmiał się mówiąc:

— Nie, nie musi pani zdawać relacji ze swego postępowania, nie mogę tego żądać od pani. Ale jeżeli pani sprzyja Taggartowi, to może to pani okazywać otwarcie, zamiast spotykać się z nim w tajemnicy, nocą. Kiedy podczas jego pierwszej wizyty tutaj zwaliłem go na ziemię i obiłem, chciała mi pani dziękować, a teraz przekonałem się sam, że miał słuszny powód, mówienia w ten sposób o pani.

Powiedział te słowa, aby ją obrazić, gdyż odczuwał palącą chęć, by ją rozzłościć i wyprowadzić z równowagi.

Lecz Betty jedynie trochę zbladła pod wpływem jego brutalnych słów i obraźliwych insynuacji.

— Gdybym nie miała pewności, że pan mnie szczerze nienawidzi, mogłabym śmiało pomyśleć, że jest pan o mnie zazdrosny. Wreszcie nie wiem, jak też sprawa się przedstawia? — rzuciła pytanie z ironicznym uśmiechem na ustach.

Zdziwiony jej słowami, nagle się wyprostował. Nie robiła wrażenia kobiety schwytanej na gorącym uczynku, wręcz przeciwnie, była spokojna i opanowana i ponadto wydawała się mieć czyste sumienie. I chociaż sam tym wszystkim był mocno zdziwiony, nie miał jednak zupełnej pewności, czy ona ponosi winę. A swoim podejrzeniem, co do jego stanu uczuć, miała zupełną rację, tak, że musiał się z tego powodu śmiać.

— Jest pani przekonana, że jestem o panią zazdrosny? Zdaje się, że pani jest zanadto zarozumiała! Ale radziłbym pani, nie udawać zawsze takiego niewiniątka. Pani jednak nie wierzę! Jest pani chytra i przebiegła, ale przejrzałem panią. Mego ojca pani oszukała i zmusiła go do uwierzenia, że ofiarowała się dla niego i przeprowadzenia jego planu.

Pod wpływem tego napisał te bzdury w listach; a przypuszczalnie pani je sama stylizowała. A w końcu doprowadziła go pani do tego, że pani powierzył złotą statuę i pieniądze, a teraz pani z Taggartem chcecie sobie przywłaszczyć spadek. I pani chce wpłynąć na moją poprawę! Sądzę, gdybym nawet był aniołem i zgłosiłbym się do pani z polecenia Boga nie uznałaby pani, że się zmieniłem. Ponieważ od początku dąży pani do tego, aby mnie pozbawić dziedzictwa.

Odwrócił się i odszedł zmieszany, gdyż zdołał zauważyć, że starała się powstrzymać cisnący się na usta uśmiech, i że słowa jego nie wywierały na niej żadnego wrażenia.

Calumet osiodłał konia, zwlekał z tą czynnością. Właściwie powziął zamiar w przyszłości nie postępować więcej według zarządzeń Betty; lecz w końcu okazuje się, że w nim samym tymczasem dokonała się wielka zmiana. Nie robił tak, jak dawniej tylko to, co się jemu żywnie podobało, oto nagle zrozumiał, jaki silny wpływ wywarła na nim Betty. Wydawało mu się wprost niezrozumiałe i uświadomienie sobie tego wywołało w nim wściekłość. Czyżby zupełnie już utracił swoją wolę? Mimo, że sam staczał walkę wewnętrzną obawiał się jednak, że Betty może być z niego niezadowolona. Starał się unikać jej ironicznych uwag i wyrzutów, ponieważ sprawiały mu przykrość.

Gdy zastanawiał się nad tym wszystkim, wydawało mu się śmieszne, aby nie dokończyć rozpoczętej roboty. Jak długo pozostawał na farmie, mógł spokojnie kontynuować dalej swoją pracę. Betty oczywiście wyśmiałaby go, gdyby się uchylił od dalszej pracy.

Trwało dość długo, aż powziął jakąkolwiek decyzję, ale w końcu znowu zdjął siodło i zaprzągł konie do wozu. Gdy wjeżdżał na podwórze, widział, że Betty patrzyła na niego przez okno kuchenne. Najchętniej byłby dał wodze swej złości i zakląłby siarczyście ale tego nie uczynił.

Zły trzaskał biczem.

— Zdaje się, że Betty naprawdę zrobiła ze mnie wariata, — mruczał Calumet do siebie. — Zawsze tak bywało, że kobiety usidlały mężczyzn, nie jestem pierwszym ani ostatnim, któremu to się zdarza. Muszę czekać, aż ta sprawa się wyjaśni. Ale Taggart...

Zmarszczył czoło. W każdym razie było mu teraz jasne, jak miał postąpić z tym osobnikiem.

Rozdział 15

Ze wszystkich dobrych postanowień, poczynionych przez Calumeta poprzedniego dnia, nie pozostało w nim nic, prócz wielu ponurych i złych myśli, które opanowały go, gdy jechał do Lazette. Prawie pół mili przed miastem zatrzymał konie na wzgórzu, skręcił sobie papierosa, patrząc ponuro przed siebie. Znowu ogarnęło go zwątpienie. Miał niemal pewność, że jego cała praca jest zupełnie bezcelowa.

Lazette nie posiadało dla niego żadnego uroku. Miejscowość ta leżała samotnie u podnóża samego stoku i posiadała brudne i brzydkie domy. Fasady od dawna nie były odświeżane, wyglądały niechlujnie i ciągnęły się nieregularnie wzdłuż długiej ulicy. Nieregularnie zabudowane miasto przybierało charakter dorywczo i bez planu zabudowanego środowiska. Dwie linie kolejowe zbliżały się ku miastu w wielu łukach, szyny na torze lśniły w promieniach słońca. Ciągnęły się z tajemniczej dali przez pustynię i znikały po drugiej stronie łańcucha górskiego.

Calumet przejechał przez wzgórze i wreszcie przybył do miasta. Na podwórzu obok sklepu zostawił wóz i zamówił materiał, potrzebny do naprawy budynków.

Po drugiej stronie ulicy znajdowała się restauracja „Pod złotym szczęściem". Calumet zamierzał tam wejść. Ociągał się przez krótki czas na chodniku, gdy wtem usłyszał szept:

— Neal Taggart czyha na pana!

Calumet szybko odwrócił się i wyciągnął rewolwer. Zobaczył mężczyznę, który prawdopodobnie szedł za nim przez jezdnię. Miał ostre rysy twarzy, podbródek, znamionujący siłę i energię i uczciwe spojrzenie. Na pierwszy rzut oka wyglądał na pięćdziesięcioletniego mężczyznę. Uśmiechnął się, zauważywszy nieufne zachowanie Calumeta.

— Czy zrozumiał pan moje ostrzeżenie? — spytał obcy.

Oczy Calumeta zabłysły.

— Neal Taggart czyha na mnie? Dziękuję panu za ostrzeżenie — rzekł, patrząc na obcego z zaciekawieniem. — Z kim właściwie mam przyjemność?

— Jestem szeryf Dave Toban.

Obcy odchylił klapę swej marynarki i Calumet spostrzegł małą srebrną gwiazdkę.

— Ale skąd pan mnie zna? — spytał znowu Calumet.

— Dobrze znałem pańskiego ojca, a pan jest bardzo do niego podobny. Poza tym nie ma chwilowo nikogo w okolicy, kto by się zajmował remontem budynków na swej farmie.

— Jestem panu zobowiązany za okazaną przysługę. Taggart więc upatrzył sobie mnie na cel?

— W ostatnim tygodniu był stale w mieście i przechwalał się tym, co zamierza panu uczynić. Podobno miał pan go zwabić na farmę, pod jakimś pozorem, po czym zbił go pan. Teraz jest przy nim Denver Ed.

Calumet spojrzał uważnie na mówiącego.

— Owszem tego znam.

— Uchodzi za mistrza w strzelaniu? — spytał Toban.

— Tak. Czy chciałby pan wypić ze mną szklankę? — zaprosił szeryfa.

— Nie, to by jakoś nie szło — uśmiechnął się Toban. — Nie mogę oficjalnie stanąć po pana stronie. Naturalne, że osobiście całkiem inaczej zapatruję się na tę sprawę. Byłem dobrym przyjacielem pańskiego ojca, a Taggartowie wcale nie są ozdobą naszej okolicy. A z panem sprawa ma się inaczej.

— Jak to?

— Pan jest szczerym i uczciwym człowiekiem! Betty Clayton bowiem wywiera dobry wpływ na wszystkich ludzi, przebywających w jej otoczeniu.

Calumet obrzucił go dziwnym uśmiechem.

— Widocznie pan tak samo mało wyznaje się na kobietach jak ja. Więc do widzenia! — zawołał serdecznie i wszedł do gospody.

Szeryf patrzył za nim z łagodnym uśmiechem. Gdy Calumet po dziesięciu minutach wrócił na ulicę Dave'a Tobana już tam nie było.

Calumet poszedł do swego wozu i stanął w ten sposób, że całkowicie był ukryty. Następnie wyciągnął rewolwer i umocował go starannie w pętlicy pod prawym ramieniem. Po czym wyciągnął naboje, które miał w skórzanej torbie, zaśmiał się zjadliwie wsuwając broń z powrotem do niej. Po tych przygotowaniach wyszedł znowu na ulicę.

Na pozór wydawał się o nic nie troszczyć, ale obejrzawszy się na wszystkie strony, obszedł wszystkie knajpy i restauracje miasta. Zanim zdołał odwiedzić połowę lokali, mieszkańców ogarnęło wielkie podniecenie. Wszyscy bowiem już wiedzieli, iż Calumet Marston szuka swego przeciwnika i wroga Neala Taggarta.

Wszędzie wyprzedzała go fama, gdy tylko wchodził do jakiegoś baru ustępowano mu miejsce i oglądano go ciekawie. Ludzie stali we drzwiach, przypatrując mu się w milczeniu, gdy przechodził ludzie mówili o nim. Wiedział co to oznacza — mieszkańcy Lazette słyszeli, co Taggart w ostatnich dniach mówił, nie chcieli jednak wmieszać się w spór i znaleźć się niepotrzebnie na placu boju, gdyby ewentualnie doszło do utarczki.

Wreszcie Calumet wszedł do knajpy „Pod czerwonym psem".

Prawie dwanaście osób siedziało w lokalu i piło, grano też w karty albo w kości. Rozmowa wszakże ustała natychmiast, gdy Calumet ukazał się w drzwiach. Ludzie siedzieli w milczeniu przy stołach i wydawali się bardzo zajęci swoimi kartami. Kilku z nich powstawało ze swoich krzeseł i wydaliło się na pozór obojętnie z lokalu. Kiedy Calumet niedbale cisnął monetę na stół, by zapłacić za szklankę whisky, tylko troje osób znajdowało się w pobliżu.

Tych troje obrzucił szybkim spojrzeniem. Prócz Neala Taggarta zauważył dużego człowieka o odpychającym wyglądzie i wrogim spojrzeniu; zwisające wąsy ukrywały okrutne usta. Był to Denver Ed, którego już wiele razy widział w okolicy Durango. Trzeciego także znał; osobnik ten nazywał się Garvey, był średniego wzrostu, miał ciemny kolor skóry, orli nos i normalnie skrojone usta.

Calumet udawał, że nie dostrzega tej trójki, nalał sobie kieliszek whisky i chciał pić. Zanim sięgnął szklanką do ust, zauważył poruszenie wśród tych trojga. Garvey przystąpił do niego.

— Zapraszam pana do wypicia kieliszka ze mną, — zaproponował uprzejmie. Calumet patrzył na niego zainteresowany i nastawił kieliszek, podczas gdy Garvey skinął gospodarzowi.

— Zdaje się, że jest pan obcy w tej okolicy? — rzucił pytanie Garvey nalewając sobie whisky. — Gdzie właściwie leży pańska farma?

— Jestem z Ypsylon-Farmy.

— Na pańskie zdrowie! — Garvey podniósł szklankę.

Calumet uczynił to samo. Równocześnie zauważył, że Garvey wyciągnął jego rewolwer, lecz zachowywał się tak, jakby tego nie widział. Odstawił szklankę nie robiąc przy tym nawet zdziwionej miny, gdy się obejrzał zauważył, że Garvey trzyma rewolwer w ręce i go ogląda.

To, co Garvey uczynił, obalało wszelkie formy towarzyskie panujące na Zachodzie, a inni obrzucali Calumeta pogardliwymi spojrzeniami. Szeptali sobie, że jest młokosem, a w dodatku musi być także, tchórzliwy. Ludzie z którymi gospodarz mówił o Calumecie patrzyli zdziwieni na niego, ponieważ pozwolił się tak traktować. Tylko gospodarz, który znał Calumeta, ujrzał błyski w jego oczach i niespostrzeżenie ulotnił się z drogi, stając za beczką whisky.

Calumet nie okazywał tego, że czuje się obrażony.

— Całkiem dobra broń — zauważył Garvey. W ogóle jednak nie patrzył na rewolwer, inaczej byłby zauważył, że nie jest nabity. Patrzył jedynie na Calumeta i było widoczne, że interesował się wyłącznie nim, a nie jego bronią.

— Tak ma pan rację — przytaknął Calumet, odwracając się, popatrzył spokojnie na Garveya i oparł lewe ramię o ladę. W tej chwili przystąpił do nich Denver Ed. Ignorując zupełnie Calumeta zwrócił się do Garveya:

— To pański przyjaciel? — rzucił pogardliwe pytanie.

Znienacka Garvey odstąpił na bok wobec tego Denver Ed znalazł się naprzeciw Calumeta.

Calumet odpowiedział mu zamiast Garveya, który widocznie nie chciał już brać udziału w rozmowie.

— Chce pan wiedzieć, czy jest moim przyjacielem? — spytał ironicznie. — Otóż twierdzę, że nie jest nim, gdyż ja sam dobieram sobie ludzi, z którymi chcę obcować.

Denver nie odpowiedział natychmiast, przystąpił tylko jeszcze bliżej do Calumeta tak, że swój rewolwer trzymał tuż przed nim. Po tym spokojnie skrzyżował ręce na piersiach.

— Ach, ty tak mówisz, nędzny psie! — rzucił powoli.

Wśród obecnych powstało poruszenie.

Calumet chwycił rewolwer tkwiący za pasem rewolwerowca, wyciągnął go, nacisnął spust, ale kurek uderzył w próżny magazyn.

Denver Ed śmiał się ironicznie podczas gdy lewą ręką sięgnął za kamizelkę. Momentalnie zabłysła w jego ręce broń, którą miał ukrytą za kamizelką.

Zanim jednak mógł wycelować na Calumeta, ten przycisnął nienaładowanym rewolwerem rękę Denvera w ten sposób, że Denver Ed nie mógł swobodnie nią poruszać. Trwało to zaledwie ułamek sekundy, Calumet wyciągnął broń ukrytą pod prawym ramieniem i wypalił. Wycelował w pierś Denvera Eda z bezpośredniej bliskości.

Wielu z przyglądających się mężczyzn widziało zdziwienie widniejące w gasnącym spojrzeniu Denvera, gdy się przechylił i runął u nóg Calumeta. Garvey podniósł szybko rewolwer, który przedtem wyciągnął zza pasa Calumeta i nacisnął cyngiel, ale rewolwer nie wypalił. Momentalnie Calumet odwrócił się do niego i celnym wystrzałem także położył go trupem.

Na sali zapanowała śmiertelna cisza. Taggart nie ruszył się z miejsca. Calumet spojrzał w jego stronę.

— Jakoś nie bardzo się udało, co? Panu także wpakuję kulę w żebra, jeśli do zachodu słońca nie ulotni się pan z miasta. Niecny łotrze, czy pan sobie wmawia, że potrafi mnie podejść?

Obejrzał się powoli po sali; żaden z mężczyzn się nie poruszał. We drzwiach stał szeryf i Calumet zwrócił się do niego:

— Chcieli mnie zwabić w pułapkę. W Durango Denver Ed stale uprawiał ten proceder. Mały wyciąga przeciwnikowi broń z pochwy, Denver wszczyna kłótnię i nastawia przeciwnikowi swoje biodro z rewolwerem, tak, że upatrzona przez nich ofiara chwyta za nadstawiony mu rewolwer chce wypalić, ale wtedy się okazuje, że broń nie jest nabita. A Denver ma już w pogotowiu nabity pistolet, którym z miejsca kładzie swoją ofiarę trupem. W rezultacie trick ten nazywa się samoobroną.

Po tym objaśnieniu Calumet rozejrzał się z uśmiechem po sali.

— Znam jednak ten trick i uczyniłem to samo. A ten mały łotr wpadł na to, tak samo jak sam Denver. Więcej nie mam potrzeby objaśniać. Czy chce mnie pan zaaresztować? — zapytał szeryfa. — Znajdzie mnie pan na Ypsylon-Farmie.

Potem zwlekał przez chwilę rozglądając się na wszystkie strony, ale Neal Taggart znikł.

— Wymknął mi się ptaszek! — dodał Calumet wesoło.

— Nie, nie zaaresztuję pana — uspokoił go Dave Toban. — Wiem, że działał pan w obronie własnej. Zresztą widzieli to także ludzie obecni tu na sali.

Tymczasem zbliżyli się ludzie bawiący na sali, a jeden z mężczyzn schylił się nad Denverem i Garveyem.

— Wykończeni! — zwrócił się do szeryfa.

Calumet przystąpił do trupa Garveya podniósł rewolwer, który leżał obok zabitego i wsunął go za pas. Mężczyźni obecni w knajpie żywo omawiali to zajście.

— Ten został zaskoczony — zaopiniował jeden, wskazując na Denvera.

— Nie spodziewał się widocznie tego — odparł drugi.

— Zauważyłem jaki lęk go ogarnął w krytycznym momencie!

— Wspaniale to zrobił! — oświadczył jeden z gości, wskazując na Calumeta, który tymczasem odwrócił się od obecnych i szedł ku drzwiom.

— Tego nie tak łatwo można zaszachować!

Strzelanina ta nie wywarła wielkiego wrażenia, ani nie napawała strachem tych twardych mężczyzn i żaden z nich nie potępił Calumeta. Wręcz przeciwnie podziwiali jego postawę gdy szedł ku drzwiom.

— Taggart także jeszcze kiedyś oberwie od niego — przepowiadał inny z rozmawiających mężczyzn.

— Ale, nie dzisiejszego wieczoru — przerwał mu drugi. — Tylko porządnie najadł się strachu! Ale jest jeszcze dość czasu do zachodu słońca.

Rozdział 16

Calumet żałował, że Neal Taggart nie dał mu sposobności, by się z nim mógł rozprawić. Do zapadnięcia zmierzchu bawił w mieście, bo dał sobie słowo i nie chciał go złamać. A gdy już się upewnił, że jego wróg nie przyjął jego wyzwania, zaprzągł konie i szykował się do powrotu do domu. Tylko Taggartów znienawidził jeszcze bardziej.

Jadąc w nocy przez drogę czuł głębokie zadowolenie. Wymierzył swoim przeciwnikom ostateczny cios, a chociaż nie doszło na razie do bezpośredniego rozrachunku z Taggartami, będą przynajmniej wiedzieli, czego się mają po nim spodziewać. Postanowił, że nie poprzestanie na tym i nie spocznie, ale coraz więcej będzie ich prześladował. Cieszył się teraz, że nie dał się wypędzić z farmy władczemu postępowaniu Betty. Gdyż inaczej nie byłby nigdy odkrył jej niecnego planu i nie byłby też w stanie zemścić się nad wrogami. Nie miał jeszcze określonego planu działania, postanowił zaś trzymać oczy otwarte i skorzystać skwapliwie z pierwszej nadarzającej się sposobności.

Stawało się coraz bardziej ciemno podczas gdy kontynuował swoją podróż. Za wyżyną, z której dzisiejszego przedpołudnia patrzył na Lazette ciągnęła się uciążliwa wyboista droga po której konie z trudem stąpały naprzód. Niebawem dotarł do równej piaszczystej drogi, która była wygodniejsza i dlatego mógł teraz jechać już szybciej.

Przed godziną dziewiątą ukazał się księżyc i jak blado-żółta tarcza widniał za wzgórzami okalającymi dolinę, w której znajdowała się jego farma. Uśmiechnął się, kiedy patrzył na gwieździste niebo, zapalił sobie papierosa i oparł się wygodnie na siedzeniu, cugle trzymał między kolanami.

Wtem przyszło mu na myśl, że musi znowu naładować swój rewolwer, a przy tym przypomniał sobie zajście przebyte tego dnia w mieście.

Co powie Betty, gdy się o tym dowie? Czy jej stosunek wobec Taggarta obecnie ulegnie zmianie.

Myślał jeszcze długo o niej, gdy jechał równiną, a następnie skręcił w pagórkowatą okolicę. Znowu droga stała się uciążliwa i konie posuwały się w powolnym tempie naprzód.

Była już północ, gdy wjechał w wąwóz, odległy tylko o półtorej mili od jego farmy. Przy łożysku płytkiego strumienia Calumet zatrzymał konie i pozwolił im ugasić pragnienie. Niebawem znowu je popędził, ponieważ chciał jak najrychlej być w domu. Jadąc bowiem pod górę konie mogły tylko z trudem ciągnąć ciężko naładowany wóz. Gdy dojechały w końcu do szczytu, przystanęły ciężko dysząc.

Calumet czekał cierpliwie. Jakkolwiek miał tylko jedno życzenie, aby znaleźć się jak najprędzej na swej farmie, litował się nad końmi, były bowiem niezmiernie zmęczone. Gdy zapalał papierosa osłaniał zapałkę dłonią, aby prąd powietrza jej nie zdmuchnął.

Podczas gdy tak siedział opanowało go nagle przeczucie, że w tej chwili znajduje się w niebezpieczeństwie, cofnął się szybko w tył wozu. W tej samej chwili usłyszał strzał i kula uderzyła w jedną z oparć przy siedzeniu dla woźnicy. Natychmiast, nastąpił drugi strzał.

Ścięgna i muskuły Calumeta były napięte, gotów był natychmiast stanąć do walki, gdy tylko zajdzie potrzeba.

Opanował go okrutny gniew, zmiarkował, że strzały pochodziły z lewej strony. Oddano je z dość małej odległości, przekonał się także, że strzelający dobrze celuje, mimo, że był za powolny, by celować w ślad poruszeń swego przeciwnika.

Obecne położenie Calumeta było nie do pozazdroszczenia. Musiał się starać, aby jak najrychlej się ukryć. Z prawej strony wzdłuż drogi ciągnął się dół, w którym mógł się z łatwością schować. W głębi tej małej przepaści znajdowały się duże złomy skalne.

Ostrożnie zeskoczył w dół z tylnej części wozu i czołgając się na czworakach ukrył się tam. Usłyszał znowu huk wystrzału, a kula przeleciała mimo jego głowy i utkwiła w skale.

On bacznie mnie śledzi, pomyślał. Ostrożnie podniósł się klęcząc na jednym kolanie, wychylił się zza skały, aby popatrzeć co się dzieje. Wóz stał bezpośrednio przed nim, część tylnych kół znajdowała się na linii strzałów. Konie stały cicho, a strzelanina nie wyprowadzała ich z równowagi. Był zadowolony, że wóz stanowił poniekąd ochronę i nie chciał na razie nic zmienić. Wyszukał mały kamień, podłożył go przed przednim kołem tak, że wóz nie mógł się dalej ruszyć, gdyby konie stały się niespokojne.

Księżyc znajdował się za nim, Calumet uśmiechnął się z zadowoleniem, gdy stwierdził, że skały rzucają długie cienie na dół. Człowiek, który go tropił wybrał sobie niepomyślny teren działania, gdyż po drugiej stronie leżała okolica w jasnej poświacie księżyca, a wszystkie skały można było debrze rozróżnić, podczas gdy on sam był ukryty w cieniu. Jakkolwiek po tamtej stronie rosły drzewa, pnie jednak ich były za wąskie, żeby mogły służyć za ochronę dla człowieka.

Calumet uśmiechnął się powtórnie, gdy obserwował ostrożnie okolicę.

Cztery bloki skalne po drugiej stronie były dość wysokie, by mężczyzna mógł się ukryć za nimi. Leżały stosunkowo dość blisko siebie i były oddalone od niego o jakie trzydzieści pięć metrów.

Mniejsze głazy nie wchodziły w rachubę i te jednak obejrzał dokładnie, żeby zapobiec wszelkim niespodziankom. Po obu bokach skał ziemia była płaska i niczym nie pokryta, nie było w pobliżu żadnego drzewa ani krzaku i tam nie można się było ukryć. Tak samo zbocze dopiero przebyte przez Calumeta, nie mogło służyć za schronienie. Jeżeli wróg zaczaił się za jednym z czterech bloków skalnych musiał już tam pozostać, albo narazić się na strzały ze strony Calumeta.

— On się spodziewał, że wykończy mnie pierwszymi strzałami, na wozie, gdy zmęczone konie przystaną, aby odpocząć. Wiedział bowiem dokładnie, że w pewnej chwili będę się musiał zatrzymać. Znowu się przeliczył, a teraz zapewne nie bardzo dobrze się czuje — mruczał przed siebie.

Ponownie wlepił wzrok w przeciwną stronę tym razem na krzewy rosnące o jakie sześćdziesiąt metrów za skałami. Calumet rozróżnił kontury ukrytego wśród krzaków konia.

Z tego miejsca, gdzie stał Calumet, stok obniżał się lekko, aż do farmy. Blisko domu rosło kilka drzew i zobaczył między konarami i gałęziami cień światła, pochodzący z okna kuchennego. Betty zostawiła palącą się lampę dla niego. Zapewne spodziewała się, że z zapadnięciem zmierzchu wróci do domu. Dom był stąd oddalony prawie o milę, Calumet podziwiał zuchwałość tego człowieka, który się odważył na wykonanie zamachu w pobliżu domu. Ale widocznie w domu mieszkalnym nie słyszano strzałów, gdyż wzgórze na którym stał wóz leżało najmniej czterdzieści metrów nad doliną, a prócz tego pośrodku znajdował się mały lasek, wobec tego odgłos strzałów z trudem mógł dotrzeć stad aż do farmy.

Calumet zastanowił się kto go mógł napaść, doszedł jednak niebawem do wniosku, że mógł to jedynie uczynić Taggart, który kilka godzin przed nim opuścił miasto. Człowiek ten był tchórzem i można było spodziewać się po nim, że będzie strzelał do swego przeciwnika z ukrycia.

Podczas gdy się nad tym zastanawiał przysiągł sobie wyrównać wkrótce rachunek z Nealem Taggartem, na razie jednak nie chciał wyjść ze swej kryjówki. Ostrożnie wyciągnął rewolwer i położył go u skraju dołu tak, że mógł w każdej chwili, w razie potrzeby, zrobić użytek z broni. Powoli wysunął naprzód ramię, aż mógł lufę rewolweru oprzeć o szprychę jednego z kół.

Przez pół godziny trwał już na tym miejscu, najlżejszy szmer nie przerywał ciszy. Konie były zmęczone i opuściły łby; na bezchmurnym nieboskłonie płynął księżyc i oblewał swoim jasnym srebrzystym blaskiem całą okolicę. Calumet byłby zadowolony, gdyby wiedział na której z czterech skał ukrył się jego przeciwnik, ponieważ był ogromnie zmęczony i nużyło go obserwowanie wszystkich czterech skał równocześnie.

Ale następnie zauważył, że przy skale znajdującej się najbliżej drogi, coś się porusza. Jakiś okrągły przedmiot o średnicy około trzydziestu centymetrowej został wysunięty naprzód zza skały, a wkrótce po tym rozróżnił już dokładnie zarysy strzelby. Calumet czekał aż lufa się spokojnie zatrzyma, potem szybko wypalił. W tym samym momencie schylił się tak, że jego głowa była ukryta.

Usłyszał urągliwy śmiech.

— Chybił pan! — krzyknął Taggart. — Pan jest zanadto zdenerwowany.

— Tak samo jak pan był dzisiaj w mieście — szydził Calumet.

— Więc wie pan, kim jestem? Ale jeśli pan sądzi, że byłem zdenerwowany to się pan myli!

— Bał się pan jednak, inaczej nie byłby pan zawczasu umknął z miasta.

— Może nie jestem takim zdolnym i pewnym strzelcem — odpowiedział Taggart. — Dlatego też nie staram się dać drugiemu możności zastrzelenia mnie, o mam się już na baczności!

— Ma pan zupełną rację, — zaśmiał się Calumet sarkastycznie. — Wiem, że pan jest tchórzem.

Calumet podniósł nieco głowę, żeby móc rozglądnąć się, w tej samej chwili padł strzał z góry i kula trafiła w jedną ze skał znajdujących się tuż za nim. Zagłębienie w którym się znajdował miało prawie dwadzieścia metrów długości. Kiedy Calumet się przekonał, że jego przeciwnik celuje do niego znikł znowu w zagłębieniu.

Kiedy w kwadrans później na nowo wychylił głowę nie mógł już dostrzec Taggarta. Znowu dowlókł się do drugiego końca i stąd rozglądnął się. Widział Taggarta, który o jakie dziesięć metrów za skałami chyłkiem czołgał się do lasku, gdzie stał jego koń. Taggart stale szukał ukrycia i w ten sposób się kierował, że na linii strzałów Calumeta znajdowały się bloki skalne. Dzieliło ich czterdziestometrowe oddalenie, gdy Calumet powtórnie zauważył Taggarta, ten patrzył w to miejsce, które Calumet niedawno opuścił. Calumet wyprostował się, momentalnie wypalił za nim, chociaż dzieląca ich przestrzeń była tak znaczna, że prawie nie mógł liczyć na celność swego strzału.

Taggart jednak zachwiał się i upuścił broń na ziemię. Za sekundę znowu był za skałami. Z szybkości jego ruchów Calumet wywnioskował, że tylko lekko go zranił. Dostrzegł leżącą na ziemi broń i już zastanowił się, czyby nie rzucić się szybko ku skałom. Taggart jednak w tym momencie wyciągnął rękę, chwycił broń i ją poniósł. Calumet wycelował w jego rękę, ale i tym razem chybił. Tylko tuman kurzu wzbił się w tym miejscu.

— Pan chciał przecież drapnąć, — szydził Calumet. — Lecz nie śpiesz się pan zbytnio. Odkąd powróciłem, nic mi nie sprawia większej przyjemności, niż właśnie ta strzelanina. I teraz chce pan już znowu przerwać i uciec? Poczekaj pan jeszcze trochę! Chyba pan nie jest ranny?!

— Nie, wcale nie — odparł Taggart. — Trafił pan tylko w lufę.

— W takim razie dobrze wycelowałem. Gdyby pana broń nie była uchroniła, kula utkwiłaby teraz w panu. Ale tym niech się pan nie przejmuje. Dopiero pan się przekona, jak to pójdzie, kiedy nabiorę z powrotem wprawę. W ostatnich czasach bowiem tak mało strzelałem.

Miał wielką przewagę nad Taggartem, ten skrył się za skałą, podczas gdy on sam swobodnie mógł się poruszać w swym zagłębieniu. Najprawdopodobniej. Taggart nie odważy się już wyjść więcej z krzaków, jeszcze mniej mógł się odważyć wyjść zza skał i bezpośrednio go zaatakować, gdyż to byłoby dla niego wprost samobójstwem.

Taggart pozostał za skałami. W ciągu następnej godziny dwa razy strzelał do Calumeta, gdy widział, że jego głowa sterczy nad zagłębieniem, lecz za każdym razem chybił, na co wyraźnie wskazywał szyderczy śmiech Calumeta.

Po dłuższej pauzie Taggart przypuszczał, że przeciwnik jego znajduje się na drugim końcu zagłębienia i wysunął mały blok skalny za pomocą lufy nieco naprzód. Calumet wystrzelił i trafił w kamień. Kula odbiła się jednak i uderzyła o rękę Taggarta, który odczuł dotkliwy ból.

— Przecież już to panu zapowiedziałem! — wołał Calumet. — Spodziewam się, że to nic poważnego, powoli wszakże nabieram wprawy.

Dziwna ta walka przeciągała się z dłuższymi przerwami, tymczasem księżyc coraz bardziej bladł, dotkliwe zimno oznajmiało, że noc ma się ku końcowi, a wreszcie zaczęło świtać.

Nastrój Calumeta stawał się coraz bardziej ponury z biegiem upływających godzin. Spacerował powoli w zagłębieniu obok drogi tam i na powrót, miał się na baczności, żeby się nie zdradzić jakimś nieopatrznym ruchem. Zacisnął usta i w duchu przysiągł sobie, że Neal Taggart tym razem nie ujdzie z życiem.

Krótko po nastaniu świtu, gdy klęczał przy samym skraju zagłębienia, usłyszał, że konie ruszyły naprzód, przezwyciężyły przeszkodę i pociągnęły wóz dalej. Prawdopodobnie konie chciały z powrotem do stajni, gdzie czekała na nie pasza i woda. Calumet chciał już zawołać, żeby się zatrzymały, lecz potem się namyślił i patrzył tylko za nimi, gdy pocwałowały ze zbocza.

Trwało dość długo, aż doszły do podnóża doliny, po czym powoli jechały przez lasek. Nie zbaczały z drogi, lecz szły tak, jakby ktoś siedział na wozie i kierował nimi. W końcu skręciły na podwórze farmy zatrzymały się przed drzwiami kuchennymi.

Calumet obserwował je, aż się zatrzymały, następnie chyłkiem dotarł do przeciwległego końca dołu, spojrzał ponad brzeg, ponieważ chciał dowiedzieć się, gdzie Taggart ukrył się teraz. Kiedy już go nie mógł odkryć powrócił na swoje poprzednie miejsce.

Taggart ze swego ukrycia nie mógł widzieć farmy, tym samym również nie mógł zobaczyć gdzie pojechał wóz. Calumet wszelako był przekonany, że Taggart pewnie będzie ciekaw, jaki obrót weźmie ta sprawa. Znowu rzucił okiem w stronę farmy i zauważył, że Betty wyszła z domu i przystanęła na podwórzu. Natychmiast przystąpiła bliżej i wejrzała do wnętrza pustego wozu, po czym poszła do stajni i tam także zajrzała. Po obejściu podwórza, zatrzymała się przy baraku, zaglądnęła także do zagrody. Następnie powróciła do pustego wozu i stała tam przez krótki czas, jakby sio nad czymś zastanawiała.

Calumet uśmiechnął się. Naturalnie, że jest ciekawa, co się z nim stało. Lecz znienacka wystrzelił Taggart, a Calumet szybko się schylił. Z ciekawości zanadto się wyprostował, wobec tego przeciwnik go dostrzegł. Strzał przedziurawił mu ubranie koło ramienia, ale nie zranił go. Cudem tylko uniknął śmierci.

Złość jego ku Taggartowi wzmogła się, ale ponownie skierował wzrok na farmę. Betty stała wyprostowana patrząc w jego stronę, przysłoniła oczy rękoma, żeby lepiej widzieć. Prawdopodobnie słyszała strzał i nie mogła zrozumieć, co to ma oznaczyć. W tym momencie Calumet zobaczył, że Taggart skierował w niego lufę rewolweru. Ale i Calumet nacisnął kurek i równocześnie padły dwa strzały.

Taggart zawył z bólu i wściekłości, podczas gdy Calumet dotykał swego lewego ramienia. Miał wrażenie, że ktoś zanurzył w jego ramieniu rozżarzone żelazo.

Calumet ukląkł w zagłębieniu, i zdarł ze siebie koszulę. Był tylko lekko ranny, skrzywił pogardliwie usta. Zachowując przezorność przedostał się na przeciwległą stronę dołu, ponieważ spodziewał się, że jeśli Taggart jest tylko lekko ranny, spróbuje się cofnąć. Nie mógł go jednak dostrzec i wrócił ponownie na drugi koniec zagłębienia najbliżej leżącego domu mieszkalnego farmy. Kiedy popatrzył w kierunku domu zobaczył, że Betty zdąża szybko do niego z bronią w ręku.

A gdy także Dade nadbiegł za nią z bronią w ręku, Calumet powtórnie skinął.

Oboje jednak nie zrozumieli o co mu idzie, myśleli, że nie każe im podejść z boku. Zmienili wobec tego kierunek i zbliżali się przez pole leżące za nim.

Rozgniewany ich uporem oraz ich słabą orientacją Calumet przypatrywał się im ponuro. Kiedy mogli już usłyszeć jego głos, zawołał do nich ostro:

— Zabierajcie się stąd jak najszybciej, żebyście także nie zostali przypadkiem ranni!

Ale mimo jego przestróg zbliżali się prędko do niego, a gdy dotarli do podnóża zbocza, gdzie bronił się Calumet, przystanęli patrząc nań pytająco. Taggart nie mógł ich widzieć, stali bowiem za nisko, dlatego też nie byli narażeni na niebezpieczeństwo. Wkrótce Betty zaczęła się wspinać w górę, aż stanęła na szczycie narażając się na kule Taggarta. Ale ten człowiek naturalnie nie będzie strzelał do kobiety.

— Co się stało? — spytała Calumeta — Do kogo pan strzela?

— Do pani przyjaciela — odparł szorstko.

— Do kogo?

— Strzelałem do Neala Taggarta. Przez całą noc już zabawiamy się w ten sposób.

Betty zarumieniła się lekko ale niebawem znowu zbladła. Spojrzała tylko z wyrzutem na Calumeta, w tej chwili jednak nie miał czasu troszczyć się o to. Betty pośpieszyła do skały, oddalonej o cztery metry. Widocznie szukała tam schronienia.

Calumet patrzył za nią. Gdy doszła do skały i chciała uklęknąć pod niskim krzakiem, usłyszała, że Calumet głośno zakrzyknął do niej. Odwróciła się i już nie uklękła powtórnie, tylko zdziwiona patrzyła w jego stronę. Jego twarz była zupełnie szara, ujrzała skierowany ku sobie pistolet, jakby Calumet jej groził. Rozgniewana wyprostowała się, wtem padł strzał.

Zachwiała się i nakryła twarz rękoma gdyż myślała, że Calumet ze złości strzelał do niej. Ale w ostatniej chwili poczuła, że objął ją ramieniem. Chwycił ją tak silnie, że obawiała się, iż udusi ją, następnie podniósł ją z ziemi i posadził w pewnym oddaleniu. Gdy otworzyła oczy, drżała ze zdenerwowania i oburzenia. Calumet stał blisko niej, nie zwracał wcale uwagi na nią. Jego wzrok był skierowany na dużego grzechotnika, który ugodzony jego kulą u podnóża ściany skalnej skręcił się właśnie w tym miejscu, gdzie Betty dopiero co chciała uklęknąć. A kiedy spojrzała tam, Calumet dobił gada drugim wystrzałem.

Betty miała wrażenie, że wszystko naokoło niej się kręci, osłabienie jednak szybko przeszło. Calumet stał blisko przy niej. Widocznie z obawy o nią zapomniał zupełnie w jakim niebezpieczeństwie się znajduje.

— Powiedziałem przecież, żeby pani tam nie uklękła!

Wtem oczy jej zabłysły, Calumet gwałtownie się odwrócił widząc, że przyłożyła broń do ramienia. Oddalony o dwieście metrów u skraju skały klęczał Taggart i celował do niego. Calumet głośnym krzykiem ostrzegł Betty, ta jednak nie zwracała na to uwagi. Kula Taggarta świsnęła nad głową Calumeta, gdy Betty dała ognia. Taggart podskoczył, broń wypadła mu z rąk, niepewnym krokiem pobiegł do swego konia. Wspiął się szybko na siodło i uciekł, podczas gdy Dade bezustannie strzelał za nim. Oddalenie był jednak za duże, a w dodatku Taggart umykał szybko, wobec tego strzały Dade'a zupełnie chybiły.

Betty patrzyła za Taggartem, aż znikł za drzewami, potem odwróciła się i zauważyła, że Calumet patrzy na nią zdumiony i z dziwnym uśmiechem.

— Pani mu trochę zajechała w skórę — rzekł wskazując w kierunku uciekającego Taggarta. — To wprost jest śmieszne. Gdyby moja ukochana się ze mną tak obeszła...

Jakkolwiek dalej nie mówił, było jednak jasne, co te słowa znaczyły. Betty zajrzała mu w oczy, twarz jej była czerwona, a usta drżały.

Calumet stał nieruchomo, nurtowały w nim rozbieżne uczucia. Zdziwiony zagadkowym postępowaniem Betty przeszedł obok Dade'a aż do zarośli, gdzie leżała broń Taggarta, podniósł ją i niebawem także poszedł za tamtymi na farmę.

Rozdział 17

Calumet nie uświadamiał sobie jaka w nim zaszła zmiana. Powoli, ale wyraźnie stawało się widoczne, że dobry wpływ Betty działa nań, mimo, że wiedział o jej potajemnych schadzkach z Nealem Taggartem.

Jakkolwiek okazywał jeszcze gwałtowne cechy charakteru i folgował swoim złym skłonnościom, czasami jednak miał przeświadczenie, że jakby coś hamowało jego namiętności i je ściszało. Nawiedzały go zupełnie nowe myśli, od których nie mógł się odgrodzić.

Co do swego ustosunkowania się do Betty sam sobie jasno nie zdawał sprawy. Chociaż gniewał go jej stosunek względem Neala Taggarta, lubił ją. Lecz wmawiał sobie, że Betty nie postępuje uczciwie względem niego. Kobiety, która knuła podstępne plany, nie mógł poważać. Uważał, że Betty jest dwulicowa i był święcie przekonany, że chciała go pozbawić dziedzictwa. Oszukiwała jego ojca, a teraz chciała usidlić jego. W jego oczach nie była wcale godna podziwu, mimo to, ilekroć spojrzał w jej stronę doznawał dziwnego uczucia, którego nie był w stanie w sobie zwalczyć.

I teraz także Dade stanął na jego drodze życia. Często śledził młodego cowboya, gdy razem pracowali nad naprawą baraku. Dawniej nie znał tego uczucia bezinteresownej przyjaźni, która łączy mężczyzn; także w swej młodości nie miał zaufania do nikogo, dlatego też nie miał przyjaciół. Teraz nader chętnie przebywał w towarzystwie Dade'a, ponieważ ten był dla niego uprzejmy, a gdy Dade pojechał pewnego dnia do Lazette, żeby załatwić jakieś zlecenie Betty, Calumet czuł się dziwnie osamotniony. Gdy młody cowboy wieczorem wrócił na farmę, Calumet przywitał go przyjaznym uśmiechem, o czym Dade czym prędzej doniósł Betty.

— Gdy widziałem, że Calumet tak uprzejmie się do mnie uśmiecha omal nie spadłem z konia. Myślę, że się bardzo zmienił. A najdziwniejsze jest, że mnie lubi.

— Czy pan go także lubi?

— Naturalnie. W gruncie rzeczy to porządny chłop, on tylko robi taką minę, jakby chciał połknąć cały świat. Kiedy się jeszcze od tego odzwyczai będzie z niego miły człowiek. Ten jeszcze czegoś wielkiego dokaże, o tym jestem przekonany.

Do Boba odnosił się z nadzwyczajną dobrotliwością, gdyż żal mu było chłopca. Pozwalał mu jeździć na swoim koniu. Zrobił dla niego siodło, które było odpowiednie do jego wzrostu, nosił go na plecach dalekie przestrzenie, także przy stole zajmował się nim. Dlatego Bob go uwielbiał i był niezmiernie do niego przywiązany.

To wszystko nie uchodziło uwadze Betty, mimo to, trzymała się jeszcze bardziej niż dotychczas z dala od Calumeta. Nie był jej obojętny, ale stroniła od niego. Często, gdy w jej obecności wszczynał rozmowę o Nealu Taggarcie, odwracała się od niego nie dając mu odpowiedzi.

Trzy tygodnie mniej więcej po zastrzeleniu przez Calumeta Denvera Eda i jego kompana, Betty dowiedziała się o wszystkich szczegółach tej strzelaniny. Calumet zachowywał się obojętnie, podczas gdy Betty była tym strapiona. Ale do pewnego stopnia była też zadowolona i to go zadziwiało.

Dade winszował mu:

— Zdobywa pan sławę dobrego strzelca.

Calumet nie pytał się jej skąd dowiedziała się o tym, ale któregoś dnia pewien obcy cowboy przyniósł wiadomość, że młody Taggart powoli przychodzi do siebie, gdyż przy niedbałym obchodzeniu się rewolwerem, sam się zranił. Calumet był tą sprawą zaintrygowany, chciałby chętnie dociec prawdy, czy Betty strzelając krytycznej nocy do Taggarta faktycznie miała zamiar go zranić. Calumet wątpił o tym, uważał, że zapewne strzeliła do Taggarta, by zmylić jego czujność, gdyż nie mogła go już dalej zwodzić. Calumet stale ją śledził i często nocą ukrywał się w krzakach przy domu mieszkalnym. Wiadomość, że Taggart jest tylko lekko ranny zaostrzyła jeszcze jego czujność. Rzadko spuszczał Betty z oczu, gdyż mocno postanowił pokrzyżować jej plany. Nie chciał się dać przez nią obrabować.

Dni mijały, a Taggart nie pokazywał się w pobliżu farmy. Czas goi rany i łagodzi także katusze zazdrości. Calumet trochę zaniedbał swojej czujności, spodziewał się bowiem, że wystraszył Taggarta. Z zadowoleniem stwierdził, że Betty nie zachowuje się już wobec niego chłodno i Calumet chętnie trwał przy tym mniemaniu, że Betty owego krytycznego poranka miała zamiar Taggarta zastrzelić.

Gdy już raz powziął tę myśl nie mógł już od niej odstąpić, teraz zaczął nawet bronić przed sobą Betty. Wreszcie pojęła, że Taggart chciał ją oszukać, wobec tego zerwała z nim. Może też sama uznała, że postępowanie jej było błędne. Było mu nad wyraz przykro, że się dotychczas z nią źle obchodził i że nie postępował według swych dobrych impulsów, które ostatnio tak często w nim nurtowały. Z biegiem czasu stawał się względem Betty uprzejmy, ba, nawet szarmancki, tak, że niekiedy była tym zdziwiona. Nie mogła pojąć zmiany, jaka się w nim dokonała. Dade jednak doskonale to pojął. Już pierwszego dnia przejrzał Calumeta i nie dał się zbić z tropu.

Pewnego dnia Betty zapytała go wręcz, jakie jest jego zdanie o Calumecie.

— Powoli bierze u niego górę rozsądek. Zawsze był nieśmiały i zamknięty w sobie. Nie wie, do czego to doprowadza, by ludzi uważać za przyjaciół, to było dla niego zgoła nowością. W gruncie rzeczy ma dobry charakter i wytknął sobie cel, który też, w czasie niedającym się na razie określić, osiągnie.

— Jaki to cel? — spytała zdziwiona.

— Ach te kobiety! — zawołał Dade wzdychając. — Czy wszystkie jesteście takie naiwne?! Pani przecież jest celem, który Calumet sobie upatrzył i zakładam się, że go osiągnie.

Rumieniec oblał twarz Betty, była niezmiernie wzburzona.

— On jest brutalem — odparła.

— W każdym mężczyźnie tkwi pewna doza brutalności, jeżeli dokładnie się zanalizuje jego charakter — zaopiniował Dade obojętnie. — Najgorsze w Calumecie jest to, że nigdy nie przebywał w otoczeniu, w którym byłyby się mogły rozwinąć jego dobre strony charakteru. On jest prostym i mało wykształconym człowiekiem, ale jest mężczyzną w pełnym znaczeniu tego słowa.

— Uważa pan więc, że Calumet jest prymitywny w swoich poglądach i instynktach?

— Tak, to właśnie chciałem wyrazić, Calumet jest surowy i nieobyty, bo nikt dotąd jeszcze się nim szczerze nie zajął. Ludzie są dumni ze swej kultury i zapominają, że to wszystko przyswoili sobie przez wychowanie i naśladowanie dobrych przykładów. Nie chcę nic powiedzieć przeciwko kulturze i wykształceniu, przeciwnie, pochwalam to i cenię, gdy młody człowiek posiada wyższe wykształcenie. Ale jeśli ktoś w swej młodości się z tym nie zetknął, a mimo to jest porządnym człowiekiem, to może sobie te braki uzupełnić, jeśli będzie miał ku temu sposobność. A jednak jest możliwe, że Calumet nigdy tego nie osiągnie, choć teraz nie jest już taki zacięty i ponury, a jeśli pani....

— Kiedy będziecie gotowi z naprawą zagrody? — przerwała mu Betty.

Dade uśmiechnął się:

— Sądzę, że jutro.

Rozdział 18

Istotnie było tak, jak powiedział Dade. Płot dookoła zagrody następnego dnia był ukończony. Kawał gruntu, który odgradzał, wynosił kilka morgów. Za dawnych, dobrych czasów trzoda farmy była nadzwyczaj liczna, a doświadczony hodowca bydła stale miał ją pod swoją pieczą i starał się o obszerną zagrodę. Ale obecnie, gdy z powrotem oparkaniono zagrodę, stała próżna już od tygodnia.

W tym czasie było mało roboty. Dade i Malcolm przez dłuższy czas zajęci byli naprawą stajni i baraku, a Bob za poradą Calumeta wybudował budę dla psa, który w ciągu tego czasu stał się duży i tęgi, ale chłopak mimo to lubił go. Calumet najwięcej czasu spędzał w siodle i robił dalekie podróże po okolicy.

Dla Dade'a było zupełnie jasne, że Calumet martwił się o Betty, która w ostatnim tygodniu mało z nim mówiła, a w dodatku niecierpliwił się z powodu braku zajęcia. Budynki były odnowione, a teraz brakowało tylko, aby zakupić bydło i żeby wreszcie uruchomić farmę. Betty musiałaby zaproponować, żeby je zakupić. Ale w ostatnim tygodniu nie wspomniała o tym, Calumet jednakże nie pytał jej o nic.

Następnego poniedziałku po bezczynnie spędzonym tygodniu, Calumet zauważył, że Betty śpieszy się z podaniem śniadania, a gdy wstał ze stołu, powiedziała, że chce z nim pomówić, po ukończeniu swoich czynności gospodarskich.

Calumet tymczasem wyszedł na dwór, doglądał Dade'a, Malcolma i Boba przy robocie. Po godzinie Betty wyszła z domu. Calumet stał przy zagrodzie w pobliżu stajni, a gdy Betty stanęła przed nim, spojrzał zdziwiony na nią.

Dotychczas widział ją tylko w zwykłych sukniach domowych, ale teraz miała na sobie spódnicę z brązowego aksamitu, do konnej jazdy, a do tego brązową wełnianą bluzkę, odpowiednio dobrany szalik i brązowy filcowy kapelusz o szerokiej kresie. Jej brązowe irchowe rękawiczki miały srebrne sztylpy, a wysokie buty były ozdobione łukowatymi ostrogami meksykańskimi. Także siodło, które trzymała, było bogato przystrojone srebrnymi ozdobami.

Calumet natychmiast wszystko pojął. Siodło, kostium do konnej jazdy były jeszcze pozostałościami z dawnych dobrych czasów, stanowiły jej osobistą własność, zachowaną na pamiątkę. Gdy zobaczył ją w pierwszej chwili w tym stroju, miał ochotę ją wyśmiać, ale potem uczuł dla niej litość, więc milczał.

Nawet pod drwiącą uwagą kryłby się podziw. Jeśli w rzeczywistości nawet się śmiał z takich rzeczy, przecież nie mógł zaprzeczyć, że było jej w tym kostiumie dobrze i że jej piękna postać korzystnie uwydatniała się w tym stroju.

Kiedy zbliżył się do niej, zauważył, że lekki rumieniec okrył jej policzki i że wzrok jej był bardziej błyszczący i pogodny niż zwykle. Wcale jednak nie okazywała zakłopotania i zachowywała się z właściwym sobie wdziękiem.

Uśmiechnięta, przystanęła przed nim, mówiąc:

— Czy zechce pan dzisiaj przedpołudniem pojechać ze mną do Diamand-Farmy?

— W jakim celu? — spytał niezbyt uprzejmym tonem, czerwieniąc się na myśl, że Betty może dostrzegła wyraz podziwu w jego spojrzeniach.

— By zakupić potrzebne nam bydło. Keltonowi, właścicielowi Diamant-Farmy tego roku nie poszczęściło się. W jego stronach było mało deszczu, miał więc mało paszy. Dowiedziałam się, że zaoferował Taggartowi dużą sumę, żeby pozwolił na swoich łąkach paść się jego trzodzie, ale oni nigdy nie żyli dobrze ze sobą. Taggartowie wobec tego zażądali jeszcze większej sumy. Dlatego też Kelton postanowił pozbyć się części swej trzody. Nam potrzeba wołów, a możemy je od niego odkupić w przystępnej cenie.

Calumet chrząknął i ociągając się z odpowiedzią zmarszczył czoło.

— Dlaczego nie zabiera pani ze sobą Dade'a albo Malcolma?

Spojrzała mu prosto w oczy.

— Nie bądź pan taki uparty i kapryśny. Dade i Malcolm nie mają nic wspólnego z zarządem farmy. Pan pojedzie ze mną i uskuteczni kupno.

Calumet zaśmiał się.

— Sądzi pani, że koniecznie musi mi pani towarzyszyć? Ja przecież sam się znam na bydle i nie dam się Keltonowi oszukać.

Wyprostowała się i odrzuciła przekornie głowę w tył.

— No dobrze — odparła powoli — jeśli pan tak uważa, to pojadę sama. Ja przynajmniej sądziłam, że przyszły właściciel farmy będzie się starał odrzucić wszelkie osobiste sympatie lub antypatie, jeśli będzie chodziło o dobro farmy i o jego własne. Poza tym chciałam panu jeszcze tylko zaznaczyć, że nie jestem przyzwyczajana do takiego traktowania. W miejscowości, z której pochodzę, żaden mężczyzna nie będzie tak nieuprzejmy wobec kobiety, aby odmówić jej, gdy zwraca się do niego z prośbą, żeby jej towarzyszył.

— Jestem tak samo uprzejmy jak którykolwiek mężczyzna z Teksasu. Ale aby pani to udowodnić, będę musiał oczywiście pani towarzyszyć.

— Naturalnie — odrzekła.

Calumet poszedł do zagrody, wybrał lepszego z obu zakupionych w Lazette koni i razem ze swoim wierzchowcem zaprowadził do stajni, gdzie je osiodłał.

Podczas gdy był zajęty końmi, osłabły nieco niezadowolenie i złość, wywołane jej wymówką.

— Czy ma pani także lejce? — spytał, gdy ze szczególną starannością osiodłał wierzchowca.

— Ach, zapomniałam ich. Leżą na stole w moim pokoju.

— Na pani miejscu byłbym je od razu przyniósł.

— No dobrze — uśmiechnęła się do niego, zabierając się do wyjścia ze stajni. — Już od dawna ich nie używałam. Może byłam także trochę zdenerwowana.

— Uważam, że ostatnio pani za wiele przebywała w domu — zauważył szorstko. — Mamy dwanaście mil do Diamant-Farmy i tyleż drogi powrotnej, a jeśli kupno bydła także trochę czasu zajmie, wobec tego byłoby rozsądniej, by pani się nieco pośpieszyła.

Betty szybko powróciła z zarumienioną twarzą, prawie jej tchu zabrakło. Calumet wyprowadził konie i przytrzymywał jej nawet usłużnie strzemiona. Na jej uszczęśliwiony uśmiech odpowiedział łobuzerskim grymasem. Szybko wspiął się na siodło i wyruszył za nią, nie czekała bowiem na niego, przejeżdżała obok domu i znajdowała się już na płaszczyźnie, która rozpościerała się aż do rzeki.

Po drodze mało rozmawiali ze sobą i Calumet celowo trzymał się od niej w większym oddaleniu, gdyż chciał jej pokazać, że chociaż jej towarzyszy z grzeczności, to jednak nie jest z tego zadowolony. Diamant-Farma leżała w dolinie w pobliżu rzeki; łąki w tej okolicy były nieszczególne, widać było, że susza daje się tu porządnie we znaki.

— Kelton widocznie miał mało rozumu, że założył tu farmę — odezwał się Calumet lekceważąco.

— To, że był tak głupi, jest w końcu tylko korzyścią dla nas.

— Jak pani to pojmuje?

— No, że możemy przecież o wiele taniej od niego odkupić trzody, niż gdyby wszystko szło u niego jak należy — odrzekła, patrząc mu w oczy.

— Należy więc pani do tych ludzi, którzy są skłonni wykorzystać niedolę bliźnich?

— To zupełnie od tego zależy, z jakiego punktu widzenia się do tego podchodzi. Ja nie jestem odpowiedzialna za niepowodzenia Keltona. A jeśli trzodę odkupię od niego, zrobię mu tylko wielką przysługę. Ta cała sprawa w końcu nie jest niczym innym tylko interesem.

— Dlaczego pani nie zaoferowała Keltonowi Ypsylon-Farmy? — zapytał z uśmiechem.

— Tak właśnie uczyniłam, — odpowiedziała tryumfująco. — Ale nie chciał jej wziąć w dzierżawę, gdyż nie chciał z panem mieć do czynienia. Zaznaczył mi wyraźnie, że pana od dawna zna.

Calumet miał widać mało szczęścia w rozmowach z Betty, a wobec tego, że tak zręcznie odparowała jego zaczepkę, więc nie pozostało mu nic innego, jak zamilknąć. Gdy przybyli do Diamant-Farmy Calumet nie zsiadł z konia.

— Może pani sama interes ubić ze swoimi znajomymi. Jeśli ja będę przy tym, mogę się rozzłościć i wyrżnę któremuś jeszcze w twarz.

Podjechał z powrotem do zagrody, przez którą dopiero co przejechali, oglądał na nowo konia, na którego już przedtem zwrócił uwagę.

Zwierzę miało czarną, błyszczącą sierść i tylko małe białe plamy na przodzie. Calumet oglądał dużego muskularnego ogiera przez dłuższy czas. To zwierzę było wspaniale zbudowane i miało ognisty temperament. Kiedy Calumet podjechał blisko ogrodzenia, zwierzę zbliżyło się bez

bojaźni do niego. Po zaspokojeniu swej ciekawości, odwróciło się, uderzywszy tylnymi kopytami o ogrodzenie i pokłusowało przed siebie.

Calumet z podziwem patrzył za koniem. Pół godziny siedział w siodle, obserwując ten piękny okaz konia. Gdy się potem obejrzał na dom mieszkalny farmy, spostrzegł, że Betty i Kelton powracają z przeglądu bydła i zbliżają się do niego.

— Mr. Kelton oferuje mi 400 sztuk bydła po przystępnej cenie — zakomunikowała Betty, gdy Calumet zbliżył się do nich. — Od pana tylko zależy dobicie targu.

— Myślałem, że pan zarządza, farmą, — zagaił Calumet, spojrzawszy na Keltona. Jego wrogie nastawienie wobec tego człowieka zupełnie znikło, gdyż opanowała go nieodparta chęć nabycia owego czarnego ogiera, którego tak podziwiał.

— Tego panu tanio odsprzedam — odparł farmer.

— Ile pan żąda?

— Pięćdziesiąt dolarów.

— Wobec tego koń należy do mnie — oświadczył Calumet. — Miss Clayton wypłaci panu tę sumę razem z należną kwotą za dzisiaj zakupioną trzodę. — Calumeta zastanowił jednak ton, którym ten człowiek wymienił cenę za konia. — Dlaczego chce się pan pozbyć czarnego?

— Nie daje się ujeździć. Jeśli pan chce, może pan jeszcze odstąpić od kupna, ja bowiem muszę wyznać prawdę, gdy pan pyta o to. Nie ma w tej okolicy człowieka, któremu by się udało poskromić tego konia. Mikell, który jest jednym z najdzielniejszych ludzi, on zwykle ujeżdża konie i już niejednego dzikiego konia poskromił, leży teraz chory. Bo tamtego tygodnia złamał nogę, gdy czarny diabeł go zrzucił. A Mikell jest dla mnie cenniejszy niż ten przeklęty koń. O ile się domyślam, nie ma pan wiele doświadczenia z ujeżdżaniem koni. Wobec tego, że panu o nim wszystko powiedziałem, zrezygnuje pan zapewne z kupna?

— Spodziewam się, że na nim wrócę na naszą farmę — odparł Calumet pewnym siebie tonem.

Kelton uśmiechnął się z niedowierzaniem, Betty szybko spojrzała na Calumeta. W pierwszej chwili obawiała się, że pospieszył z tym oświadczeniem, bo chciał się pochwalić w obecności Keltona. Widząc jednak jego wyraz twarzy, upewniła się, że postanowił dotrzymać swego słowa. Mimo wielu wad, jakie posiadał, nie słyszał nigdy, żeby się przechwalał.

Także Kelton zbladł, gdyż wyczuł, że Calumet wierzył w to, co powiedział. I teraz mimo wszystko okazało się, że miał uprzedzenie do Calumeta.

— Jeśli chce pan doszukać się biedy, nie mogę panu przeszkodzić. Gdyby skręcił pan kark, jest to w końcu tylko pańska sprawa.

Calumet nie odpowiedział na to, szczerzył tylko zęby w uśmiechu. Zsiadł z konia, odpiął siodło i uzdę, gdy trzymał już zwierzę, zwrócił się do Betty:

— Chciałbym, żeby pani wróciła na moim wierzchowcu, daruję go pani. Kelton zapewne pożyczy pani uzdę, to pani także zabierze drugiego konia do domu.

Betty zeskoczyła ze swego konia. Calumet nałożył dla niej siodło na swego konia, który od dawna jej się bardzo podobał. Oniemiała wprost z radości pod wpływem tego niespodzianego daru, chciała mu dziękować, ale czuła, że ten moment nie jest stosowny. Poza tym wcale nie czekał tak długo. Tymczasem wrócił Kelton z uzdą i nałożył ją na drugiego konia. Po czym pomógł Betty przy dosiadaniu konia.

Calumet zaniósł swoje siodło do zagrody, wziął swoje lasso wiszące na przodzie przy siodle i podszedł do furtki zagrody.

Betty uradowana tym, że posiada tak pięknego konia z ciekawością podjechała do ogrodzenia, żeby popatrzyć jak Calumet sobie poradzi. Była podniecona i blada, gdy przypatrywała się Calumetowi.

Czarny koń znajdował się sam w zagrodzie, gdy Calumet tam wszedł zamykając z sobą furtkę. Zwierzę zbliżyło się do Calumeta strzygąc uszami.

Calumet podszedł do niego. Koń chwilę się zatrzymał, a potem powoli się cofał, aż dzieliła go od Calumeta piętnastometrowa przestrzeń, rżąc pocwałował w przeciwległy kąt zagrody.

— Uważaj pan, żeby się nie wydostał bramą — zawołał Calumet do Keltona.

Potem znowu zbliżył się dużymi krokami do konia, który stale się cofał wzdłuż ogrodzenia. Koń zrozumiał manewr człowieka, który chciał go zapędzić w kąt. Podczas gdy Calumet był już prawie u celu, koń znienacka uczynił ruch, jakby chciał przegalopować na lewo obok Calumeta. Ale w ostatniej chwili odwrócił się, próbując przedostać się z prawej strony.

Ten podstęp mu się jednak nie udał. Calumet trzymał nisko lasso i zdawał się obojętnie śledzić konia. Ale gdy koń chciał przemknąć obok niego, błyskawicznie zarzucił lasso, zataczając łuk podobny do węża. Pętla rozwarła się, spadła na szyję konia i ściągnęła się znowu. Calumet zręcznie owinął lasso o pobliski słup. Czarny wierzchowiec parskając gwałtownie, runął z wściekłością na ziemię.

Przez krótki czas koń przeleżał na ziemi, a właśnie ten czas wykorzystał Calumet. Gdy przystąpił do konia, zdjął swoją chustkę ze szyi i obwiązał koniowi głowę w ten sposób, że przykrył mu oczy. Potem wyprowadził go z zagrody, a koń wcale się nie wzbraniał.

W pobliżu ogrodzenia zatrzymał się i spojrzał na Betty, która śledziła go uważnie. Calumet zauważył, jak bardzo była zaintrygowana, czy uda mu się zadanie, którego się podjął, musiał więc się śmiać.

— Byłoby lepiej, żeby pani jechała nieco z boku — zaproponował — by koń miał więcej przestrzeni i mógł się wyszaleć. O ile naprawdę jest taki nieokiełzany, jak powiedział Kelton, to niejednego można się po nim spodziewać.

Calumet przeczekał, aż znalazła się w bezpiecznym oddaleniu. Kelton trzymał konia za grzywę, podczas gdy Calumet nakładał mu siodło i wędzidło. To wszystko czynił tak zwinnie, że Betty przyglądała mu się z podziwem. Następnie rozwinął lasso i zawiesił na siodle. Uśmiechnął się przekornie do Keltona i skinął głową.

Farmer zdjął chustkę z oczu konia, puścił mu grzywę i szybko odskoczył w tył po czym wylazł na parkan. W tej chwili Calumet wspiął się

na siodło i zanim czarny się zorientował, co się dookoła niego dzieje, Calumet znalazł strzemiona. Przez jakiś czas nogi wierzchowca drżały; nie przyzwyczajone do takiego ciężaru. Skulił uszy płasko przy głowie, a nozdrza mu drgały. Otwartym pyskiem dziko rozejrzał się naokoło, nie wiedząc w pierwszej chwil, co ma począć. Ale następnie poczuł, że jeździec naciska mu gwałtownie ostrogami boki, wspiął się wysoko z bólu, potem znowu przystanął na ziemi. Koń stał zaskoczony, szeroko rozsunąwszy nogi i wściekły, że musi nieść jeźdźca. Nagle jednak ruchy ogiera znów nabrały życia. Raptownie odskoczył w bok, by zrzucić swego prześladowcę z siodła, ostróg, które dotkliwie dawały mu się we znaki.

Koń przystanął, zebrał całą swą siłę. Już dawniej nabrał doświadczenia z tymi dziwnymi istotami, które tak uporczywie czepiały się jego grzbietu i wiedział, że potrzeba mu całego zasobu sił, żeby je zrzucić z siodła. Zwierzę odetchnęło czując, że ostrogi nie wrzynają mu się teraz w boki, ale nie dało się oszukać. Tym razem nie da jeźdźcowi okazji do znęcania się nad sobą. Z całym nakładem sił, koń rzucił się na duży plac mieszczący się za domem mieszkalnym farmy, oderwał się od ziemi jak balon, wykrzywił grzbiet, wsunął łeb między przednie nogi. Po czym znów podskoczył wysoko i przystanął powtórnie na ziemi, skupiając wszystkie cztery kopyta razem w ten sposób, że nie zabierały więcej miejsca, niż wielkość talerza.

Ale mimo to wszelkie sztuczki okazały się bezcelowe.. Calumet nie dał się zrzucić, bezustannie miał się na baczności. Czarny na nowo zebrał wszystkie swoje siły, parsknął parę razy i w ciągu następnych pięciu minut wypróbował wszystkie znane mu tricki, żeby zrzucić znienawidzonego człowieka, spokojnie siedzącego na jego grzbiecie.

Betty przyglądającej się z pewnego oddalenia tym zmaganiom, wydawało się, że Calumet wnet ulegnie. Już nieraz miała sposobność, przyglądać się podobnej walce, ale jeszcze nigdy jej to do tego stopnia nie interesowało. I nigdy dotychczas nie życzyła tak gorąco zwycięstwa jeźdźcowi. Spojrzała przelotnie na Keltona, widziała jego zły i na pół drwiący wyraz twarzy. Spodziewał się, wręcz życzył sobie, by czarny diabeł zrzucił z siebie Calumeta.

Chociaż narażała się na niebezpieczeństwo, Betty podjechała bliżej tak, że mogła dobrze wszystko widzieć. Zatrzymując konia usłyszała obok siebie słowa Keltona:

— Niebezpieczna bestia, z tego czarnego!

Rozdrażniona zwróciła się doń:

— Nie może pan stać spokojne?!

Zaczerwienił się, lecz Betty tego nie dostrzegła, cała bowiem jej uwaga skupiła się na Calumecie. Koń jeszcze wcale nie zaniechał walki, wprost przeciwnie, teraz odnosiło się wrażenie, że czarny znalazł w tej walce upodobanie. Zarżał z wściekłością i pogalopował w najszybszym tempie prawie sto metrów, po czym nagle stanął dęba, a przednimi nogami wierzgał wściekle w powietrzu, gryząc równocześnie bezsilnie lejce; skupiał wszystkie siły, żeby się uwolnić.

Zaraz na początku zleciał Calumetowi na ziemię kapelusz. Wspinając się na siodło, uśmiechnął się jeszcze, lecz teraz zaciskał zawzięcie zęby.

Betty widziała go nawet z daleka. Był nieustępliwym i dzielnym jeźdźcem, to dopiero teraz zauważyła. Widziała bowiem już wielu cowboyów przy ujeżdżaniu koni, którzy się przy tym załamywali. Znała też pewną siebie postawę tych ludzi, którzy błyskawicznie dostosowywali się do każdego poruszenia konia, ba nawet przeczuwali każdy zamierzony ruch zwierzęcia.

Calumet znał się dobrze na rzeczy. Przede wszystkim zachował zimną krew i spokój; mimo, iż z zawziętością zaciskał zęby, nie bał się wcale i nie dał się odwieść od raz powziętego postanowienia.

Chwilami mogła Betty dokładnie widzieć twarz Calumeta, podczas zmagania się z koniem. Zwierzę miotało się to w tą, to w ową stronę, skakało to w jeden bok, to w drugi. Zdawało się wprost. że jest to walka dwu równych sił. Betty wszelako doskonale znała Calumeta i wiedziała jak hardy i uparty może być. Stopniowo czuła, że rumak nie ma widoków zwycięstwa, chyba gdyby się jeźdźcowi przytrafiło jakieś nieszczęście.

Czarny wywiesił z pyska język, na szczęce ukazała się krwawa piana. Był cały mokry na ciele i pokrwawiony z ran zadanych mu ostrogami. Dyszał ciężko, a białka jego oczu nabiegały krwią. Chęć mordu widniała w dzikich spojrzeniach zwierzęcia, które najprawdopodobniej przeczuwało, że wnet ulegnie w walce. Zrozpaczone zebrało wszystkie siły po raz ostatni.

W dzikim galopie koń przemknął obok Betty. W tym momencie mogła dobrze widzieć twarz Calumeta, był blady, krew zabarwiła jego usta czerwienią. Zapewne doznał wewnętrznego krwawienia, przez dzikie harce konia, lecz jego spojrzenie było stanowcze. Wiedział, że zwycięży. Jedynie śmierć mogła mu w tym przeszkodzić. Dla niego nie istniało nic poza zwycięstwem. Gdy przemknął mimo niej na koniu, udało mu się uśmiechnąć do niej. W tym uśmiechu leżała ironia i zniewaga — może miało to powiedzieć, ze nie zależy mu na tym co ona o nim sądzi. Czarny przesadził jakie sto metrów, lecz to co się potem rozegrało mogło być nieszczęśliwym wypadkiem, lub obmyślonym trickiem rozwścieczonego konia.

Przystanął znienacka, oparł się całą siłą o tylne nogi rzucił się w tył i runął grzbietem na ziemię.

Calumet jednak to przewidywał, a widząc, że zwierzę podnosi się poziomo, zeskoczył z siodła, żeby go koń nie przygniótł ciężarem swego cielska. Udało mu się to, ale jego prawa noga tkwiła jeszcze w strzemieniu i Calumet ciężko upadł obok konia.

Betty krzyknęła przeraźliwie, ale nikt tego nie słyszał. Kelton zbladł i patrzył na Calumeta szeroko rozwartymi oczyma. Calumet siedział na ziemi, próbując oswobodzić nogę ze strzemienia. Betty widziała, że koń próbował go dwa razy kopnąć i raz prawie mu się to udało.

Po pewnym wysiłku Calumet uwolnił się i wstał. Ciągle jeszcze trzymał cugle w ręku, błyskawicznie pociągnął je w bok i całą siłą zaczął okładać czarnego.

Zwierzę podniosło się, parskało z bólu i wściekłości, ale dotychczas jego upór nie był jeszcze pokonany. Tylnych nóg nie zdołał jeszcze wyprostować, gdy Calumet powtórnie siedział już w siodle. odskoczył

naprzód, rzucając głową na wszystkie strony, gdy Calumet pchnął go ostrogami. Koń wrzasnął prawie ludzkim głosem, zrozpaczony.

Szalał tak przez jakie sto metrów, potem jego tempo stawało się coraz powolniejsze. Koń wydawał się być u kresu swych sił. Jeszcze raz wspiął się w górę, po czym padł ciężko na ziemię i potoczył się w bok. Prawa noga Calumeta znajdowała się pod koniem.

Czarny był wyczerpany, leżał cicho na ziemi dysząc ciężko. Calumet pozwolił sobie także na mały odpoczynek, wyprostował się, oparł głowę o ramię i czekał.

Betty, która była oddalona od tego miejsca zaledwie o dwadzieścia metrów, uśmiechała się. Calumet nie znajdował się w niebezpieczeństwie, gdyż duże ciężkie strzemię chroniło go, a górna część siodła uniemożliwiała złamania lub zranienia nóg. Widziała już cowboyów w podobnym położeniu. Ci ludzie zwykle odpoczywali przy takiej okazji i narzekali na swój zawód.

Calumet milczał, podjechała trochę bliżej do niego. Gdy ich spojrzenia się spotkały, skonstatowała, że Calumet jest jeszcze tak samo odważny i energiczny jak przedtem. Jeszcze niezupełnie opanował konia, a chciał za wszelką cenę wywiązać się z raz podjętego zadania.

— Za minutę wyruszymy — wołał do niej, a głos jego brzmiał nieco cieplej. — Byłbym pani wdzięczny, gdyby zabrała pani ze sobą mój kapelusz. Uważam, że pani nie będzie mogła dotrzymać mi kroku, pani więc wybaczy, że pojadę przodem.

Ledwo wypowiedział te słowa, gdy koń znowu usiłował stanąć na nogi. Calumet był mu przy tym pomocny, zwolnił lejce i starał się jak najmniej ciężyć koniowi. Calumet siedział już znowu pewnie w siodle i wbijał mu ostrogi w boki. Koń znowu stanął dęba, parskał, po czym stanął przednimi nogami i rzucił się w zawrotnym tempie naprzód.

Teraz walka była już ostatecznie rozstrzygnięta; koń wreszcie uznał, że jeździec posiada silniejszą wolę i że nie pozostało mu nic innego, tylko podporządkować się woli tego człowieka.

Betty obserwowała w milczeniu jak Calumet niczym błyskawica przemknął obok niej. Koń i jeździec byli spowici tumanami kurzu, powoli unikali z pola widzenia.

Dopiero po tym Kelton, który stal rozczarowany obok Betty, zwrócił się do niej:

— Do diabła! gdybym był wiedział, że uda mu się ujeździć czarnego, nie byłby go dostał ode mnie nawet za dwieście dolarów!

Betty uśmiechnęła się tajemniczo po czym obejrzała się za kapeluszem Calumeta i prowadząc dwa konie za uzdę, pojechała z powrotem do Ypsylon-Farmy.

Już prawie się ściemniało, gdy tam przybyła. Przywitali ją Dade i Bob. Zobaczyła czarnego konia w zagrodzie, wiedziała już że Calumet zwyciężył, gdyż koń pokonany zwiesił łeb. Rzadko widziała takie zmęczone i wyczerpane zwierzę, ale i Calumet był wyczerpany.

Betty przebrawszy się przygotowała kolację dla wszystkich, przy jedzeniu nie wspominała ani słowem, co tego dnia widziała i co przeżyła. Także Calumet omijał ten temat. Betty była ciekawa dlaczego Calumet

podarował jej swego wierzchowca. Czyż był to dowód przyjaźni, czy po prostu uprzykrzył mu się ten koń?

Późno wieczorem, gdy Calumet poszedł do siebie, Betty siedziała z Dadem w kuchni, Bob z Malcolmem byli w pokoju. Zwierzyła się przed Dadem, opowiedziała mu co zaszło na Diamant-Farmie, nie zdradzając jednak własnych myśli.

— W takim razie przeklęcie dobrze jeździ — odezwał się Dade. — Myślę, że raczej dałby sobie kark skręcić, a nie odstąpiłby. Był jednak zupełnie wyczerpany, kiedy tutaj przybył — prawie spadł ze siodła, gdy szedł, zataczał się. Nie wyrzekł ani słowa, uśmiechał się tylko do mnie, gdy zaprowadził konia do zagrody.

— Sądzi pan. że ten koń pozwoli się teraz ujeździć? — zapytał mnie tylko.

— Tak, tak mi się wydaje — odparłem.

— Podarowałem Betty mego wierzchowca — wyznał mi potem. — Uprzykrzył mi się, od kiedy zobaczyłem czarnego.

W rysach Betty ukazało się rozczarowanie. Przypuszczała, że Calumet podarował jej konia z zupełnie innego powodu. Spodziewała się...

— Myślę, że nie był to jedyny powód dla którego podarował pani konia. Ale mnie w to nie wtajemniczył.

— Skąd pan padł na ten pomysł? — spytała Betty, próbując zachować spokój.

— Przed godziną wszedłem do stajni. Uczyniłem to przypadkowo, chciałem się trochę rozejrzeć. stojąc cicho w kącie widziałem, że Calumet stał przy wejściu. Obok nas nie było żywej duszy, do której by mógł mówić. Przyłożył głowę do szyi konia i przemawiał doń czule, jeszcze nigdy nie słyszałem, żeby tak do kogoś przemawiał. „Podarowałem cię. Ciężko mi było z tobą się rozstać, ale na tobie Betty będzie zgrabnie wyglądała. Ta stara szkapa dla niej nie była odpowiednia. Ten przeklęty ogier! Dla żadnej innej kobiety nie zadałbym sobie trudu poskromienia tej dzikiej bestii...”

Rozdział 19

Czarny koń był już ujeżdżony, ale było nimi jeszcze dość trudno kierować. Musiał się dalej uczyć, a inteligentne i mądre zwierzę, szybko wszystko pojmowało. Tylko Calumetowi dawało sobą kierować, jedynie jego uznawało za swego pana. Jeśli Dade lub Malcolm ukazywali się w pobliżu, natychmiast stawało się nieokiełzane. Nawet na widok Betty płoszyło się, ona jednak najwięcej ze wszystkich podziwiała czarnego konia.

Calumetowi koń na wszystko pozwalał, nawet kiedy ten od niego za wiele wymagał i był wobec niego twardy. Było to najlepszym dowodem, iż Calumet na zawsze konia podporządkował swej woli.

W ciągu tygodnia dwóch cowboyów z Diamant-Farmy przyprowadziło czterysta sztuk zakupionego tam bydła. Natychmiast Calumet zabrał się do pracy. W wolnych chwilach uczył swego czarnego konia tego, co będzie należało do jego przyszłych obowiązków. Uczył go więc obserwować lasso gdy świsnęło tuż obok jego uszu i gdy potem obwijał je dookoła szyi, czy też nogi wołu. Koń oswajał się ze strasznym trzaskiem, który temu towarzyszył. Kiedy rzucający lasso chybił, co się rzadko zdarzało, koń musiał wiedzieć, którą ze sztuk bydła jeździec sobie upatrzył i musiał mu towarzyszyć w stronę, w którą ten się kierował, aż lasso chwyciło. Wnet oswoił się z ostrogami i lejcami, i wreszcie pojął, że o wiele lepiej jest biec pod lekkim naporem kolan Calumeta.

Musiano zakupioną trzodę poznaczyć.

Nie było to łatwe zadanie, Dade i Malcolm mieli dużo pracy. Nawet Bob pomagał. Malcolm i chłopak rozpalali żelazo. Calumet lassem chwytał zwierzęta i sprowadzał do ognia, gdzie Dade przyciskał im do łydek rozpalone do białego żelazo.

W końcu i tę robotę ukończono, a teraz wyprowadzono trzodę na pastwisko.

Ostatniego wieczora, gdy ukończono znaczenie trzody. Calumet, Dade i Malcolm wcześnie poszli spać. Tylko Betty i Bob przez jakiś czas jeszcze siedzieli w kuchni.

Krótko przed północą Calumet spał jeszcze mocno, gdyż ostatnio pracował ciężko, ale punktualnie o północy nagle się zbudził. Leżał na wznak i patrzył na sufit. Był zupełnie rozbudzony, muskuły i nerwy były napięte.

Nie zdawał sobie sprawy, co go zbudziło, ale musiało zajść coś niezwykłego. Już nieraz przeżywał taki dziwny stan, na przykład, gdy trzoda na granicy hiszpańskiej rzuciła się do ucieczki. Pewnego razu także

obudził się wśród nocy, gdy Meksykanin przebił nożem cowboya z którym dzień przedtem się kłócił. Gdyby Calumet nie był się obudził. zabójca byłby bezkarnie uszedł. Innym razem barda koniokradów próbowała umknąć z łupem.

Także teraz miał przeświadczenie, że musiało zajść coś niezwykłego. Leżąc cicho obejrzał się pa pokoju. Dade spał oddychając spokojnie. W końcu Calumet wstał i poszedł do drzwi, które jak zwykle były zamknięte, światło księżyca padało przez okno do środka tak, że mógł rozróżnić dokładnie wszystkie sprzęty w pokoju, ale nie widział nic nadzwyczajnego. Mimo to był przekonany, że musiało zajść coś złego. Ostrożnie przystąpił do okna, wyjrzał na podwórze, nasłuchując, oglądał się na wszystkie strony, lecz nie mógł uchwycić żadnego szmeru, nie widział również nikogo w pobliżu. Nie uspokoił się jednak.

Calumet ubrał się, włożył pas z nabojami, wyciągnął spod poduszki rewolwer. Cicho podszedł do drzwi, otworzył je, wyszedł na dziedziniec. Przypuszczał, że ktoś pilnujący trzody chciał obejść naokoło zagrodę. Dziwne, że dopiero gdy zeszedł schodami na dół przyszło mu na myśl, że Betty ma schadzkę z Nealem Taggartem. Zakradał się cicho, ażeby nikogo nie zbudzić, gdy jednak podszedł ku drzwiom pracowni, zauważył jak wtedy, jasny pas światła nad progiem.

Przystanął, miotała nim dzika zazdrość. Więc Taggart znowu jest u niej.

Ale tym razem to mu nie umknie, postanowił bowiem zadać sobie trudu i uważać, aby nikogo nie zbudzić. Podsłuchiwał pod drzwiami, ale żaden głos stamtąd nie dochodził. Znajdowali się przecież w tym pokoju, gdyż słyszał, że się tam poruszali. Bezszelestnie zakradł się znowu schodami do swego pokoju, przyniósł sobie swoje buty, niósł je w ręku. Chciał je ubrać pod drzwiami kuchennymi, tym razem pies go nie zdradzi, gdyż nakazał Bobowi, aby trzymał psa na podwórzu. Nie trwało długo, aż zeszedł schodami i dotarł do drzwi kuchennych. Tam ubrał buty i podkradł się aż do frontowych drzwi.

Ku jego zdziwieniu we frontowych oknach wszędzie było ciemno, nie słyszał najlżejszego szmeru. Próbował otworzyć drzwi. Gdyby wewnątrz było światło widziałby je mimo przymkniętych okiennic, bo były już stare i miały liczne szpary.

Lecz nie mógł dojrzeć ani cienia światła; jeśli ktoś był w pokoju, to musiał go mimo, że zachowywał ostrożność, usłyszeć. Calumet zaklął cicho, gdyż nie mógł równocześnie strzec frontowych i tylnych. drzwi. Nagle jednak padł na pomysł; mógł obserwować cały dom. ale z pewnego oddalenia. Z daleka mógł każdego widzieć, kto wychodził z domu.

Poszedł więc do pobliskiego lasku i stąd rozglądnął się. Przy drzewach, w pobliżu strumyka ujrzał konia i jeźdźca, którzy poruszając się na wolnej przestrzeni, powoli oddalili się od niego.

„Znowu wyprowadziła mnie w pole! Podobnie jak i tamtym razem!” Betty była w swoim pokoju i wyśmiewała go. Także Taggart będzie się śmiał w kułak! Ta myśl doprowadzała Calumeta do wściekłości. Klął zawzięcie, podczas gdy śpieszył do stajni, gdzie szybko osiodłał swego starego wierzchowca. Chciał ścigać Taggarta, aż do jego farmy, gdy

zajdzie potrzeba, ale tym razem on mu się nie wymknie, nawet gdyby miał, zjeździć konia na śmierć!

Trzy minuty później Calumet wyjechał ze stajni. Jak wicher pognał ku temu miejscu, gdzie przedtem widział jeźdźca. Był święcie przekonany, że ten człowiek w międzyczasie nie bardzo się oddalił, kiedy się jednak obejrzał, nie mógł go nigdzie zobaczyć.

Zatrzymał się tylko na krótki czas, potem wspiął konia ostrogami i pokłusował z wielką szybkością, wzdłuż rzeki. Wkrótce miał za sobą milę — dwie i trzy, nagle wyjechał z lasu; miał przed sobą równinę, rozpościerającą się w szeroką dal. Mógł ją ogarnąć okiem, ale nie zauważył tam jeźdźca. Taggart więc nie obrał tego kierunku, a przecież tędy prowadziła droga do jego farmy.

Calumet natychmiast wrócił. Z zaciśniętymi wargami jechał z powrotem, zatrzymywał się często, wzrokiem przebiegał majaczące cienie. Gdy znowu dotarł do miejsca, gdzie widział jeźdźca po raz pierwszy, był przekonany, że Taggart ukrył się gdzieś w pobliżu drogi i że przejechał obok niego. Jego wróg prawdopodobnie wrócił i próbował teraz okrężną drogą powrócić na farmę.

Calumet postanowił teraz pojechać na ukos, aby go jeszcze w drodze pochwycić. Znowu spiął konia ostrogami po bokach i popędził przez las. Droga prowadziła blisko stoku, przy którym Taggart się swego czasu zaczaił. Następnie Calumet przybył na polankę, która była oddalona najwyżej o pięćset metrów od jego farmy. Na środku tej polanki jego koń nagle się przestraszył, gdy przednimi nogami dotknął ziemi. Calumet rozglądnął się za przyczyną tego strachu, wtem ujrzał człowieka leżącego obok krzaków. Zeskoczył z konia i z rewolwerem w ręku przystąpił doń. Mężczyzna leżał twarzą obróconą ku ziemi, a gdy Calumet schylił się nad nim, żeby mu zajrzeć w twarz jęknął. Wydawał się ciężko ranny, wobec tego Calumet schował rewolwer. Ranny znowu zajęczał. Na sekundę otworzył oczy, ale szybko znowu je przymknął. Nie był to Taggart jak Calumet wpierw przypuszczał.

— Dostał mnie — szepnął.

— Kto to był?

Calumet nachylił się nad nim, żeby usłyszeć jego cichą odpowiedź. Mężczyzna jednak nic nie odpowiedział, bo stracił przytomność.

Calumet podniósł się i rozejrzał się dookoła, ale jeźdźca, którego szukał, nie mógł dostrzec. Niemożliwością było zostawić tutaj samego, tego ciężko rannego, by dalej ścigać Taggarta. Może przecież da się uratować tego człowieka.

Na chwilę odstąpił na bok, obejrzał się na wszystkie strony. Gąszcz krzaków ciągnęła się po jego prawej ręce. Z rewolwerem w pogotowiu Calumet próbował ustalić, czy ktoś się nie ukrywa za krzakami, ale niczego nie słyszał. Gdy ranny znowu jęknął powrócił do niego.

Gorączkowo patrzące oczy rannego były otwarte.

— Dostał mnie — powtórzył.

— Kto?

— Telza.

— Telza? — zapytał Calumet, gdyż to imię brzmiało z cudzoziemska. — Mów pan do rzeczy, kim jest Telza?

— Indianin z plemienia Tolteków. Wałęsał się w tej okolicy — w ostatnich czterech tygodniach. Ten osobnik przemyka się jak cień. W pewnym momencie go się widzi, a następnie już znika. Taggart polecił mi go odszukać i odebrać mu szkic.

— Jaki szkic? — zainteresowanie Calumeta wzrosło. Indianin! Toltek! Telza, należał więc do owego szczepu, któremu jego ojciec i Taggart ukradli złotego bożka. Calumet schylił się niżej nad rannym.

— Czy Telza i Taggart są przyjaciółmi?

Mężczyzna zaśmiał się pogardliwie.

— Taggart chce go podejść. Telza szukał złotej statuy — rzecz ta jest warta grube tysiące. Taggart poinformował go, że Betty Clayton ją przechowuje. Telza chciał ją jej wykraść.

Ostry kaszel przerwał jego słowa, ranny oddychał z trudem, czerwona, piana wystąpiła mu na usta.

— Do diabła! — zaklął. — Dlaczego pan mnie tak wypytuje? Przede wszystkim wyciągnij pan sztylet — tkwi w plecach — nie mogę tam dosięgnąć.

Calumet chwycił długą rękojeść sztyletu o dziwnym kształcie, którym Indianin przekłuł mężczyźnie lewy bok pod łopatką. Rana była ciężka; sztylet ugodził w płuca w pobliżu serca, ranny był osłabiony. Kaszlał i było jasne, że pozostaje mu tylko parę chwil życia. Calumet ostrożnie wyjął sztylet z rany. Ranny położył się na wznak i odetchnął z ulgą.

— Czy pan jest Marston? — zapytał powoli łapiąc oddech. Mówienie sprawiło mu ból. — Słyszałem jak Taggart mówił o panu. Tom Taggart na stare lata stał się tchórzliwy, pozostawia wszystko swemu synowi Nealowi. Ale i ten ostatnio się czegoś obawia. Myślę, że zbliża się mój koniec, wobec tego mogę panu wszystko wyjawić. Taggartów też nie zaliczam do swych przyjaciół, żaden z nich nie obchodził się ze mną dobrze. Przeciwnie, oszukiwali mnie, gdzie tylko mogli. Nazywam się Al Sharp. Pan wie, że Tom Taggart wraz z pańskim ojcem ukradli bożka. Taggart opowiedział mi o wszystkim. Telzie wszakże powiedział, że złotego bożka ukradli Betty Clayton i jej ludzie. Taggart dokładnie wiedział, że pański ojciec zakopał tu w pobliżu cenną statuę, wiedział także, że pański ojciec naszkicował plan, na którym podał miejsce ukrycia. A plan ten dał Betty do przechowania.

Taggart inspirował Telzę, żeby szukał tego planu, a Telza ostatniej nocy go znalazł. Plan ukrywała Betty. Towarzyszyłem Telzie. W razie, gdyby mu się to udało, miałem go zakłuć i odebrać mu plan. Taggartowie także są w lesie — miałem się z nimi spotkać w pobliżu rzeki. Ale Telza mnie uprzedził, zakradł się tu na polankę i chciał sam wykopać złotego bożka. Złapałem go — on miał plan. A gdy chciałem mu odebrać papier, wsadził mi nóż w bok. Ten brązowoskóry łotr!

Mówiący nie mógł już złapać tchu, wyprężył się, jakby chciał głęboko odetchnąć, ale dostał krwotok i po kilku chwilach zakończył życie. Calumet położył go na wznak i przykrył mu twarz chustką do nosa. Potem podniósł się, a jego spojrzenia przesunęły się po skraju gąszczu leśnego. Trzy

metry przed nim w krzakach leżał zmięty kawałek papieru. Podszedł bliżej, kopnął nogą krzaki, aby wypłoszyć gady, jakie mogły tam być. Po czym schylił się i podniósł papier. Przy świetle księżyca widział, że był to nieudolnie skreślony plan, a gdy się nad nim pochylił, przeczytał następujące słowa: „Tutaj jest zakopana figura". Szybko złożył plan i wsunął go do kieszeni.

Teraz miał już pewność, że Taggart oszukał Betty. Jego częste wizyty w domu miały tylko jeden cel: przywłaszczenie sobie skarbu. Podczas gdy Taggart zabawiał Betty rozmową, Telza na górze ukradł plan.

Calumet triumfował. Miał statuę w swych rękach. Spieniężyja, a potem wypędzi Betty i resztę z farmy...

Ale czy doprawdy zamierzał to zrobić? Dziwne uczucie niepewności opanowało go przy tej myśli. Od pewnego czasu nie był już w stanie powziąć niczego z całą stanowczością. Rozmyślając o tym, jak ma postąpić z Betty, zawsze skłonny był odłożyć rozstrzygnięcie i w tej chwili działo się to samo. Postanowił tę sprawę jeszcze szczegółowo obmyślić. Przede wszystkim był ciekaw, co ona powie na to, że planu już nie posiada.

Nie myślał już o tym, aby ścigać Taggarta. Al Sharp przecież powiedział, że ten człowiek jest gdzieś w pobliżu. Możliwe jednak, że Taggartowie widzieli walkę Al Sharpa z Telzą uciekli. Calumet miał jeszcze dość czasu, żeby się z nimi obrachować.

Chwycił konia za uzdę, odwrócił się i postawił nogę na strzemieniu. Nagle jednak ujrzał cień w pobliżu, natychmiast cofnął nogę, popuścił cugle i błyskawicznie odwrócił się. Neal Taggart stał od niego oddalony nie dalej niż o siedem metrów i skierował na niego lufę rewolweru; był na koniu, blisko niego był drugi jeździec, ten też celował w Calumeta.

W ułamku sekundy Calumet pojął powagę sytuacji i ocenił dzielące ich oddalenie. W tych warunkach nie mógł stawiać oporu, więc powoli podniósł ręce w górę.

— To ci niespodzianka — mruczał półgłosem. — Może mi się to przyśniło?!

Neal Taggart zeskoczył z konia i odstąpił w bok.

— Widzieliśmy, gdy pan jechał wzdłuż rzeki, a potem także, gdy pan wrócił, — rzekł młody Taggart. — Przez ten czas byliśmy w lesie, dlatego nie mógł nas pan widzieć. Przed dziesięcioma minutami przybyliśmy tutaj. Co pan tu robi?

— Ćwiczę się w konnej jeździe — odparł Calumet. — Odbywam swoją północną przejażdżkę.

Spojrzał na Toma, który kierował na niego broń. Stary Taggart był bez kapelusza, jego siwe włosy opadały mu prawie na ramiona. Długa, siwa broda sięgała do piersi, a przenikliwe oczy nadawały jego twarzy niesamowity wygląd.

— Kim jest pański towarzysz? — spytał Calumet Neala Taggarta. — Gdybym był golibrodą, miałbym się koło czego zwijać....

— To jest mój ojciec — warknął Neal z wściekłością.

— Ach, wybaczy pan — przeprosił Calumet, — myślałem, że to jest....

— Czy pan jest Calumetem Marstonem? — przerwał mu stary. — Jest z pana widać równie bezwstydny chłystek jak pański ojciec. Odbierz mu broń, Neal — rozkazał synowi.

Po krótkim zwlekaniu Neal zbliżył się o krok do Calumeta, który skulił się i zmierzył go gniewnym spojrzeniem. Postawa Calumeta była tak groźna, że Neal się przestraszył i niepewnie przystanął.

— Ach, chce pan mieć moją broń? — szydził Calumet. — Wyciągnij pan rękę, a dostanie pan upragniony rewolwer, dam panu atoli przedtem radę: Zmów pan najpierw modlitwę przedśmiertną! Do licha ciężkiego! — zawołał, gdy stary Taggart skinął głową swemu synowi na znak, żeby dał spokój. — W tej chwili widocznie ma pan źle w głowie?

— Nie chcemy użyć przemocy — odpowiedział Tom Taggart. — Jesteśmy tylko ciekawi, prócz tego chcemy panu uczynić pewną propozycję, żeby tę sprawę załatwić ugodowo. Będziemy pertraktowali, a jeśli pan nam da słowo, że nie będzie pan strzelał, może pan opuścić ręce.

— Teraz nie będę strzelał, — zapewniał Calumet, — ale po ukończeniu pertraktacji...

— Musimy dojść do zgody, — oświadczył stary, wsuwając broń do olstra, gdy Calumet opuścił ręce. — W ogóle niepotrzebnie tak długo zachowaliśmy się wrogo względem siebie. Ja z pańskim ojcem byliśmy oddanymi przyjaciółmi, poróżniła nas ta przeklęta kobieta z którą potem żył. Mam na myśli Ezelę — zaśmiał się stary.

Calumet zda! sobie sprawę, że te pertraktacje pokojowe Taggarta mają swój określony cel. Taggart mówiąc to rozglądał się dookoła, jakby czegoś szukał. Według mniemania Calumeta, rozglądał się za Alem Sharpem i Telzą. Przypuszczał, że Calumet musiał któregoś z nich spotkać i jechał za nim, aż przybył na polanę. Neal przedtem oświadczył, że śledzili go gdy jechał drogą wzdłuż rzeki. Zapewne byli ciekawi i chcieli zyskać na czasie, aby uchwycić wątek wydarzeń.

— Na, dobrze, nie zatrzymujmy się więc długo — co pan proponuje?

Tom Taggart zeszedł z konia i przystanął obok niego.

— Podzielimy się utargowanymi za złotą statuę pieniędzmi, a mianowicie; pół na pół. To jest logiczna i uczciwa propozycja.

Uśmiechnął się przyjaźnie do Calumeta, ale nagle przestraszył się, gdyż ten wyciągnął dwa rewolwery, a uczynił to tak błyskawicznie, że żaden z Taggartów tego dotychczas nie zauważył.

— Widzi pan, że także potrafię sprawiać niespodzianki. Myślicie, że jestem tak głupi, żeby z wami gadać i tracić swój czas, byście mieli sposobność zastrzelić mnie z tyłu?!

Rozczarowanie Taggarta zdradzało, że faktycznie o tym myślał.

— Obiecał pan wszakże, że nie zrobi użytku ze swej broni dopóki nie doprowadzimy naszych pertraktacji do końca — perswadował.

— Oczywiście, ale już po pertraktacjach. — Podnieście więc szybko wasze łapy ku niebiosom — przynaglał, gdy Neal zwlekał. Kiedy podnieśli ręce w górę, wyciągnął im broń zza pasa, po czym przystąpił ostrożnie do konia Taggarta, wyciągnął także broń z olstra odrzucając ją na parę metrów.

— Przejdźcie tam do lasku — rozkazał Calumet, — chcę wam coś pokazać!

Posłusznie wykonali jego rozkaz, lecz znienacka przystanęli, gdy ujrzeli trupa na ziemi, żaden z nich go nie poznał, ale gdy Calumet zdjął mu chustkę z twarzy, obaj się niezmiernie zlękli.

— Znacie tego człowieka? — zapytał ich Calumet, patrząc ostro na nich. — Wykonał swój obowiązek, spełnił wasz rozkaz. Indianin Telza go jednak oszukał i wsadził mu nóż w żebra. — Przy tych słowach podniósł z ziemi sztylet i trzymał im broń przed oczyma. Byli przerażeni, a Calumet śmiał się. — Więc ten sztylet jest panom znany? Po tym wszystkim coście uczynili jesteście na tyle bezwstydni, że chcecie, bym się z wami podzielił utargowanymi pieniędzmi?

Tom Taggart nie stracił jednak tupetu.

— Telza? — spytał. — Nie, czego pan chce? Nie znam nikogo o takim nazwisku.

Calumet rozjuszony przystąpił doń.

— Milcz pan! Inaczej źle będzie z wami! Kłamie pan, a wie pan dokładnie o wszystkim. Al Sharp mi wyznał, że pan szczuł Tolteka na Betty, ja wiem, także o wszystkim innym. Ty stary drapichruście chciałeś oszukać mego ojca! Jeśli jeszcze raz choćby słowem się odezwiesz, to ci dam nauczkę! To tylko chciałem ci stary łotrze powiedzieć!

Przystąpił do Neala, który cofnął się przed jego wzrokiem.

— Wie pan dlaczego nie wpakuję panu kuli w brzuch? — spytał trzymając przed nim lufę rewolweru i przechyliwszy się, by mu się móc lepiej przypatrzyć. — Bo nie jestem łotrem ani mordercą i na drugich nie nastawiani sideł ani pułapek. Zastrzeliłem już niejednego, ale jeszcze nigdy takiego, który nie miał równych szans.

Wyciągnął jeden ze swoich pistoletów i podał go Nealowi. Neal zadrżał gdy zobaczył nienawiścią. skrzywioną twarz swego wroga, zbladł, ale nie uczynił ruchu, ażeby wziąć broń.

— Nie, nie chcę się z panem pojedynkować — rzekł drżącymi ustami.

Ale Calumet cofnął się o krok, śmiał się okrutnie i bezlitośnie.

— Naturalnie, jest pan tchórzem. To utrudnia mi tylko sytuację, inaczej zastrzeliłbym pana i tego łotra, którego pan zwie ojcem. Lecz jedno wam zaznaczam. Ostatnio pętaliście się po mojej farmie, teraz będę uważał, a jeśli któregoś z was w pobliżu przyłapię, wpakuję mu tyle ołowiu, że się wam wszystko odechce. A teraz zabierzcie się, zanim zmienię postanowienie!

Obaj Taggartowie tyłem zaczęli podchodzić do swoich koni, patrząc na niego w osłupieniu. Byli już prawie u celu, gdy Calumet, kazał im przystanąć. Zaśmiał się zjadliwie.

— Myślicie, że wam pozwolę wrócić konno do domu? — spytał. — Ale mylicie się. Wasze konie i tak są zmęczone. Zostawcie więc konie tutaj, one muszą wypocząć. Prócz tego, na koniu nie można tak rozmyślać, a wy, przeklęte psy, będziecie mieli wiele do rozmyślania podczas powrotnej drogi do domu.

— Na Boga! — zawołał stary Taggart — Pan chyba tego serio nie mówi?! Wszak do Arrow-Farmy jest stąd 15 mil!

— To ostatnie przypadkowo jest zgodne z prawdą, a prócz tego jest już północ. Po konie możecie później kogoś z waszych ludzi posłać. A teraz szybko w drogę! Daję wam trzy minuty czasu — po tym musicie się już znaleźć za skrętem rzeki — to jest prawie pół mili stąd. A teraz odwracam się. Jeśli będę was jeszcze miał przed sobą gdy się odwrócę, zastrzelę was niechybnie.

Taggartowie dobrze wiedzieli, że Calumet mówi to poważnie, wobec tego odeszli. Gdy Calumet niedługo potem się odwrócił Taggartowie dochodzili już prawie do oznaczonego przez niego miejsca przy zakręcie rzeki, a po kilku minutach znikli za drzewami.

Podniósł broń, którą odebrał starszemu Taggartowi i wspiął się na siodło. Oba wierzchowce zabrał ze sobą i zapędził je do zagrody. Chciał je tylko przez parę godzin zatrzymać u siebie, aż Taggartowie odwalą piechotą spory kawał drogi. Gdyby był teraz konie wypuścił, to zapewne dogoniłyby obu wędrowców.

Pojechał do farmy, zabrał łopatę i rydel i powrócił do zarośli. Za godzinę był już z powrotem w zagrodzie, wyprowadził konie Taggartów i wypuścił je przy zakręcie rzeki. Spodziewał się, że Taggartowie wniosą do sądu skargę przeciwko niemu, a gdyby konie znaleziono u niego na farmie, miałby przykrości. Znowu przybył do domu i tym razem już się położył; uśmiechał się z zadowoleniem, gdy się wyciągnął, aby się przespać parę godzin.

Rozdział 20

Betty jednak nie spoczywała. Po powrocie do swego pokoju słyszała tętent, wyjrzała oknem, poznała Calumeta, który pełnym galopem ścigał jakiegoś człowieka. Nie zaznała spokoju, została przy oknie, widziała, że nawrócił i znikł w zaroślach. Potem śledziła także z natężoną uwagą Taggartów, którzy ukazali się u skraju lasku i szybko umknęli tak jakby ich życiu groziło niebezpieczeństwo. Następnie Calumet sprowadził dwa obce konie na zagrodę, opuścił dom niosąc na barkach kielnię i łopatę. Z obawą czekała Betty aż powrócił. Zabrał z powrotem oba konie Taggartów i wkrótce ukazał się znowu. Stąpał cicho, mimo to słyszała, gdy wszedł do domu i wchodził schodami na górę.

Co to ma znaczyć, że poszedł z łopatą i rydlem do lasu? Czyżby tam szukał statuy? Wiedziała, że jest zakopana w lesie. Dokładnie nie wiedziała, w którym miejscu, gdyż nie oglądała planu, który jej wręczył stary Marston.

Wyjścia Calumeta do lasu nie łączyła wcale z planem, bo ukryła go w pewnym miejscu; leżał pod odstającą nieco deską podłogi w pokoju, do którego można było wejść tylko z jej pokoju. Po powrocie Calumeta, zajrzała tam tylko jeden raz przelotnie i w pośpiechu, tylko aby się upewnić, czy ten ważny papier jeszcze się tam znajduje. Była przekonana, że Calumet nie miał pojęcia o tym schowku.

— Czego on szukał w lesie?

Na to przypuszczenie przyciskała ręce do piersi. Nie, o tym wcale nie chciała myśleć! Ale on miał porywczy charakter, przecież już w Lazette tych obu zastrzelił, Denvera i jego towarzysza — zadrżała na to wspomnienie. To mogło być tylko wytłumaczenie jego dziwnego zachowania, mimo, że nie słyszała strzałów. W każdym razie istnieje możliwość, że złota statua znajduje się w miejscu, gdzie ją ukryto.

Drżała na całym ciele, gdy wchodziła do małego pokoju; podniosła rozluźnioną deskę z podłogi i wyjęła stamtąd blaszane pudełko. Przy otwieraniu zamka drżały jej palce, po podniesieniu pokrywy przekonała się, że kasetka była pusta.

Długo patrzyła w osłupieniu, opanowało ją rozczarowanie i złość.

Rzecz jasna, że statua należała do Calumeta, ale do oznaczonego czasu ona miała nad nią pieczę, po pewnym czasie, byłaby mu ją i tak wręczyła, ale ta myśl wcale nie uśmierzała jej gniewu. W każdym razie była zadowolona, że jego pójście do lasu nie miało innego celu, niż poszukiwanie złotej statui.

Gdy się uspokoiła, zastanowiła się nad całą sprawą. Mimo, że bezprawnie przestąpił próg jej pokoju nie czuła do niego z tego powodu urazy. Tej nocy oka nie zmrużyła, nieustannie myślała tylko o tym, jak odnalazł schowek? Wczesnym rankiem ubrała się i spokojnie zabrała się do swej codziennej pracy.

Celowo trzymała się w pobliżu drzwi kuchennych, gdy Calumet ukazał się na dole. Obserwowała go bacznie, gdy zasiadł do stołu, ale Calumet nie wiedział o tym. Z wyrazu jego twarzy nie mogła wyczytać, czy znalazł statuę i czy ją sobie przywłaszczył. Raz niespodzianie podniosła wzrok podczas jedzenia i zobaczyła, że Calumet patrzy na nią z ironią i na poły zamyślony. Teraz miała już pewność, że ją wyśmiewał.

Przedpołudniem poszła do niego, gdy pracował przy parkanie zagrody, udawała, że jest bardzo podniecona, ponieważ za wszelką cenę chciała się dowiedzieć prawdy.

— Mam złe wieści dla pana.

— Co pani mówi!? — odparł z uśmiechem, który ją prawie wyprowadził z równowagi.

— W pozostawionych mi przez pańskiego ojca aktach, dotyczących pana, znajdował się również plan. Było tam podane miejsce w lesie, w którym znajduje się złota statua. A wczoraj ukradziono mi ten plan!

— To jest dziwne.

Betty wyczuła w jego głosie, że z niej żartuje i była przekonana, że on sam go skradł.

— Pan go wziął — powiedziała z wyrzutem.

— Nie — zaprzeczył. — Ale mam go przy sobie. Co pani chce w tej sprawie uczynić?

— Nic. Ale czy to się godzi, że wdarł się pan do mego pokoju? Nie wypadało tego czynić, choćby pan chciał coś wziąć, co do pana należy.

— Pani mnie nie rozumie. Posiadam wprawdzie ten papier, ale ja go nie wziąłem.

— Któż to uczynił?

— Czy zna pani Telzę?

— Telzę?

— Tak, Indianin z plemienia Tolteków. On wczoraj wykradł pani plan, był tu późno w nocy, podczas gdy pani rozmawiała ze swoim przyjacielem Nealem Taggartem.

Betty była przerażona.

— Toltek! — powtórzyła zdziwiona. — Słyszałam, że ci ludzie są fanatykami na punkcie religijnym. Pański ojciec powiedział mi o tym, wiedział o tym od Ezeli. Groziła mu, że ludzie z jej plemienia będą tak długo- szukali, aż znajdą złotego bożka. Wyśmiewał ją — a teraz przybył Toltek!

Spojrzała uważnie nań i spuściła oczy.

— Wciąż mnie pan obraża, — rzekła chłodno.

Calumet poczerwieniał.

— Taggart oszukuje panią. Słyszałem, jak wczoraj z panią mówił, szedłem za nim, ale zgubiłem ślad. Przy tej sposobności dotarłem do polanki w lesie i znalazłem mężczyznę imieniem Al Sharp, którego Telza

zasztyletował. Taggart kazał jemu i Telzie wykraść plan. Sharp powiedział mi, że Taggart dokładnie wiedział, że mój ojciec nakreślił plan. Telza wczoraj w nocy zakradł się tam, gdy pani mówiła z Taggartem. Cały ten plan był chytrze obmyślony, chciano podejść Indianina. Sharp chciał mu ukraść plan, Indianin jednak zasztyletował go. Al Sharp nie żyje — pochowałem go ubiegłej nocy. Ale Telza zgubił plan w lesie, a ja go znalazłem. A Telza prawdopodobnie uciekł. Wkrótce potem spotkałem Taggartów. Widocznie nie czuli się dobrze w moim towarzystwie, gdyż szybko odeszli, nie zabrawszy nawet swoich koni.

Betty odetchnęła z ulgą.

— To był szczęśliwy zbieg okoliczności, że pan tam był i mógł wziąć złotą statuę.

Calumet uczuł się urażony:

— Chce pani zapewne gratulować mi tego sukcesu?

— Tak. Wprawdzie nie miał pan jeszcze teraz tej rzeczy otrzymać, ale wolę raczej, żeby pan ją otrzymał przed czasem, niżby ją Taggart miał sobie przywłaszczyć.

— Czy pani wie, gdzie statua jest ukryta? — spytał.

— Nie — dokładnie nie obejrzałam planu.

— Jestem przekonany, że pani mówi prawdę. Teraz statua będzie przez jakiś czas bezpieczniejsza w schowku. Wyjmę ją, gdy otrzymam pieniądze.

Triumfująco podniosła głowę.

— To nie będzie takie łatwe. Dlaczego pan nie chce jej wyjąć i sprzedać? — spytała z zainteresowaniem.

Poczerwieniał i prawie z zakłopotaniem spojrzał na nią.

— Nie chciałbym z tą relikwią mieć nic wspólnego — wyznał. — Muszę pani jednak powiedzieć, że ostatnio daje pani mówić do siebie i można nawet z panią dojść do porozumienia.

Zacisnęła usta, ale w jej oczach ukazały się dziwne błyski.

— Czy mam to uważać za komplement? — spytała szyderczo.

— Popełnia pani wielkie głupstwo, jeśli pani się wdaje z Nealem Taggartem — ciągnął, nie odpowiadając na jej pytanie. — Znam ich. Taggart jest złym człowiekiem, a kobieta, która jemu sprzyja, nie zasługuje na zaufanie.

Betty była wesoła i uśmiechnięta jak zawsze, gdy jej czynił wyrzuty, że spotyka się potajemnie z Taggartem.

— To mi tylko schlebia, że pan interesuje się tak moją osobą, ale gdy będzie mi ktoś potrzebny do robienia uwag, wtedy zwrócę się do pana. W tej chwili czuję się zupełnie bezpieczna, wobec tego sama mogę to rozstrzygnąć. A jeśli panu tak bardzo na tym zależy, to mogę panu powiedzieć, że z Nealem Taggartem wcale się nie wdawałam.

— Dlaczego więc pani się z nim spotyka? — zapytał patrząc jej prosto w twarz.

— Nie mówiłam z Nealem Taggartem cd tego dnia, którego musiał mnie przeprosić, — odparła — Jeśli panu na tym zależy, to mogę panu powiedzieć, że z Nealem Taggartem wcale się nie wdawałam.

— Z kim pani wtedy rozmawiała?

— Tego nie mogę panu powiedzieć! — odparła, powoli.

— Ale kogo pani przyjmuje w pracowni?! — pytał podejrzliwie.

Zacisnął usta i poczerwieniał.

— Czyż pani nie może nikomu zaufać?

— Chyba pan zastanowił się nad tym — ciągnęła, widząc, że Calumet milczy uparcie — że dawno byłabym mogła zabrać pański majątek, gdybym była chciała? Miałam plan, byłabym sobie mogła przywłaszczyć złotą figurkę, pieniądze i farmę. Jakby pan mógł temu przeciwdziałać? I co by pan teraz zrobił, gdybym tak pana chciała urządzić? Czy pan sam nie przyzna, że pan sobie tylko tym szkodzi, jeśli snuje podobne myśli? Nikt pana tutaj nie chce oszukać z wyjątkiem Taggartów. Wszyscy jesteśmy dla pana uprzejmi i chcemy panu dopomóc. Dade pana lubi, Bob wprost pana uwielbia, a nawet dziadek mój oświadczył, że pan ma dobry charakter. Zrobił pan postępy, a nawet większe, niż ktoś by się spodziewał. Ale powinien pan kroczyć dalej w tym kierunku a przede wszystkim musi się pan uwolnić cd swojej głupiej nieufności i podejrzliwości.

Z początku śmiała się, ale w miarę mówienia stawała się coraz bardziej poważna.

Calumet był zdziwiony sposobem, jakim przemawiała doń w tej chwili. Przed tym nigdy tego nie czyniła, zawsze odnosiła się do niego chłodno i z rezerwą. Nie zdradziła mu nigdy swoich uczuć ani myśli i teraz był jeszcze bardziej pod jej urokiem, niż dotychczas.

— Spodziewam się, że wreszcie pan uzna, — przekonywała — że nie mógłby pan nic przeciwko temu uczynić, gdybym chciała nieuczciwie wobec pana postąpić. Ale co mogło mnie zmusić do tego, żeby stale tu zamieszkać i być stale narażona na obelgi i na złe obchodzenie się pana ze mną? Chcę panu wyjawić powód, może mi pan uwierzyć albo nie. Czyniłam to jedynie z wdzięczności dla pańskiego ojca, gdyż obiecałam mu, że zrobię z pana porządnego człowieka. Przestraszyłam się, gdy zobaczyłam pana po raz pierwszy, zrozumiałam bowiem, jakiego trudnego zadania się podjęłam. Jedno wszak było dla mnie jasne, że nie miał pan złych zamiarów względem mnie i nie był pan brutalny wobec bezbronnej kobiety, jak bywa większość innych mężczyzn w takich wypadkach. Widziałam, że brakuje panu tylko należytego wychowania, a zamiast się pana bać, litowałam się tylko. Czułam, że tkwi w panu dobroć i miałam do pana zaufanie. I do pewnego stopnia moje mniemanie było słuszne; stale dawał pan dowody, że może pan być dobry, w postępowaniu z innymi był pan szlachetny i uprzejmy, tylko wobec mnie nie. Chcę panu jedynie wyperswadować, że nie pozwalam się oszukiwać Nealowi Taggartowi, tym mniej zaś komuś innemu.

Jakkolwiek starała się pozostać spokojna i opanowana, była jednak bliska płaczu, a usta jej drżały.

Calumet milczał, choć ta obrona wywarła na nim głębokie wrażenie. Na to w tym momencie nic nie mógł odpowiedzieć. Wiedział, że powiedziała prawdę. Udało się jej z miejsca przełamać jego opór, czuł się wobec niej mały i nędzny. Miał wrażenie, że nagle znalazł się przed światłem jakiegoś reflektora i poznał, co w sobie miał brzydkiego i nieszlachetnego. Sam teraz pragnął stać się takim, jakim ona chciała go widzieć. Mimo woli

uchylił przed nią kapelusza i ukłonił się. Po czym sięgnął do kieszeni, wyjął papier i podał go jej. Wzięła go i spojrzała zdziwiona na szkic: był to plan polanki w lesie, popatrzyła dokładnie na naznaczone miejsce, gdzie była zakopana złota statua. Zbladła nieco, gdyż to dowodziło, że ufa jej bezgranicznie, mimo podejrzliwych uwag przedtem jej uczynionych. Tak, to oznaczało jeszcze więcej, że tym samym podporządkowuje się jej woli i kierownictwu. Betty chciała mu dziękować, ale odszedł nie odwracając się nawet na jej wołanie.

Rozdział 21

Betty widziała Calumeta dopiero następnego dnia w porze obiadowej. Niewiele mówił, a gdy go ukradkiem obserwowała, widziała, że był zamyślony. W każdym razie uważała to za pomyślny znak.

Trzeciego dnia rano osiodłał czarnego wierzchowca i odjechał. Bobowi, który przypadkowo mu się nawinął, powiedział, że jedzie do Lazette.

Dwie godziny po kolacji wrócił. Malcolm i Bob ułożyli się już do snu, tylko Betty siedziała jeszcze przy czysto nakrytym stole i naprawiała pończochy Boba. Myślami wracała do przeżyć ostatnich miesięcy, myślała również o Calumecie. Gdy usłyszała uderzenia kopyt na podwórzu, wiedziała, że Calumet wrócił. Odłożyła robotę na bok i podniecona przystąpiła do okna.

Podwórze było rozjaśnione poświatą księżyca; widziała, że Calumet zeskoczył z konia. Gdy nie zaprowadził konia do zagrody, tylko przywiązał go do słupa, przeczuła, że stało się coś niezwykłego.

Natychmiast usłyszała szybkie kroki Calumeta w przedsionku, za kilka sekund wszedł.

Miał zmęczony wygląd, prawdopodobnie miał za sobą szybką jazdę. Okryty był pyłem, oddychał ciężko, a w jego spojrzeniach wyczytała wielkie wzburzenie. Usta miał mocno zaciśnięte. Przymknął drzwi, oparł się o nie, gdy wzrokiem szukał Betty. Był zmieniony — nie stał przed nią dawny Calumet. Ten brutalny człowiek, który chciał górować nad wszystkimi, znikł gdzieś bez śladu. Wreszcie wydawało się, że odnalazł siebie samego...

Nie wiedziała o tym, że w ostatnich trzech dniach sam ze sobą staczał walkę i tylko stopniowo, czyniąc sobie przy tym wyrzuty, sam uznał swoją niesprawiedliwość. To właśnie nadawało jego twarzy nowy wyraz. Jego rysy stały się bardziej męskie i energiczne, z oczu wyzierało jakieś niezłomne postanowienie. Wyczuła to intuicją. Jej policzki zarumieniły się, opanowała ją niewymowna radość.

— Co się stało?

— Nic, — odparł z poważnym uśmiechem. — To znaczy, że dotychczas się jeszcze nic nie stała Uświadomiłem sobie tylko jak bezużyteczne było moje dotychczasowe życie. Ta świadomość jednak dotarła do mnie za późno.

— Nigdy nie jest za późno.

— Sądzę, że pani mnie nie rozumie, co chcę przez to powiedzieć. Idzie o coś innego. Muszę stąd odejść — muszę kraj opuścić — szeryf jest na moim tropie.

Cofnęła się o krok.

— Dlaczego? — spytała przerażona.

— Chodzi o morderstwo dokonane na Alu Sharpie.

— Ależ pan mi powiedział, że zasztyletował go Indianin Telza.

— To właśnie powiedział mi sam Al Sharp, ale Taggartowie twierdzą, że ja jestem jego mordercą. Oni złożyli przysięgę na to, a teraz wydano rozkaz, żeby mnie zaaresztować. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności zwąchałem to i postanowiłem opuścić farmę. W tym wypadku nie ma celu walczyć przeciwko prawu.

— Pan go przecież nie zamordował! — zawołała. — Powiedział mi pan to i wiem, że pan nie skłamał. Taggartowie przecież nie mogą udowodnić że pan to uczynił.

Uśmiechnął się z goryczą:

— Pani jest jedyną osobą, która mi wierzy. Jakże mogę udowodnić, że tego nie uczyniłem? Tutaj dwaj wobec jednego, a poszlaki są przeciwko mnie. Taggartowie spotkali mnie na polance z Alem Sharpem. Trzymałem w ręku sztylet, nikogo więcej nie było w pobliżu. I ja pochowałem Ala Sharpa. Taggartowie złożą przeciwko mnie zeznania, więc jakie mogę mieć widoki?

Betty milczała, a on zaśmiał się znowu:

— Teraz mają mnie w pułapce. Nie spodziewałem się takiego bezczelnego oskarżenia. Nie spodziewałem się, że Taggartowie posiadają tyle rozumu, aby uknuć podobny plan.

Odstąpił od drzwi i poszedł do stołu, spojrzał na Betty z tak zrezygnowanym uśmiechem, że zabolało ją to.

— Gdyby to się było stało przed trzema miesiącami — mówił więcej do siebie, niż do niej — byłbym się cieszył z tego powodu. Teraz jednak sprawa ma się inaczej. A dzieje się to tylko przez panią... Nie twierdzę, że pani mnie uwikłała w tę historię — nie, pani nie spotyka ten zarzut. Ale w związku z panią staje mi się to trudne. Gdyż pani nauczyła mnie patrzeć na życie z innej strony.

— Przykro mi — powiedziała, podczas gdy stała przed nim blada i wyprostowana.

— Czy pani naprawdę przykro, że obecnie się inaczej zapatruję na życie?

Skinęła szybka i zdecydowanie głową.

— Więc przykro pani, że to się zdarzyło? Mnie także. Na drodze powrotnej do domu dopiero sobie ten fakt uświadomiłem — dodał czerwieniąc się, — że trudno mi stąd odejść, ponieważ ta farma stała się moją przystanią. Zaledwie przed trzema dniami nie przyznałbym się do tego, ale teraz stwierdzam to z całą pewnością. Dawno o tym wiedziałem, mimo, że nie chciałem temu dać wiary. Dade całkiem trafnie mnie osądził, gdy twierdził, że jestem egoistą i że zapominam, iż obok mnie istnieją jeszcze inni ludzie. Gdybym wtedy nie był powiedział, że słyszał to od pani, byłbym niechybnie go zastrzelił. Nie mogłem mu nawet czynić wyrzutów, gdyż powtarzał tylko pani słowa.

— Muszę pani także wyznać, że nie czułem się dobrze w swej skórze, kiedy przez omyłkę napadłem na pani dziadka, chociaż, to było tylko przeoczeniem, nie zwracałem uwagi na pani wyrzuty. Sądziłem, że jest

pani taka jak inne kobiety, które znałem dotychczas. A doszedłszy do wniosku, że się omyliłem, sadziłem, że jest pani dumna i że wiele pani sobie wmawia, lecz to chciałem w pani wykorzenić. Nie udawało mi się to, a to mnie irytowało. Sam ze siebie nie byłem zadowolony, gdy pani mnie ufała, a rewanżowałem się piani złym traktowaniem. Zawsze, gdy byłem zły wobec pani, miałem potem uczucie, że sobie krzywdę wyrządzam.

— Wróciłem jeszcze, — dodał, żeby to pani powiedzieć. Musi pani bowiem o tym wiedzieć zanim stąd odejdę.

Betty utkwiła wzrok w podłogę, napełniło ją uczucie wdzięczności i zadowolenia. Wiedziała, że ta chwila kiedyś nadejdzie, ale całkiem inaczej to sobie wyobrażała. Czuła wielki niepokój mimo, iż powinna się była radować tym, że Calumet odchodzi.

Nerwowo tupnęła nogą. Jego słowa ledwo dochodziły do jej świadomości. Dopiero, gdy podał jej rękę spojrzała na niego.

— Niech mi pani poda rękę na dowód, że mi pani przebaczyła. Ale pani ma rację, — rzekł widząc jej wahanie, — nie zasługuję na to.

Szybko podała mu prawą rękę, którą wziął w obie dłonie i ściskał, oczy jego błyszczały. Lecz potem szybko odwrócił się ku drzwiom, zawołał:

— Pani jest dzielną kobietą!

Milczała, aż nacisnął klamkę.

— Czekaj pan, — rzekła, siląc się na uśmiech. — Musi pan najpierw coś zjeść.

— Nie mam już na to czasu. Prawo działa szybko, a szeryf Toban może każdej chwili nadejść. Do granicy jest tylko dwadzieścia mil, a uda mi się na pewno tam dostać, zanim szeryf mnie dogoni. On nie powinien mnie złapać, bo był przyjacielem mego ojca, a jeśli go nawet zastrzelę to sobie także nie ulżę.

— Jeśli pan osiągnie granicę, czy będzie pan bezpieczny? — spytała z obawą.

— Tak, ale sądzę, że niedługo tam zabawię. Tu i nic nie wstrzymuje, nie spodziewam się, żebym tu kiedyś powrócił. Byłbym o jednym zapomniał, — rzekł pospiesznie wracając od drzwi. — Chcę jeszcze z panią pomówić o bożku i o pieniądzach. Należą do pani, nie chcę ich mieć. Pani bowiem na nie zasłużyła. Pojedzie pani do Las Vegas i wniesie podanie do sądu, że pani zapisuję farmę. Powie pani sędziemu, że nie dotrzymałem punktów zawartych w testamencie.

— Nie, nie chcę nic z tego, co do pana należy!

— Ależ musi pani to zrobić — przekonywał ją z mocą. — Tutaj — niech to pani weźmie. — Przy tych słowach wyciągnął arkusz papieru i ołówek z kieszeni, przystąpił do stołu i pisał: — Nie dotrzymałem warunków testamentu tym samym zrzekam się spadku po ojcu.

Podpisał swoje nazwisko pod tymi słowami i podał jej papier; podarła go i rzuciła kawałki na podłogę.

— Według mego mniemania, nie jest to tak bardzo po rycersku z pańskiej strony, że pan mnie teraz opuszcza. Oczywiście, że musi pan myśleć więcej o sobie i o swym własnym bezpieczeństwie, aniżeli o mnie. Co teraz zrobią Taggartowie, gdy się dowiedzą, że opuścił pan okolicę i że pozostałam tutaj sama?

Jego oczy wrogo zabłysły.

— Taggartowie? Czy sądzi pani, że pozwolę im tak bezkarnie ujść. Zarzucają mi morderstwo — dlatego obiecuję pani, że jutro nie będą już istnieli żadni Taggartowie, którzy by mogli wyrządzić pani jakąś krzywdę.

— Nie zrobi pan tego! — zawołała przerażona.

— Taki mam jednak zamiar. Myślała pani, że stąd odejdę nie policzywszy się z tymi łotrami? Do widzenia Betty!

Odwrócił się znowu ku drzwiom. Podeszła ku niemu i zawołała, aby się zatrzymał. Powoli powrócił. Betty ciężko oddychała. Calumet był tym mocno zdziwiony.

— Muszę panu jeszcze coś wręczyć — rzuciła szybko.

Pośpieszyła do pokoju mieszkalnego, potem pobiegła schodami na górę, podczas gdy on niecierpliwie przechadzał się dużymi krokami po kuchni. Nie trwało dłużej niż pięć minut, aż wróciła. Wydawała się bardziej wzburzona niż przedtem.

— Mam wrażenie, że pani chce mnie powstrzymać.

— Nie — odparła bez tchu. — Jak pan może tak myśleć! Przyniosłam panu pieniądze — przydadzą się. — Trzymała w ręku skórzany pulares i wysypała zeń na stół pieniądze. — Weź pan pieniądze — prosiła, gdy się wahał.

Nie czekała, aż uczyni jak go prosiła, sama znowu zebrała złote monety, które wymykały się z jej drżących palców, tak, że raz za razem musiała je podnosić. Calumet pomógł jej, schował pulares do kieszeni i ponownie się z nią pożegnał.

Lecz tym razem stanęła między nim a drzwiami, a gdy próbował ją obejść. Betty szybko zastąpiła mu drogę.

— Proszę mi powiedzieć dokąd pan idzie?

— Dlaczego pani to chce wiedzieć?

Jego oczy zajaśniały, gdy na nią spojrzał. Stała przy nim blisko, czuł nawet ciepło jej gorącego oddechu i ogarnął go radosny nastrój.

— Mam to pani powiedzieć? — Jego głos brzmiał ciepło. Ujął rękoma jej ramiona i zajrzał jej w oczy, po czym uśmiechnął się cicho. — Myślałem, że chce mnie pani przez krótki czas zatrzymać, pani jednak myśli szczerze i uczciwie i dlatego pani powiem. Pojadę teraz na farmę Taggartów, aby ich zastrzelić, potem pojadę do Durango. A jeżeli pani kiedyś będzie potrzebna moja pomoc, zjawię się obojętnie czy szeryf mnie będzie szukał czy nie.

Wyciągnęła rękę, aby go zatrzymać, ale on nagle objął ją ramionami i przycisnął do siebie. Usta ich spotkały się w pierwszym gorącym pocałunku.

Następnie Calumet znowu ją wypuścił z objęć i pośpieszył ku drzwiom.

— Bądź zdrowa! — powiedział już u progu. Światło lampy padało na jego zbladła twarz. — Żal mi, że wszystko właśnie tak się kończy — spodziewałem się, że to ułoży się inaczej. Zrobiłaś ze mnie człowieka.

Natychmiast zamknął drzwi za sobą i poszedł Przez długi czas stała obok stołu i trzymała się mocno kantu, aby mieć oparcie.

— Ach — szepnęła cicho, — gdybyż choć jeszcze krótki czas był przy mnie!.

Poszła do drzwi, przystanęła u wejścia, przyłożyła ręce do oczu. Nie był jeszcze daleko; widziała, że jechał w świetle księżyca wzdłuż rzeki i że przechylił się trochę w siodle. Czarny wierzchowiec trzymał się dzielnie. Betty patrzyła w ślad za nim, aż znikł w ciemności, po czym gwałtownie załkała, zagrywając twarz rękoma.

Rozdział 22

Niebawem Betty usłyszała rytmiczne uderzenia kopyt na podwórzu. Jeździec zbliżał się powoli. Szybko otworzyła drzwi i wyszła do sieni.

Wiedziała kim jest ten jeździec, gdyż widziała go z okna swego pokoju, gdy brała pieniądze dla Calumeta. Już nieraz obserwowała szeryfa, gdy jechał przez wzgórza i teraz go poznała. Przy dawniejszych odwiedzinach na farmie Toban przywiązywał swego konia w lasku, tym razem jednak wjechał na podwórze, ponieważ przybył w innym celu niż zazwyczaj. Prawdopodobnie miał zamiar przywiązać swego konia w zagrodzie, lecz ujrzawszy Betty, podjechał ku niej i zatrzymał konia.

— Co słychać? — spytał, pochylając się bacznie spojrzał na nią. — Pani widocznie zirytowana. Gdzie Marston?

— Odjechał!

Szeryf wyprostował się w siodle.

— Dokąd pojechał?

— Odjechał — na zawsze — odparła cicho. — Słyszał, że chce go pan zaaresztować, bo rzekomo miał zamordować tego Ala Sharpa.

Toban zaklął.

— Dowiedział się więc, o co go Taggartowie oskarżyli. Czy Marston to pani powiedział? Dlaczego go pani nie zatrzymała? On przecież wcale nie zamordował Ala Sharpa.

— Wiem o tym. Zapewniał mnie, że jest niewinny, a ja mu wierzę. Mówił jednak, że chce go pan zaaresztować i że pan tu przyjedzie, żeby go zabrać. A obawiałam się, by nie doszło do strzelaniny. Wiedziałam, że pan znajdzie środki, aby tę sprawę jakoś zatuszować, gdybym go była mogła zatrzymać. Zapewne byłoby się panu udało udowodnić, że Calumet jest niewinny. Kiedy poszłam do swego pokoju, po pieniądze dla niego, wyjrzałam przez okno i byłam zadowolona, gdym widziała, że pan nadjeżdża. Starałam się wszelkimi sposobami go zatrzymać, ale on nie chciał zostać.

Toban zsiadł z konia i stanął przed nią.

— Mam dowód, że on nie zamordował Ala Sharpa, gdyż widziałem na własne oczy, że zamordował go Telza. Może jednak lepiej, że Calumet odjechał. Miała pani z nim tylko kłopoty i trudności, prawda?

— Nie — zaprzeczyła stanowczo. — On... — Urwała szybko. — Pan tylko ze mnie żartuje, pan sam go także lubił. To przecież pan sam mi swego czasu powiedział!

— Ma pani rację — odparł szeryf szczerząc zęby w uśmiechu. — I postaramy się o to, by nie uciekał z kraju z powodu Taggarta. Byłem

przyjacielem jego ojca i musiałoby to chyba być sprawą diabła, gdyby miał tu wszystko niewinnie utracić. W którą stronę odjechał?

Betty znowu odzyskała nadzieje, oczy jej zabłysły.

— Ach, chce pan za nim jechać?! Calumet pojechał na farmę Taggartów, żeby ich obu zastrzelić. Potem miał przejść przez granicę. Proszę go dogonić!

Szeryf Toban zaśmiał się.

— W końcu także nie jestem ślepy, — rzekł — często mówiłem z panią w gabinecie starego Marstona i wobec tego wiem, jak jest między wami. Niech pani się nie martwi z tego powodu, ja go już dogonię. Wiem, że jego koń szybko pędzi, ale aż do farmy Taggartów jest tylko piętnaście mil.

Wspiął się na siodło, popędził konia ostrogami i odjechał zostawiając za sobą tylko tuman kurzu. Betty obserwowała go. Ręce złożyła na piersiach, stała wyprostowana, aż szeryf znikł za zakrętem drogi.

Gdy Betty zamknęła drzwi, oparła się o nie i obejrzała się po kuchni, miała przygnębiające wrażenie, że coś utraciła. Dopiero teraz uświadomiła sobie, czym Calumet był dla niej i jakiej straty doznała z jego odejściem. Rozumie się, że z początku był zły i okrutny, ale w końcu uświadomił sobie swoje wady. Był podobny do źle wychowanego chłopca bez cienia ogłady, teraz jednak uznał bezcelowość takiego życia. W tej chwili uczuła całkiem wyraźnie, że brakowało mu matki i że ona właśnie musi mu ją zastąpić. Musiał kogoś mieć, kto by mu dopomógł budować nowe życie i wydźwignąć się z wszelkiego zła. Powoli usiadła przy stole, oparła głowę o ramiona. Gorąco sobie życzyła, by Toban dogonił Calumeta, zanim ten jeszcze przybędzie na farmę Taggartów, gdyż pod żadnym warunkiem nie powinien stać się mordercą.

Nagle zerwała się przestraszona, ponieważ usłyszała szmery w pokoju mieszkalnym. Zerwała się szybko z miejsca, żeby popatrzeć, kto tam jest; był to Bob, którego obudził hałas spowodowany przyjazdem szeryfa, a który teraz chciał się dowiedzieć, co zaszło. Napędzała go, aby znowu poszedł spać, po czym pocałowała go gorąco tak, że chłopiec spojrzał na nią zdziwiony.

Wróciła do kuchni, usiadła przy stole i patrzyła na wskazówki zegara.

Pół godziny po wyjeździe Tobana, usłyszała uderzenia kopyt na gościńcu. Z początku nie mogła rozpoznać kierunku, skąd dochodził tętent, lecz natychmiast ujrzała, że ku farmie ktoś jechał znad rzeki. Zeszła parę schodków i wyszła mu naprzeciw. Obawiała się, że Toban powraca, lecz gdy jeździec się zbliżył poznała, że był to ktoś obcy, powróciła wiec do sieni. Był to cowboy, który podjechawszy pod dom zawołał:

— Nazywam się Miller — i uchylił kapelusza. Zobaczyła przed sobą może trzydziestoletniego mężczyznę. — Harvey Miller — powtórzył. — Pędzę z moimi przyjaciółmi trzodę z Farmy Trzech Kijów do Lazette. Nieszczęśliwym trafem prawie pięć mil stąd natknęliśmy się przy Double-Fork na straszliwie lotny prasek i czterdzieści sztuk bydła nie może się stamtąd wydostać. Dlatego tutaj się udałem, by prosić o pomoc. Czy są na farmie mężczyźni?

— Bardzo nierozważnie postąpiliście, chyba wiedzieliście, że tam jest miejsce, w którym zatrzymuje się lotny piasek?

— Rzadko bywałem w tej okolicy — odparł cowboy, któremu widocznie było przykro. — Prawdę powiedziawszy nie wiem, po czym poznaje się takie miejsca, lecz już przepadło, popełniliśmy błąd, a jeśli nie będziemy mieli wnet pomocy utracimy czterdzieści sztuk bydła. Gdyby nam stąd mogło pośpieszyć z pomocą kilku mężczyzn, byłbym pani za to bardzo zobowiązany.

— Naturalnie pomożemy panu. Proszę zaczekać.

Weszła do domu i zawołała Malcolma i Dade'a. Obaj zupełnie jeszcze zaspani, zeszli na dół, przecierając sobie oczy. Chcieli jednak natychmiast pomóc Harveyowi Millerowi, osiodłali więc konie i odjechali. Cowboy nie czekał na nich. Gdy obiecali mu swoją pomoc, zawołał do nich, że chce jechać naprzód, by dopomóc swoim towarzyszom. A oni jak szybko tylko mogą, niech jadą za nim.

Betty patrzyła za Dadem i Malcolmem. Z domu mogła widzieć przestrzeń prawie na milę. Gdy obaj znikli w lesie, wróciła do domu. Usiadła z powrotem na kuchennym krześle oparła się ramionami o stół, lecz była zanadto wzburzona, żeby siedzieć spokojnie. Natychmiast podniosła się z krzesła i spojrzała na zegar stojący na ściennej półce w kącie.

Upłynęła godzina od odjazdu szeryfa Tobana, była ciekawa, czy dogonił Calumeta. Pod żadnym warunkiem nie powinien był dojechać do farmy Taggartów przed Tobanem i wykonać swój plan zemsty. Nagle usłyszała lekki szmer za sobą, gdy się szybko odwróciła, zobaczyła, że na progu kuchni stoi Neal Taggart, szczerząc do niej zęby w uśmiechu.

Pociemniało jej w oczach, zachwiała się tak, że musiała się oprzeć o stół. Trwało jakiś czas, aż przyszła na tyle do siebie, że mogła się po prostu utrzymać na nogach. Strach ją ogarnął, lecz opanowała go i przystąpiła śmiało do Taggarta.

— Czego pan tu szuka?

Taggart zaśmiał się pogardliwie. Zanim odpowiedział, zamknął za sobą drzwi i wszedł do pokoju mieszkalnego, szybko oglądając się dookoła, po czym zamknął także i to wejście i przystanął odwrócony tyłem do drzwi. Betty wciąż jeszcze stała przy stole patrząc nań. Powoli jej policzki odzyskiwały barwę, ale nie była jeszcze w stanie wymówić słowa i skrzyczeć Taggarta.

Ten po chwili odstąpił od drzwi i przystąpi do niej, patrząc na nią zaczepnie, ba nawet obraźliwie.

— Czy wie pani po co ja tutaj przyszedłem?

— Nie.

Znienacka wyciągną! ramiona chwycił jej ręce i przyciągnął ją do siebie. Krzyknęła przerażona, ale stała bezbronna przy nim.

— Powiem to pani — głos jego brzmiał gorąca i namiętnie. — Ja z moim ojcem musimy dzisiaj kraj opuścić. Sprzedaliśmy farmę. A jutro o tym czasie nie będziemy już tutaj. Przed odejściem. chciałem jeszcze różne sprawy załatwić z panią.

— Myśli pani, że zręcznie pokierowała sprawą ze złotym bożkiem, — pani i ten przeklęty Marston! Lecz teraz myśmy was wystrychnęli na dudków. Może pani wie, co mam na myśli, a może i nie, ale teraz pani wszystko powiem. Wysłaliśmy Ala Sharpa i Indianina z plemienia Tolteków, by wzięli plan, na którym naznaczone jest miejsce, gdzie leży złota statua. Oni planu nie dostali. O tym wiemy, bo polanę w żadnym miejscu nie rozkopano. Telza przebił sztyletem Al Sharpa, a potem ulotnił się. On dobrze wie, że nie wolno mu tutaj pozostać. Ale pani ma plan i będzie mi go pani musiała wydać, gdybym nawet panią miał zamordować.

— Nie pozostaje mi nic innego — ciągnął dalej drwiąco, gdy zrozpaczona obejrzała się. — Oskarżyliśmy Calumeta o morderstwo i od zapadnięcia zmroku jesteśmy w lesie, ażeby przeczekać aż szeryf go zaaresztuje. Widzieliśmy także, że Calumet Marston jechał na naszą farmę i że szeryf podążył za nim. Żaden z nich obu przed upływem godziny tu nie wróci, a tymczasem wszystko wykonam, co postanowiłem.

Neal Taggart zaśmiał się ponownie triumfująco.

— Najpierw Dade i Malcolm sprawiali mi kłopot, lecz posłałem tutaj Harveya Millera, który obu ich wywabił zmyśloną bajeczką.

Mimo woli wstrzymała oddech. Teraz dopiero Betty pojęła w jakim potrzasku się znalazła. Chwycił ją silniej za ręce.

— Dade i Malcolm wrócą dopiero za godzinę, a wtedy będziemy już kilka mil stąd. — Brzmienie jego głosu było twarde i zdecydowane. — Teraz muszę mieć plan, mianowicie natychmiast! Inaczej wybije pani ostatnia godzina. Zrozumiała pani?

Wykręcił jej ramię, aż głośno krzyknęła z bólu.

W tym krytycznym momencie przyszło jej na myśl, że Calumet nie zawahałby się ani na chwilę, by wydać plan, jeśliby wiedział, w jakim niebezpieczeństwie ona się znajduje.

Złota statua przyniosła im wszystkim wiele złego i Betty była pewna, że Calumet przeboleje tę stratę, nawet gdyby Taggartowie przywłaszczyli sobie statuę.

— Czekaj pan! — zawołała gdy Neal Taggart prawie jej wykręcił rękę. — Chce pan mieć plan, dobrze!

Puścił ją natychmiast i śmiał się zadowolony. Po czym cofnął się o krok, w każdej chwili był gotów znowu rzucić się na nią.

Szybko odwróciła się od niego, szukała w wycięciu sukni, gdzie przedtem plan schowała.

Potem odwróciła się z powrotem i podała mu plan.

Chwycił go szybko i wpatrzył się weń chciwie.

— Tak, to ten plan chciałem mieć — i tutaj jest nakreślone miejsce na polanie, w którym statua jest zakopana.

Pocierała sobie zbolałe ramiona i była czerwona ze złości, bo odważył się w ten sposób z nią obchodzić. Przekornie stała przed nim.

— Jeśli to jest wszystko, co pan chciał mieć, to teraz niech się pan wynosi!

Wsunął papier do kieszeni i śmiał się bezczelnie.

— O nie, to jeszcze nie wszystko. Teraz musi mnie pani przeprosić! Pani tak zadzierała nosa, ale to już minęło...

Chwycił ją znowu i chciał ją objąć ramieniem. Wyrwała mu się jednak i odskoczyła na drugi koniec stołu. Stał jej naprzeciw, przechylił się naprzód, śmiejąc się do niej brutalnie i zwierzęco, sycąc swój wzrok rozpaczą Betty.

— Do licha, już ja panią dostanę.

Wziął lampę naftową ze stołu i postawił na półce ściennej blisko pieca. Potem wrócił do stołu i posuwając go ku niej zmuszał ją do cofnięcia się.

Betty zdała sobie natychmiast sprawę, że Neal Taggart chciał ją przycisnąć stołem do ściany, by zatarasować jej wyjście. Wszystkimi siłami odsuwała od siebie stół. Ale Taggart był silny i rozpętała się w nim namiętność. Mimo to Betty broniła się dzielnie, powoli posuwała stół dalej, ale coraz więcej traciła grunt pod nogami.

— Przeklęty łotrze! — krzyczała bliska łez.

Neal Taggart nie odpowiedział jej, ale jego oczy żarzyły się niesamowicie, oddychał szybko i urywanie, chociaż bez wielkiego trudu mógł odsunąć stół.

Dalej nie mogła mu stawiać oporu, udało jej się jednak wymknąć z kąta, w który chciał ją zapędzić, tak więc dostała się w końcu blisko kuchni, gdzie jeszcze się paliło.

Gdy uczuła, że się ociera w palenisko chwyciła płaskie żelazo i całą siłą rzuciła mu w głowę. Schylił się i zaśmiał się ironicznie. Także drugi kawał żelaza cisnęła weń, nie trafiając go. Następnie chwyciła kocioł gorącej wody, lecz odsunął gwałtownie stół i chwycił Betty tak, że kocioł wypadł jej z rąk. Jeszcze raz wyrwała mu się z objęć, dotarła do drzwi pokoju mieszkalnego i próbowała je odryglować.

Bob tymczasem zerwał się i z drugiej strony drzwi głośno i przestraszony wołał:

— Betty! Betty!

Ale Taggart stał tuż za nią, gdy próbowała odemknąć drzwi, Kazała Bobowi przynieść rewolwer Malcolma z jego pokoju, i obejść dom naokoło, aby strzelił przez okno do Taggarta.

Betty wciąż jeszcze walczyła z Taggartem, podrapała mu twarz i ręce, kąsała go i kopała nogami. Lecz powoli jej siły zanikały i czuła jego gorący oddech na swej twarzy. Pociągnął ją w kierunku lampy — prawdopodobnie miał zamiar zgar sic światło. Wyciągnął już rękę, gdy znienacka przez okno padł strzał. Rozległ się brzęk stłuczonego szkła.

Najpierw przypuszczała, że Bob zdobył się na rozpaczliwy czyn, strzelając do Taggarta. W tej chwili pociemniało jej w oczach, a jednak widziała, że Taggart ją puścił i zatoczył się w tył nie wydając głosu. Rzuciła okiem na jego twarz, gdy upadł. Kula ugodziła go w środek czoła. Oczy miał szeroko rozwarte, a na twarzy widniał strach i zdziwienie.

W następnej chwili Betty runęła na podłogę, tracąc zupełnie przytomność.

Rozdział 23

Kiedy przyszła do siebie, słyszała, że ktoś się ze wszystkich sił dobija z tamtej strony da drzwi kuchennych. Upadła na podłogę tuż pod półką ścienną, gdzie stała lampa; opierając się na łokciach obejrzała się. W pierwszej chwili nie pamiętała co zaszło, po tym jednak zobaczyła Taggarta leżącego obok siebie. Widziała także jego ranę na czole i zadrżała, gdy nagle sobie znowu wszystko uświadomiła. Nie zawiodła się jednak na Bobie!

Gdy wstała z podłogi, chwiała się trochę. Łukiem obeszła Taggarta, gdyż pukanie przy drzwiach stawało się coraz głośniejsze i bardziej przynaglające. Potem usłyszała także wołanie wzburzonego głosu. Podeszła ku drzwiom, odsunęła rygiel i otworzyła je.

Lecz to nie Bob stał przed nią, tylko Calumet. Ciężki pistolet trzymał jeszcze w prawej ręce; lewą pomagał jej otworzyć drzwi. Po czym stał z wyciągniętymi ramionami i patrzył ostro na Taggarta. Przekonał się rychło, że już nie ma się czego obawiać swego wroga, zwrócił się do Betty i położył obie ręce na jej ramiona. Rewolwer trzymał jeszcze wciąż w ręku; czuła ciepło jego dłoni przez suknię. Zastrzelił więc Taggarta! Trzymał ją nieco z dala od siebie i patrzył badawczo w jej oczy.

Twarz Calumeta była śmiertelnie blada, krew znikła z jego warg, a oczy gorzały niesamowicie.

— W samą porę zdążyłem, — powiedział, podczas gdy patrzyli na siebie.

Czuła się w tej chwili tak silna i pewna siebie, że przestała myśleć o Taggarcie. Wspomnienie o rozpaczliwej walce znikło jak sen. Neala Taggarta już nie było. Calumet go usunął i stał teraz przed nią! Powrócił do niej! Było to wszystko, czego sobie życzyła i za czym tęskniła.

Puścił Betty z uśmiechem, przystąpił do trupa i patrzył na niego z chłodnym i zadowolonym wzrokiem. Potem zwrócił się do Betty. Wyraz jego twarzy uległ znacznemu odprężeniu, gdy obrzuciła go szczęśliwym uśmiechem.

— Dziękuję ci, kochane, że posłałaś za mną Tobana. Dogonił mnie. Wiedziałem, że to jest szeryf, zatrzymałem konia, żeby z nim wszcząć walkę. Ale już z daleka wołał do mnie, że nie ma zamiaru mnie aresztować, i że tylko na twoją prośbę jechał za mną. Wkrótce po tym spotkaliśmy na drodze Dade'a i Malcolma, przejechaliśmy przez Double-Fork, nie widzieliśmy tam jednak nikogo, wobec tego zrozumieliśmy, że obu ich podstępem wywabiono z domu. Ja byłem o ciebie bardzo niespokojny, więc wyprzedziłem tamtych.

Betty opowiadała mu teraz, co zaszło w międzyczasie, a gdy się dowiedział, że Taggart odebrał jej plan, nachylił się nad trupem przeszukał jego kieszenie, aż znalazł ów papier. Następnie skierował się ku drzwiom. Jego rysy znowu były twarde. Calumet wyprostował się. Betty była przerażona, gdy wyciągnął znowu rewolwer.

— Dokąd znowu idziesz? — spytała przestraszona.

— Stary Taggart musi gdzieś być w lesie — odparł groźnie. — Ci dwaj Taggartowie dość mi życie utrudnili. Starego tak samo zastrzelę, jak jego nędznego syna.

Pośpieszyła do niego, szybkim ruchem go objęła.

— Nie, ty tego nie zrobisz! — zadrżała i rzuciła bojaźliwe spojrzenie na zmarłego. — Na dzisiaj wieczór już wystarczy tych okropności. Zostań tu Calumecie! — Próbowała go odciągnąć od drzwi, lecz nie udało jej się to.

Wziął jej twarz w obie ręce.

— Czy chcesz, żeby stary Taggart uciekł wraz ze złotą statuą?

— Stary Taggart nie może tego przecież uczynić — on nie ma planu. Przedtem właśnie go sobie włożyłeś w kieszeń.

Zmieszał się i puścił ją.

— Masz rację, Betty — przyznał. — Ale mimo to zastrzelę go, czy ukradł bożka, czy nie.

— Zapewne go nie ma w lesie — podjęła Betty. — Słyszał strzały i nie czekał dłużej.

— Nie wierzę, by mi się wymknął. Dogonię go — rzucił Calumet.

— Ale ty nie odejdziesz! Boję się o ciebie i nie chcę, byś się na nowo narażał na niebezpieczeństwo. Jeśli Taggart jeszcze nie uciekł, to się skrył w lesie, gdy cię zobaczy natychmiast cię zastrzeli. A ja tego nie chcę.

— Mimo to muszę tam pojechać, ażeby się przekonać.

Przestąpił próg. Nagle natknął się na kogoś przed domem, po czym uśmiechnął się znowu.

— To jest Bob — zawołał — dźwiga pistolet.

Pomógł chłopcu, który był blady i drżał ze strachu, mimo iż jego miękkie rysy twarzy cechowało silne postanowienie.

— Bob cię będzie strzegł, będziesz w nim miała wiernego obrońcę. Prócz tego wrócą wnet Toban, Dade i Malcolm, a ja nie zabawię też długo, gdy natknę w lesie na starego.

Zbiegł z ostatnich stopni schodów i znikł za domem.

Zaledwie się oddalił, gdy znowu usłyszała tętent kopyt blisko podwórza. Wnet na skręcie ukazał się jeździec — szeryf. Zatrzymał się przed drzwiami kuchennymi, gdzie stała Betty. Szeryf zauważył bladość jej policzków, ujrzał także Boba z bronią i Taggarta leżącego na ziemi.

— Na Boga! co się tu stało?

Opowiedziała mu pokrótce, a jej spojrzenia zdradzały trwogę. Chciał przejść obok niej i wejść do kuchni, ale zagrodziła mu drogę.

— Calumet poszedł do lasu na polanę — bo chce się spotkać z Tomem Taggartem. Okropne — Taggart go zastrzeli! To nie powinno się stać! Idź pan do niego, Toban! — Sprowadź go pan z powrotem!

— Ależ niech się pani tak nie boi o niego, — uspokajał ją szeryf. — Z powodu Calumeta nie powinna się pani bać. Jeśliby stary nawet jeszcze

był w lasku, to na widok Calumeta szybko by zwiał. Ale jeśli to przyczyni się do uspokojenia pani, to rozejrzę się za nim natychmiast.

Szeryf wspiął się znowu na siodło i odjechał.

Betty stała wyprostowana we drzwiach i pilnie nadsłuchiwała. Obawiała się, że ponownie padną strzały, nim szeryf się tam zjawi. W lesie jednak panowała cisza. Natomiast z dala usłyszała uderzenia kopyt, które coraz stawały się wyraźniejsze. Betty wiedziała, że Dade i Malcolm wracają do domu.

Także im musiała opowiedzieć tę historię. Dade i Malcolm wynieśli Neala z kuchni. Betty przystąpiła do Boba, siedzącego na krześle, zaprowadziła go do okna. Tam stanęła przy nim i z natężoną uwagą patrzyła w las. Byłaby się sama tam udała, lecz wiedziała, że nie byłaby w stanie nic zrobić dla Calumeta.

Gdyby Calumet nie wrócił z tej wyprawy, nie chciałaby też dłużej pozostać na Ypsylon-farmie, gdyż bez niego...

Teraz nie namyślała się dłużej, czy Calumet się poprawił czy nie, teraz nie baczyła wcale na jego dobre czy złe właściwości — na to od dawna już nie zważała... Tęskniła tylko za nim, a gdy w końcu zobaczyła, że on nadchodzi i usłyszała jego głos, przyciągnęła Boba do siebie, przytuliła jego twarz do swojej i załkała cicho.

Wkrótce po opuszczeniu farmy Calumet dojechał do polanki. Zobaczył człowieka leżącego obok świeżo wykopanego dołu u skraju lasku. Bez ruchu przystanął i patrzył na nieżyjącego Taggarta.

Gdy wkrótce potem na polankę wjechał szeryf i zeskoczył z konia, zastał jeszcze Calumeta w tej pozycji. Szeryf rzucił mu pytające spojrzenie.

— Tom Taggart — rzekł Calumet dobitnie, wskazując na trupa.

— Na Boga! — zawołał szeryf przerażony. — Co mu pan zrobił? Nie słyszałem przecież strzałów! On nie żyje?

Obaj uklękli obok mężczyzny leżącego na ziemi, po czym Calumet wskazał na nóż tkwiący w lewym boku.

— Ten nóż należy do Telzy — wyjaśnił Calumet, po obejrzeniu rękojeści. — Upuściłem ten sztylet gdy wyjąłem go z rany Ala Sharpa.

— Zgadzam się — szeryf odetchnął z ulgą. — Sam widziałem jak pan to uczynił, Calumecie.

Zaśmiał się na widok zdziwionej miny Calumeta.

— Przejeżdżałem wtedy przypadkowo przez polankę — opowiadał Toban, — po załatwieniu jakiejś sprawy. Widziałem jak Telza zamordował Ala Sharpa. Momentalnie zeskoczyłem z konia, chwyciłem Indianina, ale nie do uwierzenia, jak ten osobnik się bronił. W końcu wszelako pokonałem go. Niebawem usłyszałem, że ktoś nadjeżdża, wobec tego, że sądziłem, iż jest to jeden z Taggartów, zawlokłem Telzę ze sobą i ukryłem się z nim za krzakami. Zauważyłem pana, nie chciałem jednak, by się pan dowiedział, że kręciłem się w pobliżu pańskiej farmy, prócz tego widziałem, że Taggartowie zakradali się za panem. Podczas gdy oni rozmawiali z panem, ogłuszyłem Telzę uderzeniem, abym, jeśli zajdzie potrzeba, natychmiast mógł panu pośpieszyć z pomocą. Klęczałem trzymając broń w pogotowiu, na wypadek gdyby Taggartowie chcieli

strzelać do pana. Wykazało się rychło, że moja interwencja nie była potrzebna. Mimo to obserwowałem co tu się działo. Gdy pan odesłał Taggartów pieszo do domu pojechałem z Telzą do Lazette i umieściłem go w więzieniu, bo zasztyletował Ala Sharpa.

— Wobec tego ktoś inny musiał zamordować Taggarta — odpowiedział Calumet marszcząc czoło w zamyśleniu, przy czym patrzył na Taggarta i na świeżo wykopany dół. — Widocznie ktoś, kto wiedział, gdzie znajduje się skrytka, kopał tu szukając bożka, wysadzonego diamentami.

— Nie mogę pojąć — wtrącił zdziwiony szeryf. — Jedynie Sharp, Telza, pan i Betty widzieliście plan. Dokładnie widziałem, że pan wtedy podniósł papier z ziemi, gdy Telza go upuścił i wiem, że pan tu nie szukał złotego bożka, Betty także nie wchodzi w rachubę. Sharp nie żyje, Telza siedzi w więzieniu... Więc kto mógł to uczynić?!

Jakiś jeździec zbliżał się do nich, słyszeli rytmiczne uderzenia kopyt na gościńcu. Obaj odwrócili się zdumieni, gdy jeździec się szybko zbliżył.

— Ed Bernse! — zawołał Toban zdziwiony. — Co pan tu robi? — Jadę za tym brazowo-skórym łotrem. Uciekł z więzienia. Ten Indianin zwiał z celi! Po tym ukradł konia i uciekł w tę stronę. Wyprzedził nas o godzinę!

Calumet zaśmiał się, po czym przechylił się nad dołem i przeszukał go skrupulatnie. Na dnie było widoczne kwadratowe wgłębienie i Calumet wywnioskował z tego, że skrzynka musiała być w tym miejscu. Calumet wyprostował się znowu i wyszczerzył zęby w uśmiechu do Tobana.

— Bożek znikł. Telza go zabrał. Jedź pan do Lazette — zwrócił się do Bernse'a — i powiedz pan człowiekowi, któremu Telza skradł konia, że ja mu wynagrodzę stratę. Jestem zadowolony, że nie mam już do czynienia z tym bożkiem.

Calumet, szeryf i Bernse wrócili na farmę. W pobliżu domu spotkali Dade'a i Malcolma, którzy wynosili Neala. Calumet kazał go pochować na polance. Po tym poszedł z Tobanem i Bernse'em do domu.

Przed drzwiami Bernse się zawahał.

— Czy mam już jechać do miasta?

— Nie, proszę zaczekać, pojadę wnet z panem.

Calumet tymczasem wszedł do domu, gdyż śpieszył się do Betty. W oczach jej skrzyły się łzy, promieniała mimo to ze szczęścia.

Pokrótce opowiedział jej co zaszło na polance.

— Statua znikła! — zakończył swoje relacje.

— W takim razie Telza ją zabrał?

— Nie przejmuję się tym.

Toban wszedł do kuchni.

— Dzięki Bogu, że ta sprawa wreszcie się zakończyła. Mieliście z tym dużo kłopotu, i ja też niejedną przykrą chwilę z tego powodu przeżyłem.

Następnie zwrócił się do Betty.

— Może pani wręczy panu Maratonowi ostatni list jego ojca.

Betty weszła, do pokoju mieszkalnego, wróciła natychmiast z listem, który wręczyła Calumetowi. Szeryf czekał jeszcze. Calumet czytał list.

„Mój drogi Synu! Jeśli otrzymasz ten list,, masz dowód, że Betty uważa Cię za dojrzałego i odpowiedniego do objęcia spadku po mnie. Dziękuję i życzyłbym sobie bym mógł Ci uścisnąć dłoń w tej chwili i spojrzeć w oczy oraz powiedzieć Ci jak bardzo mnie to cieszy.

Kiedy uporządkujesz wszystko, byłoby moim życzeniem, abyś się ożenił z Betty — to znaczy, jeśli ona zechce Cię przyjąć. Przewiduję wszakże, że nie da Ci odmownej odpowiedzi, bo zakochała się już w twojej fotografii.

A teraz się dowiesz, że nie tylko ją zamianowałem jako wykonawczynię testamentu, żeby nie była bezbronna przed napaściami Taggartów. Jeżeli mój druh Dave Toban dotrzymał słowa — a jestem pewien że je dotrzymał, to wobec tego często jeździł do Ypsylon-Farmy. Nie chciałem, byś się o tym dowiedział, ale szeryf miał Betty popierać radą i pomocą. Prosiłem go, żeby odwiedzał potajemnie Betty, on Ci także da pieniądze, które są złożone w banku w Las Vegas.

Jeszcze raz Ci dziękuję. Niech Cię Bóg ma w Swej opiece.

Twój ojciec
James Marston"

Calumet powoli złożył list i wsunął go do kieszeni. Potem spojrzał na Tobana na wpół z wyrzutem i na wpół ze zdziwieniem.

— Pan więc był tym, którego często późną nocą słyszałem w pracowni mego ojca?

— Tak zgadza się — przyznał Toban, patrząc z uśmiechem na Betty.

Calumet spojrzał także w jej stronę. Rozwiązanie tej zagadki przyszło nagle i Calumet czuł się poniekąd winny.

— Przyznaję, — rzekł — że było to z mej strony krótkowzrocznością i że zachowałem się niewłaściwie.

— Nie miałam ci tego za złe — przerwała mu znienacka Betty. — Tylko dwa razy zauważyłeś, że mówiłam z szeryfem i oba razy Taggart przypadkowo znajdował się w pobliżu.

— Otóż, sądzę, że sami dojdziecie do zgody, — rzucił szeryf z wesołym uśmiechem. Pożegnał się. Siedząc już na koniu, skinął im zadowolony głową.

Szeryf odjechał galopem, a Bernse ruszył za nim.

Betty stała z boku przy drzwiach prowadzących do pokoju mieszkalnego, a Calumet stał po drugiej stronie Bob także jeszcze był w kuchni, lecz Betty nie widziała go, a Bob zrozumiał, że tych dwoje ma sobie wiele do powiedzenia.

Cicho wymknął się z kuchni. Broń trzymał wciąż jeszcze w ręku.

Betty i Calumet milczeli. Stali jeszcze na tym samym miejscu, na którym Bob ich zostawił, niebawem słyszeli, jak wrócili Dade i Malcolm.

— Wydaje mi się, że Calumet i Betty nareszcie pogrzebali swoją kłótnię, myślę, że lepiej, abyśmy teraz tam nie wchodzili — zaproponował Malcolm. — Przynajmniej nie teraz. Możemy poczekać z godzinę albo i dłużej. Chodźmy do baraku zagramy w karty.

Teraz Betty i Calumet zostali sami, Betty od wróciła się do niego. Uśmiech opromieniał jego twarz, uśmiech, który bodaj od stworzenia świata jest taki sam, gdy mężczyzna ubiega o względy ukochanej kobiety.

— Oni myślą, że chcemy pozostać sami — odezwał się z nieśmiałym uśmiechem Calumet.

Betty zarumieniła się i utkwiła wzrok w podłodze.

— Ach, słyszałeś co powiedzieli?

— Tak — Calumet zbliżył się do niej. — Dade i Malcolm są rozsądni. Oni zawsze byli rozsądni. W każdym razie są mądrzejsi i bardziej oględni niż byłem ja. Pozostaw mi trochę czasu, znam swe błędy, potrzebuję osoby, która by mną kierowała. A jeśli ty nią chcesz być...

Po godzinie Dade wyciągnął się i ziewnął zmęczony.

— Chcę się już położyć. Mamy ciężki dzień za sobą, jestem naprawdę zmęczony po tych tarapatach.

Stary Malcolm był tego samego zdania, wobec tego poszli powoli ku drzwiom.

Weranda, znajdująca się przed kuchnią, była oświetlona światłem księżyca. Więc widzieli dokładnie, że obok siebie na ławce siedzieli Betty i Calumet złączeni w objęciu.

Dade zobaczył ich najpierw, odsunął się nieco, żeby Malcolm także mógł ich widzieć.

Powoli skierowali się z powrotem do baraku.

— Może jeszcze długo potrwa, aż wejdą — zauważył Malcolm cicho. Lepiej połóżmy się tu spać. Mają sobie dużo do powiedzenia — a do tego nie potrzebują nas. Nie przeszkadzajmy im.

— Nie Cal, zostaw — oponowała Betty. — Czy nie widzisz, że Dade i Malcolm patrzą na nas?

— Ależ najwyżej będą nam zazdrościli — odparł z uśmiechem. — Niech się spokojnie gapią na nas. Do tego widoku muszą się przyzwyczaić. Jeśli zostaną tu na farmie, będą przecież często wdzieli, że cię całuję.

KONIEC